

Romański Marek



o sakanstani
proyale

Marek Romański

MISS O SZKARŁATNYM SPOJRZENIU

2014



Spis treści

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI
Rozdział XXVII
Rozdział XXVIII
Rozdział XXIX
Rozdział XXX
Rozdział XXXI
Rozdział XXXII

Tekst wg edycji Wydawnictwa "Kolumna", Łódź 1947.
Pierwsze wydanie ukazało się w 1930 r.

ROZDZIAŁ I

Wskazówka telegrafu na mostku nastawiona była na *całą parą naprzód*, maszyny pracowały niestrudzenie, w kotłowni jak noc czarni palacze dorzucali na rozżarzone ruszty coraz to nowe porcje węgla, kominy wyrzucały z siebie czarne pióropusze dymu.

Olympic -- jeden z najwspanialszych transatlantyków linii *White Star* odbywał swą zwykłą drogę Southampton -- New York.⁽¹⁾

Pogoda dopisywała. Fale Atlantyku brały *Olympica* delikatnie na spienione grzbiety. Kapitan Seattle uśmiechał się z zadowoleniem, ilekroć zajrzał na mostek kapitański, by uczynić inspekcję porucznikowskiej warty. Wszystko było w porządku, okręt robił przepisaną ilość węzłów, pożerając przestrzeń wodną. Korzystając z pięknego popołudnia, pasażerowie pierwszej i drugiej klasy tłumnie wybiegli na pokłady. Jedni rozłożeni wygodnie na leżakach czytali lekkie powieści, dostarczane przez bibliotekę okrętową, lub dziennik *Olympic News*, redagowany i wydawany w drukarni okrętowej na podstawie depesz radiowych z całego świata. Tu i ówdzie śmiano się wesoło i flirtowano na zabój. Tworzyły się kółka i kółeczka towarzyskie. Właśnie postanowiono wydelegować kilku pasażerów pierwszej klasy do jadącego na *Olympicu* Szalapina⁽²⁾, z prośbą, by po obiedzie zechciał w salonie odśpiewać swym wspaniałym głosem choć jedną pieśń dla urozmaicenia monotonii podróży.

W ogólnym zgiełku i ożywieniu nie brało udziału dwu panów. Oparci wygodnie o burtę palili fajki, z rozkoszą wytrawnych wielbicieli nikotyny. Byli to dwaj najszanowniejsi pasażerowie *Olympica*, którzy siedzieli w sali jadalnej po prawej i lewej stronie kapitana okrętu i do których odnosili się wszyscy z wyszukaną uprzejmością.

Byli to komandor Noe Carside i mister Logan.

Kim był i w jakim celu udawał się do Stanów Zjednoczonych Anglik mister Logan, tego nikt nie wiedział.

Poważny i zamyślony trzymał się przeważnie z daleka, spędzając czas bądź samotnie, bądź w towarzystwie komandora Carside'a, bądź w nawigacyjnej kajucie, gdzie jako były oficer marynarki angielskiej, z rozkoszą spędzał czas nad mapami lub też pomagał młodym porucznikom transatlantyku w wyznaczaniu kursu, oznaczaniu położenia okrętu itd. Od czasu do czasu tylko pojawiał się wśród pasażerów, by wymienić słów parę to tu, to tam.

O komandorze Stanów Zjednoczonych Noem Carsidzie, wiadano już znacznie więcej. Był to stary marynarz o kościstej, suchej twarzy i rzadkich siwych włosach na czaszce godnej Rzymianina. Mówiono o nim, że bawił w Europie w jakiejś specjalnej misji z polecenia amerykańskiego rządu i wypełniwszy ją, powracał do ojczyzny. Co to była za misja, którą mu rząd powierzył, nie wiadano.

Komandor wypuścił z fajki niewiarygodnie wielki kłęb dymu, uderzył ręką w świeży numer *Olympic News* i wskazując chudym palcem na depeszę komunikującą o spuszczeniu na wodę nowego krążownika niemieckiego, zapytał:

--- Cóż pan na to powie, mister Logan?

--- Na co, mianowicie?

--- Na ów nowy krążownik niemiecki!

--- Cóż mam powiedzieć, mister Carside. Świat mimo paktu Kelloga⁽³⁾, mimo zapewnień pokojowych, gotuje się znowu do wojny. Wszakże nie kto inny, jak rząd pański rozbudowuje gwałtownie flotę wojenną.

--- W celach obrony, mister Logan. Tylko w celach obrony.

--- Tak mówi każde państwo. Ta powszechna obrona zmienić się może przy lada okazji w

powszechną bijatykę.

Komandor Carside zajął się znów swą fajką.

--- Mister Logan, niech mi pan wierzy --- rzekł, zniżając głos --- ta bijatyka jest bliższa, niż pan przypuszcza.

--- Sądzi pan, że?...

--- Nie sądzę, lecz jestem pewien, iż tak będzie. Może mnie pan uważać za starego amerykańskiego imperialistę, mister Logan, a jednak błogosławię nasz rząd, iż buduje coraz to nowe okręty wojenne i wyposaża je w dobre, żarłoczne armaty.

--- Przeciw komu? Od dłuższego czasu nie ma nawet chmurek na politycznym horyzoncie.

--- Tym gorsza jest ta cisza przed burzą. W zaciszach dyplomatycznych gabinetów kowają się groźne plany... Wiem, iż...

Carside urwał nagle. Przeszedł koło nich, a raczej przesunął się jak cień, wysoki, chudy szatyn o ciemnej barwie skóry, szpiczastych ramionach i przydługich rękawach.

--- Nie cierpię tej bestii! --- wyszeptał, gdy osobnik ów się oddalił. --- Mam do niego wstręt od pierwszego wejrzenia.

--- To detektyw okrętowy --- objaśnił spokojnie mister Logan --- wygląda na poczciwego głupca. Wyobrażam sobie, że nudzi się na okręcie w niemożliwy sposób. Ale wróćmy do tematu. Gdzie pan widzi wroga?

--- O, widzę go dobrze --- odparł siwy marynarz, ochłonawszy z wrażenia, jakie uczynił na nim swym zjawieniem detektyw okrętowy.

Wróg ten siedzi za oceanem, to wróg Ameryki i rasy białej wróg! Zagarnął Mandzurię, ale mało mu tego. Ma skośne żółte oczy i bardzo gorliwie ubiera stalowe krążowniki w girlandy armat.

mister Logan potrząsnął w zamyśleniu głową.

--- Japonia? --- wyszeptał.

--- Tak jest. Japonia --- przyświadczył gorąco Carside --- od dawna szczyrzy na nas zęby. Ma apetyt na Filipiny, dąsa się, że my mamy Wyspy Hawajskie, nierada jest z ograniczenia imigracji Żółtych do Stanów. Znajdzie w razie potrzeby sprzymierzeńca w Europie.

--- Niemcy? --- wyszeptał znowu Logan.

--- Tak, Niemcy...

Komandor znów urwał, agent bowiem powracał i przeszedł koło nich.

--- Byłem w tych sprawach w Europie --- rzekł po chwili milczenia Carside --- jeżeli kiedy będzie wojna, to teraz, mister Logan.

Komandor nagle zniżył głos.

--- Mister Logan, byłem właśnie w Europie w sprawach wojny i pokoju. Wiozę ważne papiery... Ale... Mam do pana zupełne zaufanie. Ufam panu najbardziej z ludzi, którzy są tu, na *Olympicu*... Mam do pana prośbę.

Carside umilkł, jakby się nagle zawahał.

mister Logan spojrzał na niego uważnie.

--- Nie mam zamiaru mieszać się w pańskie tajemnice, panie komandorze. Jeśli jednak pan chce mi coś zakomunikować, jestem do usług.

Twarz Carside'a wyjaśniła się.

--- Dziękuję panu, ale nie tu, nie teraz!

--- Dlaczego nie teraz.

--- Nie, nie teraz! Wieczorem, po obiedzie, gdy zmrok już zapadać zaczyna, gdy wszyscy będą w salonie lub na dancingu. Mam panu powierzyć wielką tajemnicę. Niech mnie pan czeka

na spardeku⁽⁴⁾.

I komandor Noe Carside, jakby obawiając się, by mister Logan nie pytał o coś więcej, oddalił się szybko.

mister Logan patrzył za nim spod przymrużonych powiek.

--- Ten człowiek obawia się czegoś --- szepnął do siebie półgłosem.

⁽¹⁾ *Olympic, Titanic i Britannic* były bliźniaczymi statkami liniowców parowych kompanii żeglugowej *White Star Line*.

⁽²⁾ Fiodor Szalapin (1873-1938) -- rosyjski bas, jeden z największych śpiewaków w historii opery. Łączył walory głosowe z wybitnymi zdolnościami aktorskimi.

⁽³⁾ Pakt Brianda-Kelloga -- pakt paryski -- pierwsza umowa międzynarodowa potępiająca wojnę jako środek realizacji celów politycznych, podpisana 27 sierpnia 1928 r. w Paryżu.

⁽⁴⁾ spardek -- pokład na pomoście lekkiej konstrukcji nad głównym pokładem statku.

ROZDZIAŁ II

Po obiedzie, gdy mrok już jął się słać po falach, a słońce zniknęło w mgłach wieczornych, mister Logan, zgodnie z prośbą komandora Carside'a, oczekiwał go na spardeku *Olympica*. Chwila była dobrze wybrana. Pasażerowie pierwszej klasy bawili się bądź w palarniach, bądź w sali dancingowej, gdzie okrętowy jazzband wygrywał modne melodie obu kontynentów.

Mister Logan wyglądał na człowieka, który wiele przeżył w życiu i wiele widział na świecie, mimo to ciekawość jego była podniecona oczekiwaniem tego, co stary oficer miał mu zakomunikować w najgłębszej tajemnicy.

Niedługo oczekiwał, wkrótce bowiem z mroku, który gęstniał coraz bardziej, wyłoniła się wysoka, ostra sylwetka komandora. Idąc, rozglądał się uważnie wokół.

--- Good evening, sir --- pozdrowił go mister Logan --- co za piękny wieczór dzisiaj mamy.

--- O tak, wieczór jest piękny --- odparł zagadnięty. --- Tak piękny --- ciągnął dalej Carside, jakby kończąc myśl zaczęłą --- że szkoda mi go po prostu mącić sprawami, o których mieliśmy mówić.

--- A więc nie mówmy o nich --- odparł powściągliwie mister Logan.

Carside zdecydował nagle:

--- Przeciwnie, mówmy o nich i to natychmiast. Mówić o tym jutro byłoby za późno.

--- Dlaczego za późno?

--- Bo mogę już nie żyć jutro, a umarli wszakże nie mówią. Mister Logan cofnął się o krok.

--- Nie żyć! Co pan mówi, komandorze?

--- Niech pan posłucha, mister Logan, powiem panu o rzeczach, o których nie wiedzą przeciętni śmiertelnicy. Nim minie trzy miesiące, powstanie na świecie nowa zawierucha.

--- Nowa zawierucha?

--- Tak, zawierucha wojny.

Komandor Carside zniżył głos.

--- Czy wie pan po co bawiłem przez pół roku w Europie? W sprawach służbowych. Zapewne. Ale cóż to były za sprawy. Zrozumie pan ich wagę, gdy powiem panu słów parę. Japonia zbroi się od lat do rozgrywki z Ameryką. Istnieje tajny pakt japońsko-niemiecki, który zobowiązuje Niemcy do wypowiedzenia wojny Stanom Zjednoczonym w chwili, gdy uczyni to Japonia. Tajne zbrojenia Niemiec odbywają się w pełnym tempie. A kiedyż znajdzie się moment odpowiedniejszy do wojny, jak nie obecnie: Francja zajęta kryzysem socjalnym u siebie w domu, Anglia mająca po uszy kłopotów w Indiach i Egipcie -- oto znakomity moment dla Japonii do rozgrywki ze starym wrogiem, oto sposobność dla Niemiec, by zabłysnąć znów sławą swego oręża. Czy pan rozumie?

--- Rozumiem --- odparł mister Logan. --- Ale jaki związek ma to z niebezpieczeństwem, jakie panu grozi?

--- Związek jest jasny. Byłem szefem wywiadu amerykańskiego w Niemczech. Mam w rękach dokumenty stwierdzające zbrojenia Niemiec, mam liczby dotyczące zamaskowanych doków i wyprodukowanych w tajemnicy przed światem łodzi podwodnych. Mam wreszcie przy sobie po tysiącnych trudach zdobytą kopię owego tajnego układu japońsko-niemieckiego. Układu, w którego istnienie nie mógł uwierzyć mój rząd, mimo zaufania, jakim mnie obdarza. Teraz mam jednak dowód w rękę. Mam coś więcej. Mam dokument niesłychanej wagi. Czy słyszał pan coś o *thanatoidzie*?

--- Słyszałem --- odparł oszołomiony mister Logan. --- To ów okropny gaz niemiecki.

--- Tak, to ów gaz przeklęty, mordercza broń, jaką wymyślił geniusz wojenny Niemiec. Ów gaz, który sprowadzając momentalny paraliż ośrodków mózgowych, sprowadza piorunującą śmierć. Można przy jego użyciu kłaść całe armie pokotem. Najznakomitsi chemicy świata biedzili się, by odkryć tajemnicę wyrobu thanatoidu i nic nie wskórali. A ja...

--- A pan? --- wyszeptał zdumiony mister Logan.

--- Ja wiozę z sobą do Stanów Zjednoczonych wydartą Niemcom tajemnicę. Wiozę receptę wyrobu thanatoidu.

Carside pochylił się nad Loganem jeszcze bardziej, tak że Anglik widział w mroku kościstą twarz komandora.

--- Te psy odkryły mnie! --- zazgrzytał Carside z nienawiścią. --- Niemcy wiedzą, iż wydarto im ważne tajemnice, choć nie wiedzą może wszystkiego i dlatego mówię panu, że jutro mogę już nie żyć.

--- Czy jest pan pewny, że ścigają pana.

--- Najpewniejszy. Któryś z mych agentów zrobił jeden fałszywy krok, który zdradził naszą robotę Niemcom. O, oni nie spoczną, póki nie dopną swego lub póki nie oddam mych papierów w Białym Domu. Niech pan sobie wyobrazi: jeżeli dowiozę dokumenty gotującej się wojny do Stanów Zjednoczonych -- rząd mój opublikuje je najpewniej i być może zapobiegnie to wybuchowi rzezi. Japonia i Niemcy staną pod pręgierzem moralnym świata. I dlatego robi się wszystko, bym nie dowiózł tych dokumentów.

--- Więc czyniono już zamachy na życie pana?

--- O tak. Mają piekielnie długą rękę. W numerze hotelowym, który zajmowałem w Paryżu, przeprowadzał ktoś dwa razy rewizję mych rzeczy w czasie mojej nieobecności. Na polach Elizejskich wpadł na mnie w szalonym pędzie samochód, a nie był to wcale przypadek. Raz zastałem w mieszkaniu pudło pomadek. Podarunek od córki ambasadora amerykańskiego w Paryżu. Mój mały pinczer zjadł dwie pomadki i przeniósł się do wieczności. Okazało się, że pomadki zawierały solidne dozy arszeniku, a córka ambasadora Stanów Zjednoczonych żadnych słodczy mi nie wysłała.

--- Tak, ale to było na lądzie. Cóż panu może grozić tu, na *Olympicu*?

--- Nie wiem właśnie, co mi grozi i to mnie napawa niepokojem. Mam jednak pewność, iż tu mają mnie na oku. Kto wie, może wśród pasażerów pierwszej klasy, może wśród załogi jedzie mój morderca. Nie wiem, skąd cios padnie i to jest najgorsze.

--- Czy tu, na okręcie, zauważył pan coś niezwykłego?

--- Nic, prócz tego, że w niewytłumaczony sposób, zepsuł mi się zameczek od neseseru. Tak, jak gdyby ktoś majstrował przy nim. Mam przecucie, że nie dojadę do Stanów.

--- Niech się pan nie sugeruje, mister Carside.

--- Nie, ja się nie sugeruję --- głos komandora brzmiał niepokojem. --- Ja jestem pewny swych obaw. Nie chodzi tu o mnie, chodzi o dokumenty, które wiozę.

--- Jestem na pana usługi, komandorze. To sprawa poważna.

--- A więc, mister Logan, gdyby mnie w podróży spotkało coś złego...

--- Cóż wtedy mam zrobić, mister Carside?

--- Niechże mi pan da wprzód słowo dżentelmena.

--- Już je pan ma. Co mam zrobić?

Komandor zmarszczył brwi:

--- Pomścić mnie i uratować papiery!

Nastąpiła chwila milczenia. Na dole huczał jazzband, wiążąc swe tony z poszumem oceanu. Słowa mister Logana brzmiały stanowczo i groźnie: --- Pomszczę pana i gdy będę mógł uratuję

papiery.

--- Pan musi je uratować.

--- Zrobię, co będzie w mocy człowieka.

--- Dziękuję panu.

Anglik i Amerykanin uścisnęli sobie ręce.

--- Gdzie są dokumenty? --- zapytał raptem mister Logan.

--- W mojej kabinie, w walizce opatrzonej numerem III. Numer walizki wymalowany jest na skórze czerwonym atramentem. Walizka...

--- ...ma podwójne dno --- dokończył Logan.

Carside spojrział zdumiony.

--- Skądże pan wie?

--- Domyślałam się, komandorze!

--- Tak, ma podwójne dno. Gdy pociśnie pan piąty od lewej ręki świeczek wbity w prawy bok dna walizki, otwiera się skrytka. W skrytce są trzy olakowane koperty --- I one...

Carside skinął głową:

--- W nich jest tajemnica wojny i pokoju!

--- A więc załatwione, panie komandorze! Ale radzę się nie przejmować! Dwa dni drogi dzielą nas od Nowego Jorku!

--- O te dwa dni właśnie chodzi!

--- Przemina jak strzała! Czy nie ma pan jakich skonkretyzowanych podejrzeń?

--- Żadnych!

--- Może by tak detektywowi okrętowemu zwrócić delikatnie uwagę...

--- Broń Boże! Nikt nawet się nie śmie domyślać, iż wiozę z sobą tak ważne dokumenty; nie mam przy tym do niego za grosz zaufania.

--- Dreamer nie jest miły, ale czyż to jego wina?

--- Nie tylko nie jest miły, ale ten człowiek budzi we mnie lęk i odrazę. Bywają takie antypatie od pierwszego wejrzenia!

--- Bywają! Pan już odchodzi, komandorze?

--- Tak, odchodzę!

--- Do palarni, czy do sali dancingowej?

--- Ku przeznaczeniu, mister Logan!

--- Życzę panu, komandorze, by było ono pogodne!

--- Wątpię, czy będzie takie! Raz jeszcze dziękuję panu!

Noe Carside odszedł parę kroków i wrócił się:

--- Mister Logan --- rzekł --- pan jest Anglikiem. Gdyby mnie sprzątnięto, pamięć o jednym nazwisku niech doda panu sił do walki!

--- Jakież to nazwisko, mister Carside?

--- Miss Cavel, sir! Dobrej nocy!

Mr. Logan skłonił głowę. Komandor Noe Carside oddalił się wolnym krokiem. Anglik słyszał, jak po schodach schodził na niższy pokład.

Mr. Logan oparł się o balustradę, otaczającą spardek i zamyślił się głęboko. Noc już nastąpiła zupełna. Przez gęste woale mgieł przebijały się blade, anemiczne promienie księżyca. Na czyste niebo wypelzać zaczęły ciemne poszarpane płachty chmur... Od zachodu szły, co czas pewien, szkwały, burząc powierzchnię wód.

Mr. Logan patrzył na księżyc zamglony, na rosnącą falę, na srebrzysty szlak, który pozostawiał za sobą *Olympic* i myślał o swej rozmowie z Carside'em. Bez wątpienia, komandor wioził z sobą dokumenty olbrzymiej wagi. Gdyby Niemcy wiedzieli, iż komandor przejął ich

tajemnice, niewątpliwie dołożyliby wszelkich starań, by Carside'a pozbawić owych dokumentów. Ale gdyby nawet tak było, cóż mogło mu grozić tu, na okręcie! O ile łatwiej jest zabić człowieka na łądzie, na łądzie wykraść dokumenty. Świat stoi otworem do ucieczki, okręt na pełnym morzu jest światem ograniczonym, zamkniętym. Z okrętu na pełnym morzu można uciec jedynie w wieczność. Carside przesadza najwyraźniej! Morderca popełniający na okręcie swą zbrodnię z góry skazywałby się dobrowolnie. Nie, Carside z pewnością obawia się niepotrzebnie o siebie! Starsi ludzie lubią przesadzać, a Carside przekroczył już dawno sześćdziesiątkę! Zresztą, gdyby nawet!...

Szelest wyrwał mister Logana z zamyślenia. Obrócił się leniwie.

--- Podziwia pan urok morza w nocy? --- usłyszał melodyjny, dźwięczny głos kobiety --- jest cudne, nieprawdaż, mister...

Wymieniła nazwisko, które w żadnym wypadku nie brzmiało *Logan*.

Anglik cofnął się zdumiony.

--- Skąd pani zna moje incognito! Niech pani mówi ciszej!

Roześmiała się swobodnie:

--- Skąd znam? Zbyt wiele fotografii pana widziałam w pismach ilustrowanych.

--- W istocie! --- odparł jej spokojnie --- stałem się odrobinę sławny od owej historii z van Lövenstamem⁽¹⁾ i od chwili wykrycia zamachu na konklawe. Niech pani nie zdradza mego incognito, miss Irwing! Chcę mieć spokojną podróż.

--- Ależ chętnie! --- odparła. --- Dochowam wiernie tajemnicy.

Odeszła do balustrady pokładu. Mimo bladego światła nocy uroda jej jaśniała wspaniałym blaskiem. Miss Alicja Irving była wysoką zgrabną blondynką o puszystych włosach, których złoto przechodziło w połyski miedziane. Wielkie niebieskie oczy okolone orzechowymi brwiami łączyły w sobie wesołość dziewczęcia z zadumą dorosłej kobiety. Nos miała prosty i kształtny, usta małe, czerwone. Była wysportowana i zdrowa, jak wszystkie Amerykanki. Jediną wadą jej urody było dziwne zaczerwienienie powiek, które występowało u niej raz silniej, raz słabiej. Gdyby nie owo zaczerwienienie powiek, można by ją nazwać klasyczną pięknoscią.

--- To dziwne --- rzekła. --- Mister Logan --- podkreśliła to nazwisko --- goni pan i tak bezlitośnie gnębi wszystkich głośnych przestępców, którzy mogą poznać pana tak łatwo z fotografii w pismach. Czy to częste portretowanie pana nie daje im bronii do ręki.

--- Nie sądzę! Zresztą i ja posiadam umiejętność zmiany fizjonomii! Czy pani na prawdę poznała mnie z fotografii, miss Irwing?

Popatrzył uważnie na kobietę, którą poznał dnia poprzedniego w sali bawialnej.

--- Ach nie! --- odparła --- to była błaga z mej strony! Znam pana od dawna.

--- Doprawdy! Od jak dawna?

--- Znam pana od dwu lat! Wtedy to widziałam pana po raz pierwszy.

--- Gdzie to było?

--- W kasynie gry w San Remo!

--- Nie przypominam sobie pani stamtąd!

--- Ale ja pana zapamiętałam. Miał pan niesłychane szczęście. Stawiał pan ustawicznie na zero i to zero wyszło wtedy kolejno dziewięć razy.

--- Tak, wygrałem wtedy faktycznie bardzo dużo. Bardzo żałuję, że nie miałem sposobności poznać pani wcześniej!

Alicja Irving spojrzała na niego uważnie.

--- Ja też --- odparła krótko.

Logan skłonił się jej mimo, że z brzmienia głosu nie mógł wywnioskować, czy mówi to poważnie, czy też z ironią.

--- Czy pan był w Ameryce --- zapytała po chwili milczenia panna Irving.
--- Oczywiście, że byłem. W 1920 roku. Miałem wtedy miłą okazję do ocalenia życia Ałowi Smithowi, na którego gotował zamach fanatyczny Ku-Klux-Klan.
--- A tak! Pamiętam! A teraz mister Logan? Po co pan tam jedzie?
Pytanie to było rzucone tonem tak ostrym i odrębnym od zwykłego melodyjnego brzmienia jej głosu, że zapytany spojrział na nią ze zdziwieniem: --- Jadę odebrać spadek --- odpowiedział spokojnie, na pół szyderczo.
--- Spadek? Gratuluję panu, mister Logan! Odchodzę, bo robi się chłodno i życzę panu, by pan szczęśliwie ów spadek odebrał! Good night!
Skinęła mu głową i odeszła. Mister Logan patrzył za nią przez chwilę.
Dziwna dziewczyna --- pomyślał. --- Dziwna i ładna zarazem.
Rzucił niedopałek cygara i zeszedłszy ze spardeku, skierował się ku zejściu do kabin.
Wówczas cień jakiś przesunął się obok niego bezszelestnie.
Logan obejrzał się:
--- Dreamer! --- wyszeptał zdumiony. --- No, no! Zdawać by się mogło, że śledzi mnie i Noego Carside'a, w każdym razie po co się koło nas kręci, u diabła?

⁽¹⁾ M. Romański -- *Tajemnica Kanału La Manche*.

ROZDZIAŁ III

Następnego dnia *Olympic* kołysał się trochę gwałtowniej, a pogoda dnia poprzedniego ustąpiła częstym szkwałom, które ciągle rosły. Nad oceanem wisiały płachty ciemnych chmur.

Młodszy porucznik zapytany o prognozę pogody odpowiadał z miną wytrawnego wilka morskiego, iż pogoda jest sztormowa, nie należy się jednak w żadnym wypadku obawiać czegoś niepomyślnego. *Olympic* jest transatlantykiem, który z nonszalancją może drwić z wszelkich burz i huraganów.

Wiadomości przyjmowano z prawdziwym zadowoleniem i mimo owej sztormowej pogody pasażerowie pierwszej klasy w doskonałych humorach zasiedli do obfitego lunchu. Zjawił się również kapitan Seattle, który uznał za stosowne obecnością swą dodać otuchy pasażerom.

--- Dzień dobry, mister Logan! --- powitał Anglika, wyciągając do niego swą szeroką dłoń. --- Cóż to, komandora Carside'a nie ma jeszcze przy stole?

--- Zaraz przyjdzie! Poszedł się tylko przebrać do swej kajuty.

--- Very well! Porucznik Monty pełni wachtę, sądzę więc, że mogę śmiało zaproponować panom ze dwie godziny pokera po lunchu.

--- Z przyjemnością, kapitanie! Pogoda jest w sam raz do tego stosowna!

--- Carside, przypuszczam, nie będzie miał również nic przeciw temu!

--- O, z pewnością! Poker to jego ulubiona gra.

Lunch mijał jednak, a komandor Noe Carside nie zjawiał się. Seattle się zaniepokoił.

--- Czy nie zasłabł przypadkowo? Może posłać po niego!

--- Nie sądzę, żeby zasłabł, ale może kapitan pośle boya, by powiedział, że czekamy na niego.

Kapitan zawołał chłopca i szepnął mu słów parę.

Chłopiec skinął głową na znak, że rozumie i odszedł wypełnić polecenie. Nie wracał dłuższy czas.

Nagle drzwi jadalnej sali otworzyły się i ukazał się w nich Dreamer, detektyw okrętowy.

Szedł, jak zwykle, pochylony naprzód, na jego suchej niemiłej twarzy malowała się powaga. Za nim postępował wysłany przez kapitana boy z wyrazem grozy na półdziecinnej twarzy.

Nagle wejście Dreamera jakby zmroziło pasażerów wstających właśnie od lunchu. Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Detektyw skierował swe kroki wprost ku stołowi, gdzie siedział kapitan Seattle i stanąwszy przed nim zapytał półgłosem: --- Pan kapitan posłał boya po komandora Carside'a?

--- Tak --- odparł Seattle.

--- Stało się nieszczęście, panie kapitanie. Usłyszałem właśnie wołanie chłopca i w kabinie numer sto dwa znalazłem komandora Carside'a martwego.

Ponad wrzawę wykrzykników, jakie padać jęły z ust przerażonych pasażerów, wybił się głos mister Logana.

--- Komandor Carside nie żyje?

--- Tak, mister.

Kapitan Seattle chciał o coś pytać, lecz Anglik ujął go za rękę.

--- Pan pozwoli, panie kapitanie. Przede wszystkim gdzie jest lekarz okrętowy?

--- Doktor Harriman jest na pokładzie.

--- A więc niech natychmiast uda się z nami do kabiny Carside'a. Mister Dreamer i boy

pójdą z nami.

Logan zwrócił się do pasażerów:

--- Stała się rzecz straszna --- rzekł --- proszę o zachowanie powagi i spokoju! Jeżeli to morderstwo -- morderca jest wśród pasażerów lub załogi *Olympica* i kimkolwiek by był, nie ujdzie surowej kary.

Kapitan, mister Logan, boy i detektyw, którzy pierwsi byli na miejscu nieszczęścia, wyszli z sali jadalnej i podążyli do kajuty numer 102.

Przy drzwiach oczekiwał ich błady lekarz okrętowy wraz z porucznikiem Montym, którego, idąc do sali jadalnej, Dreamer powiadomił o wypadku.

Tymczasem wieść o nagłym a tajemniczym zgonie mister Carside'a rozeszła się lotem błyskawicy po *Olympicu*. Nie wątpiono, iż popełniono morderstwo na osobie szanownego a sędziwego komandora, który nie miał żadnych powodów do odbierania sobie życia. Podziwiano odwagę mordercy, który znajdował się na pokładzie *Olympica*. Zabić człowieka na łódzie jakże jest łatwo. Cały świat stoi otworem do ucieczki. Ale zabić, zamordować na okręcie, z którego uciec czy ukryć się nie sposób, to była już nie odwaga bezczelna zbrodnia!

Toteż mimo ostrzeżenia Logana i wezwania pasażerów do oczekiwania w spokoju dalszych wypadków, wszyscy pasażerowie pierwszej i drugiej klasy podeszli ku zejściu prowadzącemu do kajut. Kapitan jednak przy kajucie nr 100 postawił straż z czterech marynarzy, którzy zamknęły przejście do fatalnej kabiny nr 102 i nie dopuszczali nikogo.

Tymczasem kapitan i Mr. Logan z towarzyszymi podeszli do kajuty Carside'a.

Dreamer uchylił drzwi.

Na podłodze kajuty, w kałuży własnej krwi, bez marynarki, w kamizelce tylko, z kolanami podgiętymi, z głową w bok przegiętą leżał trup komandora Noego Carside'a. W lewą pierś, w okolicy serca, wbity miał głęboko wążutki trójgraniasty sztylet -- narzędzie zbrodni. Na ustach krzepła krew.

Mr. Logan spojrział na martwe ciało i zmarszczył brwi. Jakże prędko wypełniły się obawy i przecucia tego człowieka. Od czasu, gdy powierzał swą tajemnicę i wyrażał swe obawy Loganowi, nie minęły przecież jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

Logan zwrócił się do kapitana.

--- Złożę pierwsze zeznanie --- rzekł. --- komandor Carside został zamordowany.

Przeczuwał swą śmierć, zwierzał mi się ze swych obaw.

--- Morderstwo nie ulega wątpliwości --- przyświadczył Dreamer.

Chciał wejść do kajuty, lecz Mr. Logan powstrzymał go.

--- Pan zostanie! --- rzekł. --- Wejdzie Mr. Harriman.

--- Wejść z nim razem, muszę rozpocząć badania.

--- Wejdzie pan potem --- odparł Logan z taką siłą i stanowczością w głosie, iż Dreamer cofnął się, mrużąc coś pod nosem.

Zażywny kapitan Seattle, przerażony i przybity, był niemym świadkiem tej sceny.

Mr. Harriman wszedł do kabiny i opuścił ją po krótkim badaniu ciała.

--- Komandor Carside --- rzekł --- poniósł śmierć natychmiastową. Sztylet naruszył serce i wywołał krwotok wewnętrzny.

Lekarz drżąc ze wzruszenia, trzymał w ręku skrwawiony sztylet o trójgraniastej klindze.

Seattle westchnął:

--- Biedny człowiek. Przebierał się widać do lunchu, gdy napadł go morderca.

--- Panie kapitanie --- ozwał się Logan. --- Mam do pana prośbę, jako do dowódcy tego okrętu. Proszę, by pozwolono mi obecnie wejść do kabiny zabitego.

Seattle zdumiał się.

--- Proszę, mister Logan.

Anglik wszedł szybko do kajuty i ku ogólnemu zdziwieniu zamknął drzwi za sobą. Nachylił się nad trupem i obejrzał go dokładnie. Rozprostował zaciśnięte kurczowo ręce trupa i obejrzał się uważnie. Następnie również uważnie zbadał podłogę kajuty. Wreszcie podszedł do szafki i otworzył ją. Na wierzchu leżała mała walizka. Logan pochwycił ją skwapliwie. Na wierzchu na walizce widniało u góry rzymskie III, wypisane czerwonym atramentem.

--- To ta! --- wyszeptał Anglik.

Szybko odwrócił ją dnem do góry. Wnet wyszukał piąty od lewej ręki gwoździak wbity w prawy kant dna walizki. Rozległ się trzask sprężyny. Otworzyła się skrytka, o której Carside mówił Loganowi.

Logan spojrzął i wydał cichy okrzyk zdumienia.

Skrytka była pusta.

Zginęły więc dokumenty, dotyczące niemieckich zbrojeń, zginęła kopia traktatu japońsko-niemieckiego, zginęła wreszcie owa bezcenna formuła chemiczna -- zazdrośnie ukrywana przez Niemcy tajemnica wyrobu thanatoidu.

Myśl Mr. Logana pracowała niezmiernie.

Szybko zamknął skrytkę walizki i wrzucił ją na dawne miejsce, po czym otworzył drzwi.

--- Wejdźcie panowie. Kapitanie! Jest pan tak wstrząśnięty, iż proszę, by mi pan pozwolił pomóc mister Dreamerowi w śledztwie.

Słowo *pomóc* wymówił Mr. Logan z ironią.

--- Wątpię, czy będzie mi pan w czym pomocny, mister Logan --- odparł sucho detektyw.

--- O niewątpliwie, mister Dreamer. Więc pan pierwszy był na miejscu zbrodni?

--- Pierwszy był boy.

--- A pan?

--- Wychodziłem właśnie z czytelnicy, idąc na lunch do kabiny porucznika Dohany'ego, gdy usłyszałem rozpaczliwy krzyk chłopca. Podbiegłem i zastałem to, co teraz widzimy.

--- Ach! Tak, mister Dreamer. Morderca jest niewątpliwie na okręcie, bo uciec, z niego nie mógł. Jak będzie go pan szukał?

--- Przesłucham wszystkich pasażerów --- odparł zapytany. --- Zbadam alibi wszystkich.

--- Zrobmy inaczej. Morderstwo nastąpiło w momencie, gdy niektórzy pasażerowie opuścili już salę jadalną po lunchu, zapytajmy, czy który z nich nie zauważył w korytarzu czegoś podejrzanego, nie spotkał kogoś.

Na zapytanie Mr. Logana wystąpił z grupy oddzielonych wartą marynarzy pasażerów pastor Middleton.

--- Ma nam pan coś do powiedzenia? --- zapytał go przyjaźnie Mr. Logan.

--- Tak, mister Logan --- odparł spokojnie pastor. --- Skończyłem wcześniej lunch i wyszedłem też wcześniej z sali jadalnej. Właśnie w czasie, kiedy, zdaniem pana, popełniona została zbrodnia...

--- Widział pan kogoś na korytarzu prowadzącym do kajut?

--- Tak.

--- Kogo? --- zapytał wśród głębokiej ciszy kapitan.

Duchowny wahał się przez chwilę, jakby bojąc się rzucić na człowieka niewinnego cień podejrzenia, po czym rzekł: --- Spotkałem mister Dreamera.

--- Ach. Więc chłopiec był już w kajucie Carside'a i wzywał pomocy --- ozwał się Mr. Logan --- a wielbny pastor widział mister Dreamera wybiegającego na ów alarm z czytelnicy na końcu korytarza.

Na twarzy pastora odbiła się wyraźna przykrość.

--- Nie, mister --- odparł --- widziałem mister Dreamera idącego przede mną w kierunku czytelnicy. Alarmu chłopca nie słyszałem, mam bowiem kabinę po drugiej stronie korytarza.

Mr. Logan obrócił się nagle i spojrzał w oczy Dreamerowi, który stał za nim.

--- To prawda --- odparł ów spokojnie. --- Gdy wszedłem do kajuty porucznika Dohany'ego zorientowałem się, iż zostawiłem książkę, którą czytałem. Ponieważ porucznik bawił jeszcze, widocznie, na mostku lub w kabinie nawigacyjnej, bowiem kabina jego była pusta, wróciłem się po tę książkę.

--- Ma ją pan obecnie przy sobie?

Dreamer popatrzał na Logana badawczo:

--- Pan, zdaje się, próbuje mnie indagować?

--- Nic podobnego. Chodzi nam o ustalenie okoliczności zbrodni. Ponieważ poszedł pan po książkę, wziął ją pan z sobą niewątpliwie.

--- Nie, zaledwie wszedłem do czytelnicy i sięgnąłem po nią, usłyszałem wrzaski boya. Porzuciłem ją więc i pobiegłem co tchu do niego.

--- Hm! Czemuż to nam pan nie powiedział od razu, że był pan dwa razy w czytelnicy?

--- To nie należy do rzeczy. Mister Logan, tracimy czas na zbędną paplaninę, zamiast szukać sprawcy zbrodni.

--- Sprawcę zbrodni wskażę panu natychmiast. Zbadamy tylko, czy komandor Carside używał zapalek z czerwonymi, czy z czarnymi łebkami.

--- Co? Pan żartuje?

--- Nie, wcale nie żartuję. Biedny komandor nosił zwykle zapalki w prawej kieszeni marynarki. Oto one. Oczywiście, komandor Carside zaopatrzył się przed drogą w dobre zapalki o czarnych łebkach. Był to człowiek starej daty, który nie lubił benzynowych zapalniczek.

Kapitan Seattle patrzył ze zdumieniem na Mr. Logana.

--- Mister Logan --- rzekł --- nie wiem, czy to, co pan robi, prowadzi do celu.

Zapytany wyprostował się.

--- Czcigodny pastor Middleton oddał nam nieocenioną usługę tym, że lunch zakończył dziś wcześniej. Mister Dreamer, oto parę szczegółów o mordercy. Przydadzą się panu. Człowiek ten jest pańskiego wzrostu, umie z pewnością po niemiecku, choć nie przyznaje się do tego. Używa zapalek o czerwonych łebkach w przeciwieństwie do zamordowanego; ma dziurę w jednej z kieszeni marynarki, włosy zaś jego...

Mr. Logan postąpił o krok, sięgnął ręką do kieszeni.

--- ...włosy zaś jego są tego samego koloru, co pańskie... Ręce do góry! Ręce do góry, drabie!

W dłoni Mr. Logana zabłysła nagle lufa rewolweru, który Anglik skierował na Dreamera.

--- Panie kapitanie! --- zawołał, wśród ogólnego osłupienia --- oto morderca komandora Noego Carside'a. Mów, łotrze, gdzie są papiery, które zrabowałeś. Ręce do góry, bo strzelę w łeb, jakem Mac Grady.

Trudno sobie wyobrazić wrażenie, jakie powstało wśród pasażerów na dźwięk tego nazwiska. Nie mniej zdziwiony był kapitan Seattle, który nie był wtajemniczony w incognito słynnego detektywa.

--- Mac Grady! Mac Grady! --- powtórzył Dreamer zbielełymi wargami.

Naraz wróciła mu przytomność. Rzucił się w bok, tak że na krótki moment usunął się z linii strzału. Ta chwila wystarczyła, w ręku Dreamera zabłysła długa lufa Colta.

Zwrócił się ku natłoczonym w korytarzu pasażerom:

--- Z drogi! Z drogi! Inaczej strzelam!

W paru skokach podbiegł ku pasażerom, którzy na widok zbrodniarza z rewolwerem w

ręku, jeśli uciekać w popłochu. Marynarze rozstąpili się instynktownie. Mac Grady nie mógł strzelać, obawiając się trafić kogoś z pasażerów. Wszystko to trwało kilka sekund.

Dreamer wbiegł po schodkach na pokład.

Mac Grady pobiegł w ślad za nim.

--- Trzymajcie go! trzymajcie! --- rzucił rozkaz marynarzom.

Przebiegł koło kilku nieprzytomnych z przestachu ludzi, zamajaczyła mu gdzieś na moment zdziwiona, przerażona twarz miss Alicji Irving, nim jednak wybiegł na pokład za Dreamerem, usłyszał trzy suche strzały rewolwerowe.

Miczman Gryps w zaciekłym pościgu za mordercą wpakował mu w łeb dwie kule, w chwili, gdy Dreamer przez burtę okrętu chciał skoczyć w morze.

Gdy Mac Grady przybiegł na rufę okrętu, Dreamer już nie żył.

W ślad za nim nadbiegł, dysząc ciężko, kapitan Seattle, porucznicy *Olympica*, załoga i pasażerowie.

Kapitan Seattle wezwał pasażerów do zejścia z pokładu do kabin, czytelnicy i sal bawialnych. Gdy wstrząśnięci do głębi podróżni usłuchali tego wezwania i rozproszyli się, kapitan Seattle westchnął głucho: --- Dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat jeżdżę na okrętach *White Star*, a nie przeżyłem czegoś podobnego.

--- Wiele dziwnych przejść oczekuje nas zapewne i w przyszłości --- odparł spokojnie ten, który na *Olympicu* nosił dotąd nazwisko Mr. Logana.

Mac Grady osadził monokl w oku i nachylił się nad trupem mordercy.

--- Dreamer zdradził tą ucieczką dostatecznie swą winę; chcę być jednak w zupełnym porządku. Oto, kapitanie, zapalki o czerwonych łepkach. Biedny komandor, broniąc się przed mordercą, chwycił go ręką za włosy. W czasie szamotania, zapewne otworzyło się w kieszeni Dreamera pudełko zapalek. W kieszeni miał Dreamer dziurę i przez nią kilka zapalek o czerwonych łepkach wypadło na podłogę kabiny numer sto dwa. Tam je też znalazłem. Co zaś się tyczy włosów -- oto pasemko ich znalezione w zaciśniętej dłoni komandora. Dreamer był mordercą i poniósł szybką, ale zasłużoną karę. W Stanach czekałaby go szubienica.

Mac Grady wstał i zbliżył się do kapitana:

--- Parę słów na boku, kapitanie.

--- Słucham, mister Lo... przepraszam mister Mac Grady.

--- Czy pan wie, czemu zginął komandor Carside?

--- Nie wiem, mister Grady, mówił pan coś o zrabowanych papierach.

--- Tak, mister Seattle, związany jestem słowem co do istoty tych papierów. Niech panu wystarczy, gdy powiem, że komandor Carside wiozł dla rządu waszyngtońskiego dokumenty polityczne niesłychanej wagi, zdobyte kosztem olbrzymich trudów. Papiery te zrabował Dreamer i dla wydarcia ich zamordował Carside'a. Był on ślepym narzędziem daleko sięgającej ręki, niemniej papiery zginęły. Niech pan poleci przeszukać dokładnie kabinę Dreamera. Jeżeli papiery się nie znajdują, niewątpliwie Dreamer miał współników na okręcie. Czy był on długo detektywem okrętowym *White Star Line*?

--- Odbywał zaledwie drugą podróż w tym charakterze. Miał świetne polecenia. Mister Grady, jak mam panu dziękować: --- To zbyteczne, kapitanie. Od Nowego Jorku dzielą nas jeszcze dwadzieścia cztery godziny drogi, może więc zwłoki Carside'a oddamy nie morzu, lecz ojczyściej ziemi. Odchodzę, bo mam jeszcze parę spraw do załatwienia. A niech pan nie zapomni, kapitanie, polecić opuszczenia flagi okrętowej do pół masztu: Carside był komandorem floty amerykańskiej. Niech mnie pan wezwie do podpisania protokołu wypadków.

Mac Grady skinął głową i odszedł; kapitan Seattle zaś z podziwem patrzył za tym człowiekiem, który gdziekolwiek się ukazał, siłą swej indywidualności zmuszał wszystkich do

posłuchu swym poleceniom.

ROZDZIAŁ IV

--- Więc pańskie starania, mister Grady, nie dały rezultatów?

--- Nie dały żadnych, miss Irving.

--- I twierdzi pan, że Dreamer miał współników na okręcie?

--- Niewątpliwie ich miał. Morderca nie miał czasu, by zniszczyć papiery. Przypuszczam też, że ten, kto wydał mu polecenie uprzątnięcia Carside'a, wydał mu też polecenie doręczenia dokumentów zainteresowanym stronom. Chociażby dla przekonania się, że Carside wiedział o różnych rzeczach, które winny były pozostać tajemnicą. Przeszukano najskrupulatniej wszelkie miejsca, gdzie Dreamer mógł papiery ukryć w tak krótkim czasie. Bez rezultatów. Niewątpliwie więc oddał te papiery współnikowi.

Miss Alicja podniosła na detektywa swe wielkie niebieskie oczy: --- Wydał pan zapewne odpowiednie zarządzenia, by wykryć owych współników.

--- Mac Grady uśmiechnął się:

--- Być może, miss. Jest pani błada i wygląda pani źle. Czy przypisać to wrażeniom dnia wczorajszego?

Skinęła głową:

--- Noc całą spędziłam bezsennie. Trup tego biednego Carside'a stał mi ciągle przed oczyma. To, co było wczoraj, było okropne, mister Grady.

--- Na łądzie w ojczyźnie, zapomni pani szybko o tym.

--- Tak, będę się starała zapomnieć o smutnych przejściach tej podróży. Ale wiele będę się starała zapamiętać.

--- Cóż takiego, na przykład?

--- Chociażby pana. Chwila zdemaskowania Dreamera była wprost wspaniała. Nie zawiódł pan moich nadziei, Mac Grady.

Detektyw skłonił się:

--- Postaram się ich nigdy nie zawieść. Wątpię jednak, czy spotkamy się jeszcze kiedy.

--- To zależy od pana. Dla mnie i dla moich rodziców będzie pan zawsze miłym gościem w Nowym Jorku.

--- Nie omieszkam skorzystać z zaproszenia.

--- Doskonale, mieszkam na Long Island --- wymieniła bliższy adres, który Grady sobie zapisał --- ojciec ucieszy się niezmiernie, gdy pana pozna.

--- Z równą przyjemnością poznam pana Irvinga.

Miss Alicja uśmiechnęła się w odpowiedzi.

--- Oto Ameryka --- rzekła, wskazując ręką przed siebie. --- Widać już Statuę Wolności. Co to?

Grady spojrział we wskazanym przez nią kierunku.

Od strony nowojorskiego portu płynęły ku *Olympicowi* trzy pióropusze dymu, zbliżając się szybko.

--- W dziwnych okolicznościach wpływa tym razem *Olympic* do portu --- ozwał się detektyw. --- Kapitan Seattle powiadomił władze drogą radiową o śmierci komandora Carside'a. Te trzy pióropusze dymu, to trzy amerykańskie okręty wojenne, które towarzyszyć nam będą jako honorowa eskorta ciała zmarłego.

W tej chwili do rozmawiających podszedł kapitan.

--- Mister Grady, wszystko w porządku.

--- Powiadomił pan władze portowe?

--- Tak. Przed chwilą otrzymałem radiogram. Wszystko przygotowane.

--- All right, kapitanie.

Punktualnie o godzinie pierwszej w południe wszedł *Olympic* do portu nowojorskiego.

Natychmiast na okręt przybyła komisja prohibicyjna, celna, lekarska i paszportowa. Prócz tego na pokładzie zjawili się elegancko ubrani panowie, którymi zaopiekował się szczególnie kapitan i Mac Grady. Byli to detektywi. Wymienili oni parę słów z mister Seattle'em i Gradym, po czym rozbiegli się, myszkując po całym okręcie.

Gdy przerzucono pomost na molo, u pomostu stało sześciu rostrych policjantów amerykańskich z gwiazdami na czapkach.

Wkrótce też przybyło paru oficerów amerykańskiej marynarki wojennej.

Wśród pasażerów okrętu rozbiegła się lotem błyskawicy wieść: --- Ścisła rewizja!

Jakoż była to w rzeczywistości ścisła rewizja. Przetrzęsano kajutę po kajucie.

Rewidowano najdokładniej papiery wszystkich pasażerów, wreszcie poddano ich rzeczy i walizy najskrupulatniejszej rewizji.

Szukano dokumentów wykradzionych zamordowanemu komandorowi Noemu Carside'owi.

W pewnym momencie ukazał się na pokładzie chłopiec okrętowy, niosąc w rękach dwie walizki, jedną mniejszą, drugą większą.

Detektywi zatrzymali go w przejściu.

--- Czyje to? --- zapytał komisarz policji.

--- To są walizki mister Mac Grady'ego --- odparł zapytany.

Stojący obok Grady skinął potwierdzająco głową i wyjął kluczyki z kieszeni.

--- Proszę, panie komisarzu. Niech pan podda ich zawartość takim samym badaniom, jak walizki innych, nie chcę być wyjątkiem.

Komisarz skłonił się kurtuazyjnie. Imię Grady'ego było bardzo popularne w Stanach Zjednoczonych od chwili wykrycia i udaremnienia zamachu na Smitha, którego komisarz uważał za najgenialniejszego prezydenta Unii.

--- To zbyt cenne, mister Grady. I tak mamy tyle roboty, że z przyjemnością zaoszczędzimy parę minut czasu.

Grady nie protestował i zwrócił się do chłopca:

--- Odnieś je do przechowalni bagażowej w porcie i przynieś mi kwity. Oto dolar za twe trudy.

Rewizja jeszcze trwała parę godzin. Detektywi opowiadali sobie potem, iż nigdy się tak nie napracowali jak owego pochmurnego popołudnia.

Wkrótce już był wiadomy wynik rewizji:

--- Bez rezultatów!

--- Bez rezultatów --- powtórzył Mac Grady, marszcząc brwi.

Komisarz O'Neill otarł pot z czoła.

--- Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

--- Jest więc jeszcze jedno do zrobienia.

--- Mianowicie?

Komisarz spojrział z uszanowaniem na Grady'ego.

--- Nie przestawać śledzić na łądzie pasażerów *Olympica*.

--- Ależ to szalona praca. Musiałbym zmobilizować całą policję.

--- Niech pan spowoduje swe wyższe władze, by to uczyniły mister O'Neill. Biada światu, gdy nie znajdziemy tego, czego szukamy.

--- A pan, mister Grady, co dalej uczyni?

--- Znajdziecie mnie w hotelu *Metropolitan*, jeżeli będę potrzebny. Muszę się jutro zająć własnymi sprawami, pojutrze udam się do Waszyngtonu, by zakomunikować rządowi Stanów to, co wiem od nieszczęsnego komandora. Są to rzeczy niezmiernej wagi.

--- A więc good bye, mister Grady.

--- Do widzenia!

Gdy detektyw opuszczał okręt, schodząc po pomoście na molo, usłyszał jeszcze za sobą głos: --- Do zobaczenia, mister Grady.

Obejrzał się, była to Alicja Irving. Ubrana w kostium sportowy, który uwydatniał jej harmonijne kształty, żegnała się z współpasażerami podróży. Grady'emu zdawało się, że oczy jej spojrzały na niego z niekłamana sympatią.

Mac Grady uchylił kapelusza.

ROZDZIAŁ V

--- Mister Grady, czy nie zaszła tu jakaś pomyłka?

Urządnic hotelu *Metropolitan* stał przed Mac Gradym, trzymając w ręku kwit na walizki oddane do przechowalni.

--- Jaka pomyłka?

--- Nasz boy hotelowy, który udał się po odbiór pańskich rzeczy, wrócił z wiadomością, iż ma pan do odebrania w przechowalni tylko jedną walizkę.

--- Nie jedną, a dwie walizki --- odparł zdziwiony detektyw --- przecież na dwie opiewa kwit.

--- Tak, mister Grady --- odparł urzędnik. --- Stwierdzono jednak, że jedną z walizek odebrał pan osobiście, zaledwie w godzinę po złożeniu w przechowalni.

Zdumienie Mac Grady'ego rosło.

--- Ja? Ja nie odbierałem nic. Jestem dzięki Bogu przy zdrowych zmysłach.

--- Wobec tego jedną z walizek pana ukradziono. Boy przyniósł z sobą tylko jedną.

Twarz detektywa spoważniała:

--- Ta sprawa nie jest tak prosta, jak pan sądzi. Niechże pan zbada sprawę bliżej. I proszę mi tu zaraz przynieść tę walizkę, którą boy przyniósł.

Życzeniu detektywa uczyniono zadość. Mac Grady stwierdził, iż była to mniejsza podręczna walizka.

Wkrótce też zakomunikowano mu szczegóły tej dziwnej sprawy. Poprzedniego dnia wieczorem zgłosił się do przechowalni jakiś pan, który wylegitymował się jako Mac Grady. Tłumaczył on, iż w rozgardiaszu, jaki panował na *Olympicu* przy opuszczaniu okrętu, zagubił gdzieś kwit bagażowy. Poznał swą walizkę, miał do niej kluczyk i wymienił jej zawartość. Wydano mu ją bez trudności. Rzekomy Mac Grady zapowiedział, że po drugą walizkę przyśle dnia następnego.

Czoło Mac Grady'ego, w czasie gdy słuchał tej relacji, zasepiało się coraz bardziej.

--- To wygląda wręcz sensacyjnie --- rzekł. --- W walizce tej były ubrania i rozmaite rzeczy niewielkiej wartości. Nie było tam nic, co by się mogło komukolwiek specjalnie przydać. To nie był zwykły złodziej, ów nieznamy, który odebrał walizkę, bo w takim razie czemu by mu zależało na mojej właśnie walizce?

--- Może powiadomić o wypadku policję?

--- Nie, nie trzeba! Zaczekam, jakie będą dalsze losy tej niesamowitej sprawy.

Gdy mister Grady został sam, zamyślił się głęboko:

Nie ulegało wątpliwości, iż kradzież walizki była czymś arcydziwnym. Mac Grady zestawiał fakt zginienia walizki z tym wszystkim, co się zdarzyło na *Olympicu*, starając się znaleźć związek w owym całym szeregu wypadków; że Dreamer miał współników na okręcie, w to nie wątpił ani na chwilę. Czy jednak między śmiercią Carside'a a kradzieżą jego walizki mogła zachodzić łączność? Niewątpliwie był ktoś, kto nad detektywem roztaczał ścisłą opiekę. Czyżby szukano na nim zemsty za Dreamera? Papiery...

Naraz myśl jedna wyjaśniła mu wszystko. Zdenerwowany, jął przemierzać swój apartament. Stanął u okna i wpatrzył się w dumne drapacze chmur.

--- Niewątpliwie --- szepnęła do siebie --- O'Neill zrobił źle bardzo, że nie poddał moich rzeczy rewizji.

Prawdziwość jego domysłu potwierdziła się następnego dnia rano. Spał jeszcze, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

--- Proszę!

Portier hotelu wszedł do pokoju.

--- Co się stało? --- rzucił Grady, zaspanym jeszcze głosem. Oprzytomniał jednak natychmiast, gdy usłyszał odpowiedź: --- Pańska walizka się znalazła.

Mac Grady wyskoczył z łóżka w piżamie.

--- W jaki sposób się znalazła?

--- Przyniósł ją właśnie w tej chwili posłaniec.

--- Czy jest jeszcze, czy już odszedł?

--- Zatrzymałem go w hallu hotelowym.

--- Doskonale pan zrobił... Proszę go tu przyprowadzić i przynieść natychmiast ową walizkę.

Przywołany jednak posłaniec niewiele wiedział. Jakiś starszy pan polecił mu na Broadway odwieźć natychmiast ową walizkę do *Metropolitan Hotelu* i zapłacił za odniesienie z góry. Zaznaczył przy tym, by się śpieszył, ponieważ Mac Grady opuszcza w najbliższych godzinach Nowy Jork.

--- Wiedzą o każdym moim kroku --- wyszeptał detektyw. --- Czyżbym miał podzielić los Noego Carside'a?

Gdy posłaniec i portier odeszli, Mac Grady otworzył walizkę. Wszystko było nietknięte i nieruszone. Na wierzchu tylko leżała ćwiartka papieru. Była ona zapisana paroma zdaniem.

Mac Grady pochwycił tę kartkę niecierpliwie w palce. Odczytał:

Niech nam pan wybaczy, Mac Grady, że skorzystaliśmy z pana walizki, by dzieło nasze doprowadzić do końca. Oczywiście słusznie liczyliśmy na to, że pełna kurtuazji policja amerykańska nie podda rewizji pańskich walizek. Okazało się to trafne. Dokumenty komandora Carside'a, przeniesione na łód w pana walizce, doręczone zostaną dziś rano ambasadzie niemieckiej w Washingtonie na dowód spełnienia naszego zadania...

Podpisu brakowało pod tym niezwykłym listem. Słowa były rzucone na papier energicznym ostrym piśmem kobiecym.

--- Stało się --- wyszeptał Mac Grady. --- Tym razem przegrałem.

I naraz oprzytomnił sobie, że sieci były zastawione znakomicie, że gdyby walizki jego poddano rewizji -- siedziałby obecnie w więzieniu amerykańskim, pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec. Wróg, z którym miał do czynienia, ów nieznany niewidzialny wróg był graczem nie lada.

Detektyw zamyślił się znowu i naraz, idąc za głosem tego dziwnego instynktu, który tak często wskazywał mu drogę postępowania i do niejednego prowadził sukcesu, podbiegł do telefonu.

Kazał się połączyć z oddziałem policji na Long Island.

Podał adres Alicji Irving. Nie czekał długo na odpowiedź. Nikt o tym nazwisku nie mieszkał przy alei i pod numerem podanym mu przez piękną pannę.

Mac Grady odebrawszy tę wiadomość, stał przez chwilę i patrzył na kartkę papieru, którą znalazł w swej walizce.

To, że Alicja Irving podała mu fałszywy adres i to, że kartka, którą trzymał w ręku, pisana była ręką kobiecą, kojarzyło się dziwnie w jego umyśle.

Zadzwoił gwałtownie. Boy hotelowy zjawił się cicho jak duch.

--- Rachunek! Wyjeżdżam natychmiast do Waszyngtonu.

ROZDZIAŁ VI

Admirał bystrym zimnym spojrzeniem ogarnął skupionych przy wielkim stole oficerów eskadry. Znalazł w ich oczach zapal i przywiązanie.

Siwa głowa admirała Osaki pochyliła się znów nad stołem.

Dwanaście par skośnych oczu wpiło się w wielką mapę Oceanu Spokojnego, która zajmowała prawie cały stół.

Admirał Osaka zawisł chudym żółtym palcem na plamie, zaznaczonej na mapie inną farbą, niż wody oceanu.

--- Taki jest rozkaz Mikada --- rzekł krótko.

Oficerowie pochylili głowy.

Admirał jął im w zwięzłych zdaniach tłumaczyć plan wyprawy.

Japońskie ministerstwo marynarki otrzymało sprawdzone wiadomości, iż dwie silne eskadry floty Stanów Zjednoczonych wyruszają dnia następnego na wody Oceanu Spokojnego, by na wypadek wybuchu wojny służyć za obronę wyspom Sandwich i Filipinom. Plan wyprawy ma więc tylko wtedy szanse powodzenia, gdy eskadra japońska zdoła uprzędzić flotę Stanów Zjednoczonych i wykonać swe zadanie przed jej przybyciem. Admirał nie mówił oficerom na czym polegać ma owo zadanie, stuknął tylko parę razy palcem w ową brązową plamę na mapie Oceanu Spokojnego. Plama ta oznaczała wyspy Hawaje, czyli Sandwich.

Któryś z młodszych oficerów zapytał:

--- Czy przystępujemy już do działań wojennych?

Admirał japoński utkwiał w pytającym swe starcze, wyblakłe oczy i nic nie odpowiedział.

Potem zaś spokojnym ciągle i cichym głosem jął dawać polecenia w jakim porządku i w jaki sposób ma eskadra opuścić Jokohamę, by jak najmniej zwrócić na siebie uwagi.

O godzinie szóstej wieczór na okręcie admirałskim *Księżę Hirohito* podniesiono sygnał C6. Według kodu japońskiego oznaczał on: *zwiększyć parę pod kotłami*.

W trzy godziny później dano rozkaz odkotwiczenia. Zapowiadała się ciemna wietrzna noc. Wszystkie inne rozkazy były wcześniej wydane przez admirała Osakę. Z polecenia dowódcy eskadry pogaszone zostały wszystkie światła. Jedynie na pokładzie admirałskiego okrętu migwały błędne, ruchliwe światełka latarek.

Oficerowie japońscy przeważnie niscy i krępi, o dziwnym wyrazie stanowczości zastygłym na żółtych obliczach, stali grupkami u kabestanów, pilnując prawidłowego podnoszenia kotwic.

Pierwszy opuścił port wojenny w Jokohamie *Księżę Hirohito*. Przemknął się w mrokach, jak potworny olbrzymi cień, i zapadł w ciemność po wyjściu z portu. Boczne latarnie miał zgaszone, prowadził jedynie nikle światełko śladu torowego.

Za nim bezszelestnie i cicho wymykać się poczęły inne okręty eskadry. A więc lekki krążownik *Furutaha*, krążowniki *Fudzijama*, *Jamamoto*, wreszcie drugi obok *Księcia Hirohito* liniowiec szczerzący w pomrokach złowrogie paszcze dział -- *Samuraj*.

Eskadra kontrtorpedowców i łodzi podwodnych wyszła była z portu jeszcze rano pod pozorem ćwiczebnego strzelania. Miała ona stanowić osłonę eskadry.

Okręty wymknęły się z portu wśród najgłębszej ciszy -- ludzie mimowiednie tłumili oddech w piersi i rozmawiali półgłosem, a nawet maszyny zdawały się tej ponurej nocy pracować z mniejszym hałasem niż zwykle. Nikt z załogi nie wiedział dokąd udaje się eskadra, a przecież dla nikogo z nich nie ulegało wątpliwości, że nie jest to ćwiczebne wyjście w morze -- lecz marsz ku wielkim nieznanym wypadkom.

Eskadra szła w szyku torowym za przednim matelotem⁽¹⁾, na którym admirał Osaka czuwał niestrudzenie.

*

Promienie słońca grają w grubych szklach iluminatorów. Mosiężne oprawy kompasów świecą się w ich blaskach. Promienie słońca ześlizgują się po masztach, zdają się spływać po wantach, srebrzą się anteny radiostacji okrętowych. Japońskie kontrtorpedowce myszkują po Oceanie Spokojnym, poprzedzając płynącą eskadrę. Czasem wyłania się z fal na krótką chwilę wieżyczka płytko zanurzonego peryskopu łodzi podwodnej.

Na masztach okrętów powiewają dumnie bandery Państwa Wschodzącego Słońca. Kontradmiral Tanaka składa raport admirałowi Osace. Stary marynarz spogląda na zegarek.

--- Przed północą musimy osiągnąć wyspy Sandwich. Czy spełniono moje rozkazy?

--- Tak jest, maszyny pracują przy maksymalnej ilości obrotów.

--- Dobrze, o czwartej po południu zarządzić trzeba zbiórkę całej załogi. Co sygnalizują torpedowce?

--- Droga jest wolna.

Siwe brwi admirała zbiegają się w węzeł nad nosem:

--- Przybliżając się do brzegów wysp, napotykać zaczniemy cargo i okręty handlowe. Wejdziemy na uczęszczany farwater⁽²⁾...

Admirał przerwał, po czym ozwał się z naciskiem.

--- Nikt, nikt nie śmie wiedzieć na Wyspach Hawajskich i na świecie, iż na wodach Oceanu płynie eskadra japońska. Nikt nie śmie wiedzieć do godziny dwunastej w nocy. Rozumie pan, panie admirale?

Baron Tanaka skłonił się:

--- Rozumiem.

Admirał Osaka zwrócił się do adiutanta:

--- Poruczniku Adaczi, czy przygotował pan, co poleciłem?

--- Tak, admirale.

Osaka uśmiechnął się:

--- Nadaj przez radio okrętom całej eskadry za pomocą szyfru klucz numer III: *Z rozkazu admirała okręty Jego Cesarskiej Mości Mikada zmienią bandery japońskie na bandery wojenne Stanów Zjednoczonych. Napisy z nazwami okrętów zasłonić!*

Kontradmiral Tanaka cofnął się zdziwiony:

--- Prawo międzynarodowe... --- wyjąkał.

Osaka utkwiał w nim oczy nieznoszące sprzeciwu.

--- Co pan mówi, baronie?

Tanaka zaczerpnął powietrza w płuca:

--- Mówię, admirale, że prawo międzynarodowe stawia czyn podobny w rzędzie bezprawia i gwałtów --- odparł śmiało.

Nastąpiła chwila milczenia.

--- Kontradmirale, baronie Tanaka --- ozwał się wreszcie dowódca eskadry, akcentując każde słowo --- w chwili, gdy jestem na wojennej wyprawie, gdy mam spełnić zadanie dla dobra

Japonii i cesarza, znam tylko jedno prawo międzynarodowe. Czy wie pan, jak się owo prawo nazywa?

Oficer stał wyprężony w służbowej postawie. Osaka patrzył nań surowo: --- Prawo to zowie się: Zwycięstwo! --- dokończył dumnie. --- Proszę o zameldowanie mi w ciągu pięciu minut o wykonaniu mego rozkazu przez eskadrę...

Konradmirał Tanaka wyszedł. W chwilę potem z masztów i gafl⁽³⁾ japońskiej eskadry spadły bandery Wschodzącego Słońca, a w miejsce ich wystrzeliły w niebo gwiazdziste amerykańskie bandery.

Nie minęło pięć minut, gdy konradmirał Tanaka meldował dowódcy o wypełnieniu rozkazu.

Na zwiędłych wargach admirała wykwitło coś jakby uśmiech. Europejskim zwyczajem wyciągnął do oficera rękę: --- Dziękuję panu! Gdy synowie jednej ojczyzny idą walczyć dla jej dobra, nie może być między nimi zwady.

Konradmirał, baron Tanaka, uściśnął wyciągniętą doń rękę dowódcy.

Nad eskadrą słały się w czystym powietrzu pióropusze dymów.

*

O godzinie czwartej po południu admirał Osaka wraz z dowódcą okrętu czynił przegląd załogi na liniowcu *Księżę Hirohito*.

Stali na pokładzie uszykowani w karne szeregi, o nieruchomych skośnych oczach, wystających policzkach powleczonych żółtą skórą, wyprostowani pod sznur, poderwani na komendę *baczność*.

Osaka przechodził przed tymi szeregami wolnym krokiem.

Spojrzenie jego pozornie na nikogo nie było skierowane, a przecież każdy z marynarzy czuł na sobie jego przenikliwy wzrok. Oczy admirała patrzyły na nich wszystkich, a zarazem na każdego z osobna. Badały, zachęcały, dodawały odwagi.

Takich samych przeglądów dokonywali w tym samym czasie dowódcy eskadry. Ukończywszy przegląd admirał Osaka przemówił donośnym twardym głosem: --- Żołnierze Mikada! Jesteście na wojennej wyprawie! Wybiła godzina porachunku z odwiecznym naszym wrogiem, z wrogiem zza oceanu, z białym wrogiem, którego bandery wywiesiliśmy chwilowo, gwoli wojennego podstępu. Gnębiciel naszych braci, którzy za ocean po pracę wyemigrowali, nie będzie nam już dłużej groził, nie będzie więcej deportował synów Japonii jak zbrodniarzy z granic Ameryki. Chwila porachunku nadeszła. Wojna wypowiedziana zostanie w najbliższych godzinach. Dziś w nocy salwy naszych armat zagrzmia nad wyspami Sandwich.

--- *Banzaj!*⁽⁴⁾

--- *Banzaj!* --- powtórzyli oficerowie, podnosząc ręce do czapek.

--- *Banzaj! Banzaj!* --- zagrzmiało chórem na liniowcu.

--- *Banzaj!* --- rozległo się równocześnie na innych okrętach eskadry, gdzie dowódcy odczytywali w tym samym czasie rozkaz admirała.

--- *Banzaj! Banzaj! Banzaj!*

Zanim przebrzmiały te okrzyki, na mostku admiralskim wystrzelił na flaglinkach sygnał i dźwięki trąbki rozsypały się po okręcie.

Okręty eskadry powtórzyły oba sygnały natychmiast.

Głosiły one:

Alarm! Przygotowanie do boju! Wszyscy na stanowiska!

Słońce, chyląc się już ku zachodowi, przeglądało się uporczywie w potwornych lufach dział okrętowych.

*

Wyspy Hawajskie układały się spokojnie do snu. Ani na wyspie Hawai'i, ani na O'ahu, ani też na Moloka'i, ni innych wyspach Archipelagu Sandwich nikt nie przeczuwał jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Mieszani mieszkańcy wysp Sandwich są pogodnymi ludźmi. Hawajczycy wiedzieli oczywiście o konflikcie amerykańsko-japońskim. Wiedzieli, iż Japonia w ostrej nocy żądała od rządu Stanów Zjednoczonych zmiany postępowania wobec Żółtych i zniesienia dla Japończyków szczególnie ostrych przepisów migracyjnych. Nikt jednak ani na O'ahu, ani na Moloka'i, ani w Honolulu, ani w Kawaihae nie przypuszczał nigdy, by zatarg miał skończyć się wypowiedzeniem wojny, by nie zdołano spraw spornych załatwić w sposób pokojowy. Nie brakło wprawdzie i na Hawajach, podobnie jak i w Stanach, głosów stuprocentowych jankesów, iż warto by tę *żółtą psiarnię* nauczyć moresu, ale wszyscy rozumieli doskonale, że są to po prostu ot tak na wiatr rzucane słowa i że rząd prezydenta Smitha bynajmniej do wojny nie dąży.

Jeżeli istniały na wyspach Sandwich jakiegokolwiek obawy co do zaatakowania wysp w razie rozpoczęcia działań wojennych, to w doskonały humor wprawiła mieszkańców wiadomość codziennych pism donosząca, iż admirał Buttler z dwiema eskadrami floty Stanów Zjednoczonych opuścił San Francisco i zdąża pełną parą ku Wyspom Hawajskim, by w razie potrzeby wysp bronić.

--- No, ten im da bobu --- mówiono dnia tego w kawiarniach. --- Oczywiście, jeżeliby do czegoś doszło.

Nikt w to dojsście do *czegoś* nie wierzył.

*

Noc ciemna i głucha jak noce poprzednie. Morze huczy, przelewa się i szumi. Wiatr gra w wantach okrętów japońskich. Cyt. Jak zamaskowany bandyta nocną porą do śpiącego domu chyłkiem się skrada, tak chyłkiem pod maską amerykańskich bander, z pogaszonymi światłami podchodzi do brzegów Wysp Hawajskich nieprzyjacielska flota.

W blokhauzach pancernych krążowników strażują rozdzielone na stanowiskach osady. W obserwatoriach czuwają oficerowie artylerzyści i obserwatorzy, podoficerowie dalekomierzowi u telemetrów pełnią czujną straż. Inni pochyleni są nad indykatorami odchyień, które w momencie

boju będą natychmiast potrzebne. Celowniki otoczone są czułą opieką. Działonowi przy działach okrętowych cichą zabawiają się rozmową.

Na torpedowcach, u podwójnych wyrzutni torped, czekają na sygnał mali, zółci, milczący torpedyści.

Nikt nie spał z całej eskadry, jeden tylko admirał Osaka odpoczywa. Kazał się zbudzić o godzinie 11:30 w nocy, wcześniej tylko w razie nieprzewidzianego niebezpieczeństwa.

Eskadra japońska omija cicho i niepostrzeżenie wyspy Ni'ihau i Kaua'i oraz rafę Tahura. Z rozkazu admirała flota japońska ma rzucić postrach na swego wroga zbombardowaniem stolicy Wysp Hawajskich, miasta Honolulu na wyspie O'ahu. W Honolulu mieści się silna stacja radiofoniczna, należy więc i ją zniszczyć i zerwać komunikację ze Stanami, odciąć O'ahu od świata.

O godzinie dwunastej w nocy sępy japońskie są o 6000 metrów od wyspy O'ahu. Torpedowiec japoński M17 zatapia napotkany okręt handlowy, idący pod flagą Stanów Zjednoczonych.

Admirał Osaka obejmuje z powrotem dowództwo eskadry. Kilka cichych zdań wymienia ze swymi podkomendnymi. Kontradmirał Tanaka wydaje jakieś rozkazy.

Godzina 12 w nocy minut 10.

Przed eskadrą japońską, daleko, widać przez silne szkła światelka mgławce. Światła portu w Honolulu. Latarnia morska rzuca błyski światła, które ześlizgują się z rozigranych fal. Honolulu śpi.

Nagle z okrętów japońskich wytryskują snopy światła, jasnego, oślepiająco białego światła. Światła te wędrować zaczynają po czarnym niebie, wrzynają się w mrok.

Reflektory japońskie o niezwykłej sile światła rozpoczynają swą działalność.

Dzwonki telegrafów okrętowych. Rozkazy do maszyn z kapitańskich mostków.

Dzwonki ogniowe w blokhauzach.

--- *Banzaj! Banzaj!*

Działa okrętów japońskich zaczynają wyc w mrok, w ciemność, w wicher -- wyc ku owym migotliwym, dalekim światłom Honolulu. Wyją jak szakale do księżycy w osypiskach pustynnych piasków. Na obracalnych wieżach pancernych kołyszą się potworne ich lufy jak głowy jadowitych węży szukających kogo by ugryźć.

--- Pal! Pal! Pal!

--- *Banzaj! Banzaj!*

Admirał Osaka wie; że nic mu nie grozi, wie, że w porcie są trzy torpedowce amerykańskie i jeden lekki krążownik. Ale cóż one są w mocy zrobić? Para pod okrętami amerykańskimi nie jest podniesiona. Oficerowie bawią na lądzie. Admirał Osaka wie, że nic mu nie grozi.

Rozkaz admirała Osaki do wszystkich okrętów eskadry:

Bandery amerykańskie w dół! Bandery japońskie na maszty!

Sępy morskie zrzucają maskę.

Eskadra idzie w szyku czołowym, maszyny na pół szybkości.

Torpedowce przed krążownikami rozsypały się szerokim wachlarzem, jak charty, tropiące lisa, przed końmi dojeżdżaczów.

*

Honolulu się budzi w piekle bombardowania.

--- Szybki ogień!

O tej samej godzinie, w tym samym czasie, kiedy pierwsze strzały padają z okrętów japońskich na śpiące miasto, w dalekim Washingtonie ambasador japoński wręcza sekretarzowi stanu do spraw zagranicznych wypowiedzenie wojny.

Wobec tego, iż rząd Stanów Zjednoczonych nie dał zadowolającej odpowiedzi na notę cesarskiego rządu z dnia rząd japoński, zmuszony bronić praw swych obywateli zawiadamia, iż z chwilą wręczenia tej noty uważa się za będący w stanie wojny...

Ambasador japoński prostuje swą zapadłą pierś, składa ceremonialny ukłon i opuszcza gabinet.

Pod Honolulu wyją japońskie armaty, siejąc śmierć i zniszczenie.

*

Lekki krążownik amerykański, stojący w porcie w Honolulu, zostaje storpedowany. Od ognia dział japońskich płoną portowe składy.

Popłoch, panika, zamieszanie. Z błęgiego snu wyrwani, w piekło rzeczywistości z marzeń sennych przeniesieni, tracą głowy obywatele hawajscy.

Jak piorun idzie wieść groźna.

--- Flota japońska bombarduje O'ahu!

Płonie już pałac gubernatora. Każda salwa japońskiej artylerii niesie zniszczenie i zagładę.

--- 5800 metrów. Pal! 5600 metrów. Pal! Pal! 5000 metrów. Pal! Pal! Pal!... 4200 metrów.

Reflektory japońskie badają skrzętnie niebo i wybrzeża.

--- Banzaj! Banzaj!

W radiostacji w Honolulu tylko jeden radiotelegrafista nie traci głowy. Przy aparacie nadawczym pochyłony rzuca w świat straszną wiadomość. Póki czas! Póki czas!

Działa japońskich krążowników natrafiają wreszcie na cel najbardziej pożądaną. Antena nadawcza radiostacji zostaje zniesiona jedną salwą. Za nią następują inne salwy.

Telegrafista ginie na posterunku.

*

Amerykańskie eskadry dążą do Honolulu spokojnie, niczego nie przeczuwając.
Admirał Buttler w swej mesie na pancerniku *Idaho* gra w pokera z oficerami wyższych stopni. Admirał nie lubi przegrywać. Zżyma się wtedy i chmurzy. Dziś dopisuje mu szczęście. Wygrywa.

Wygrywa raz za razem.

Komandor Lewis Stone opowiada w przerwach wesołe anegdotki. Admirał śmieje się wesoło.

--- Pana opowiadki, komandorze, nie są literaturą dla podlotków.

Ktoś puka do drzwi mesy. Oficer wachtowy z meldunkiem.

--- Radiotelegrafista odebrał właśnie...

Oficer urywa i podaje radiotelegram. Wszyscy mimo woli milkną.

Admirał odczytuje.

Radiotelegram jest jednym zdaniem uporczywie w świat rzuconym:

Flota japońska bombarduje O'ahu! Flota japońska bombarduje O'ahu! Flota jap...

Admirał zrywa się z miejsca. Gorączkowe słowa, pytania i odpowiedzi krzyżują się jak ostrze szpad.

Buttler a za nim oficerowie wypadają na pokład. Zimny nocny wiatr chłodzi czoła rozpalone, siecze i tnie policzki ostrym podmuchem.

Admirał twarzą całą poddaje się orzeźwiającej fali powietrza.

--- Jak daleko oddaleni jesteśmy od wysp Sandwich?

Admirał rzuca te słowa ot tak, na ów wiatr zimnem siekący policzki, nie czeka odpowiedzi, bo wie, że o wiele jeszcze godzin drogi, że przybędzie za późno.

--- Maszyny na maksymalną ilość obrotów, kotły obciążyc do możliwej granicy atmosfer!

--- Naprzód! Naprzód!

Admirał Buttler wie, iż nie jego będzie winą, gdy na czas nie zdąży, ale rad by zdążyć... na przekór rzeczywistości.

--- Naprzód! Naprzód!

Śruby okrętowe wżerają się w fale z obłądną szybkością, admirał zatapia oczy w mrok, wokół słyszy szepty ciche podwładnych: --- Japończycy... na O'ahu!... Więc wojna!

--- Naprzód! Naprzód!

*

Z bladym brzaskiem dnia, na tle którego dymi płonące od pocisków armatnich Honolulu, triumfujące okręty japońskie rozpoczynają odwrót. Po drodze ostrzelują Ni'ihau i Kaua'i.

Spełniły swe zadanie. Nie napastowane przez nikogo, podkradłszy się podstępnie ku wyspom archipelagu, zniszczyły stolicę wysp Sandwich, nieszczęsne Honolulu, sterroryzowały mieszkańców. Wieść o napadzie floty japońskiej na wyspy wzbudziła w Stanach Zjednoczonych grozę i przerażenie.

Nim wieść ta jednak dotarła do Washingtonu, eskadra japońska opuściła szybko miejsce nocnego dramatu i powróciła, ile tchu w płucach maszyn, do bezpiecznych rodzimych portów.

*

Przepowiednie komandora Noego Carside'a spełniły się co do joty. Rząd amerykański, lubo ze szczegółowego raportu Mac Grady'ego wiedział w ogólnych zarysach, co było treścią wykradzionych papierów Carside'a, a przecież nie mając dokumentów w rękach, nie mógł zdemaskować planów japońsko-niemieckich i postawić ich pod pręgierzem świata.

W tydzień po wypowiedzeniu Stanom wojny przez Japonię uczyniły to samo Niemcy. Ujawniony został jednocześnie tajny pakt japońsko-niemiecki.

--- Podpis Niemiec widnieje na pakcie Kelloga!... --- zauważył wzruszony amerykański sekretarz stanu do spraw zagranicznych, odbierając od ambasadora Niemiec notę z wypowiedzeniem wojny.

--- Niemcy dla dobra swego zmuszone są przekreślić ten podpis! --- odparł dumnie hrabia von Brockendorf.

Niemcy wybrały znakomity moment wypowiedzenia wojny, bowiem Anglia zajęta była właśnie tłumieniem powstania w Indiach i zamieszkami w Egipcie, Francja zaś przechodziła ciężki kryzys wewnętrzny walki z komunizmem. Oba te państwa nie mogły więc wystąpić przeciwko Niemcom z powodu swych kłopotów wewnętrznych.

Stany Zjednoczone w czasie tej wojny miały do zwalczenia jeszcze jednego potężnego wroga, była to tajemnicza, nieuchwytna organizacja działająca na terenie Stanów.

I tu znowu spotykamy się z Mac Gradym.

⁽¹⁾ matelot -- tu: okręt w szyku bojowym określany ze względu na jego położenie w stosunku do innego okrętu (np. m. lewy, przedni).

⁽²⁾ farwater -- tu: droga wodna.

⁽³⁾ gafel -- ukośne drzewce wsparte jednym końcem o maszt.

⁽⁴⁾ *banzaj* (jap.) -- japoński okrzyk wyrażający radość, uznanie, pozdrowienie: *Niech żyje!*, *Hurra!*, wiwatowanie na cześć kogoś lub z powodu osiągnięcia czegoś.

ROZDZIAŁ VII

Pułkownik Rangoon podniósł wzrok z nad biurka.

--- A, to pan, mister Coal!

--- Tak, to ja, pułkowniku! Chciałem się zapytać...

--- Słucham pana.

--- Co mam powiedzieć prasie... Dziennikarze zaprosili się dziś do nas na godzinę dwunastą.

--- Co ma pan im powiedzieć?

Pułkownik Rangoon nastroszył siwe brwi i jął pukać palcami po biurku. Twarz jego wyrażała głęboką troskę.

--- Niech pan siada, mister Coal. O cóż nas oni pytać będą? Czego chcą?

--- To jasne, pułkowniku! O te nieszczęsne katastrofy! Opinia publiczna Stanów Zjednoczonych jest w najwyższym stopniu zaniepokojona.

Rangoon skinął głową:

--- Zupełnie słusznie zaniepokojona. Osiem wielkich katastrof kolejowych w ciągu niecałych sześciu tygodni. I pomyśleć, że wszystkie te katastrofy dotknęły pociągów wiozących bądź naszych ochotników, bądź materiał wojenny!

Stary szef bezpieczeństwa zamyślił się:

--- Mówię to panu poufnie. Pod hangarami samolotowymi w West Point znaleziono parę dni temu podłożone silne bomby. Piroksylina! Gdyby nie przypadkowe odkrycie pewnego mechanika, hangary w West Point nie istniałyby już dzisiaj. Każda bomba zaopatrzona była w precyzyjny mechanizm zegarowy!

--- Słusznie! --- wyszeptał mister Coal. --- I kto, kto jest sprawcą tego wszystkiego?

Szef bezpieczeństwa, pułkownik Rangoon, uderzył pięścią w stół: --- Kto jest sprawcą, mister Coal? Ja nie wiem, nie wiem kto, nie mam najmniejszych poszlak! Sprawcy są nieuchwytni! Jeżeli jeszcze nastąpi kilka podobnych niespodzianek, ja, pułkownik Rangoon, będę zmuszony podać się do dymisji! *New York Times* zaczyna się już domagać tego. Zarzucają nam niedołęstwo.

--- Tym niemniej co powiemy prasie?

--- Nie możemy im powiedzieć prawdy! Nie możemy powiedzieć, że nie wiemy nic. Wzbudziłoby to zrozumiałe zaniepokojenie i brak wiary w nas. Musimy coś wymyślić, mister Coal.

--- O, oni się byle czym nie zadowolą. To są spryciarze!

--- Wiem o tym. Nie mogę im przecież powiedzieć, iż przypuszczamy, że omawiane wypadki były dziełem jednej znakomicie zakonspirowanej szajki zbrodniczej, a nad to przypuszczenie nie wiemy nic!

--- Tak, tego im faktycznie nie możemy powiedzieć!

--- Powiemy im więc co innego, mister Coal. Przeprosi ich pan, że nie wyjdę, jak się zjawia; powie pan, że przygotowuję raport dla prezydenta. Niech pan im powie, iż posiadamy niezbite dowody, że owe katastrofy kolejowe były dziełem zbrodniczego działania anarchistów. Policja amerykańska jest już na tropie owej organizacji...

Twarz mister Coala rozjaśniała się.

--- Rozumiem już, pułkowniku.

--- Tak, to będzie dobrze. I jeszcze jedna rzecz. Przedstawiciela *New York Timesa* niech pan poprosi prywatnie na konferencję ze mną, dziś na piątą po południu!

--- Dobrze, mister Rangoon!

Referent prasowy wysunął się cicho, jak wszedł. Pułkownik Rangoon przesunął ręką po czole i zagłębił się w raportach przygotowywanych z polecenia sekretarza. stanu dla prezydenta Unii.

--- Jednego śladu.. Jednej poszlaki --- wyszeptał do siebie.

W miarę jak raz jeszcze wgłębiał się w treść owych protokołów, które tyle razy przeglądał, surowa twarz jego poważniała jeszcze bardziej. Pionowa fałda przecięła czoło pułkownika.

--- Katastrofa kolejowa pod Lynn --- odczytywał z akt pułkownik --- złe nastawienie zwrotnicy, 35 osób zabitych, 83 ranne. Katastrofa na 48 kilometrów od Sacramento. Pociąg wojskowy nr. 718 wykoleił się z powodu rozkręcenia szyn. Trzecia katastrofa pod Detroit. Pociąg pospieszny z Chicago zderzył się z ekspresem z Buffalo. Przyczyną znowu nie nastawiona należycie zwrotnica. Budnik posterunku *F VI*, którego zadaniem była regulacja ruchu w tym punkcie, znikł od tej chwili bez śladu. Nie wiadomo, czy on dokonał zbrodniczego czynu, czy usunięto go jako przeszkodę zbrodni...

Ostry dzwonek telefonu przerwał pracę pułkownikowi Rangoonowi. Podniósł słuchawkę.

--- Tak, tu pułkownik Rangoon. Słucham? Co?? --- zawołał nagle zmienionym głosem.

Wziął do ręki ołówek i jął notować. Poruszoną głosem powtarzał słowa telefonogramu:
--- *Dziś o godzinie 11:30 ekspres wojskowy idący do Nowego Orleanu, o 3 kilometry od blokhauzu nr. 137 w niewytłumaczony sposób wszedł na ślepy tor. Cały pociąg uległ zdruzgotaniu, staczając się z nasypu wysokiego na dwa metry. Dotąd stwierdzono 97 zabitych i z górą 200 rannych...*

Ołówek pułkownika Rangoona ślizgał się nerwowo po papierze.

ROZDZIAŁ VIII

Dick Gates, posterunkowy 668 blokhauzu, odłożył słuchawkę telefoniczną i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Od kilku dni żył pod wrażeniem straszliwych katastrof kolejowych, które raz po raz zdarzały się na terenie Stanów Zjednoczonych, szczególnie pod wrażeniem katastrofy ekspresu wojskowego pod Nowym Orleanem. Prasa Stanów Zjednoczonych nie ukrywała przed opinią publiczną, iż owe katastrofy są powodem zbrodniczej działalności anarchistów.

Blokhauz Dicka Gatesa, gdzie jako kawaler samotnie przebywał, oddalony był o 20 kilometrów od najbliższej większej stacji, był to jeden z małych posterunków kolejowych, gdzie jednak zmieniały się tory, dlatego też służba Gatesa była odpowiedzialna.

Dick Gates nie był tchórzem. Obawiał się bardziej o swą reputację wzorowego pracownika niżli o życie. Mimo to z wielką radością przyjął wiadomość zakomunikowaną mu przed chwilą przez biuro węzłowej stacji, że kompania kolejowa postanowiła wzmocnić obsady blokhauzów ze względu na coraz częstsze akty sabotażu. Zapowiedziano mu przysłanie agenta, który wespół z nim baczyć miał na bezpieczeństwo torów.

Urząd ruchu zwrócił mu przy tym uwagę, iż o godzinie 1:28 w nocy przejedzie koło jego blokhauzu pociąg towarowy, wiozący amunicję i materiały wojenne do portu w San Francisco. Niech więc uważa. Koło blokhauzu nr 668 pociąg ów wyminie ekspres nr 51, wiozący gubernatora Stanu. Powiedziano mu również, iż w najbliższym czasie nie tylko stacje i mosty, ale i wszystkie posterunki kolejowe zostaną obsadzone przez wojska Unii. Wtedy więc będzie bezpieczny.

Dick Gates po odebraniu tych wiadomości spożył z apetytem śniadanie, po czym wyszedł zbadać dokładnie swój rewir. Sprawdził zwrotnice, zbadał szyny, poprawił kilka śrub, po czym zadowolony i wesół powrócił do małego budynku blokhauzu.

W godzinach popołudniowych czekała go niespodzianka. Dick Gates siedział na ławce przed blokhauzem, gdy usłyszał trzask motoru na drodze biegnącej poza blokhauzem równoległe z torem. Po chwili trzask motoru ucichł, natomiast usłyszał gruby głos mężczyzny: --- Cóż u diabła, czy nikogo tu nie ma?

Dick obejrzał się i ujrzał tęgiego blondyna z czarnymi okularami rogowymi na oczach, w sportowej czapce i krótkich spodniach. Nieznajomy prowadził z sobą motocykl, na którym przybył.

--- Jestem tutaj --- ozwał się Gates do przybyłego, mierząc go wzrokiem. --- Czym mogę panu służyć?

Przybysz roześmiał się jowialnie.

--- Che! Che! Che! Służyć mnie? Niczym. To ja raczej mam panu służyć i strzec twjej skóry.

Gates domyślił się, kogo ma przed sobą.

--- Nie dopełniłem jeszcze obowiązków dobrego tonu --- mówił dalej nieznajomy --- jestem Bert Cogan, urzędnik *Kompanii*. Urząd ruchu w Darlington sygnalizował, zdaje się, moje przybycie.

Posterunkowy blokhauzu skinął głową:

--- Tak. Powiadomiono mnie, jestem Dick Gates. Ale czemu nie przybył pan lokalnym o 17:20?

--- Z tej prostej przyczyny, że w Darlington odebrać musiałem pewne instrukcje, a trudno, by pociąg na mnie czekał. Zresztą wolę moją *Indianę* od wagonu drugiej klasy.

Bert Cogan okazał się bardzo miłym towarzyszem. Nie minęła godzina, gdy był już z dość niedostępnym Gatesem na przyjacielskiej stopie. Gdy zapadł wieczór i weszli obaj do izby Gatesa, Bert klasnął w dłonie: --- Zapomniałem! Zupełnie zapomniałem! Przecież przywiozłem z sobą świeży prowiant, a i innymi dobrymi rzeczami mam wypełniony koszyk motocyklu.

Bert Cogan opuścił blokhaus i powrócił wkrótce przynosząc prowianty przywiezione z sobą w koszykowej przyczepce motocyklu.

--- Oto, mister Gates, moje skarby, zjemy je wspólnie ku uczczeniu naszej świeżej znajomości, a później ulokuje mnie pan tu jakoś.

I Bert Cogan złożył prowianty na stole, po czym uśmiechnął się zza rogowych okularów.

--- Mam tu coś więcej, mister Gates.

Wyjął dwie spore butelki i postawił na stole. Gatesowi oczy błysnęły: --- Wódka?

--- Tak. I to nie żadna *munszajnowka*⁽¹⁾ czy też samogonka. Prawdziwa angielska whisky.

A tu czarna kawa. Naparz jej zaraz, mister Gates.

Posterunkowy i agent zasiedli do kolacji.

--- No, pij, pij śmiało. Nasz pocziwy prezydent Smith nie poczytuje tego za grzech przeciw państwu.

Gates spojrzął łakomie na napełniony kubek, lecz zawahał się.

--- Przyznam się, że wolałbym nie pić, sir.

--- Nie pić? A czemuż to?

--- Nie lubię pić na służbie. A nuż mnie zamroczy.

--- E-e. Głupstwo, mister Gates. Nie chodzi tu chyba tak wiele pociągów.

--- Za czasów pokoju szły trzy na dobę. To boczna linia. Ale teraz w czasie wojny...

--- Teraz chodzi ich więcej?

--- Naturalnie. Są to przeważnie pociągi z amunicją z fabryki w Sturday.

Bert Cogan zamyślił się:

--- Wojna. Kto by to pomyślał, że teraz, kiedy my tu siedzimy i pijemy -- na morzu giną może ludzie, a Nowy Jork robi przygotowania do odparcia spodziewanego napadu Zeppelinów niemieckich.

--- Niech piekło pochłonie Niemców.

Cogan podniósł żywo głowę. W oczach przesłoniętych szklami zapaliły się jakieś dziwne iskierki, zgasły jednak natychmiast: --- Nie lubi pan Niemców, mister Gates?

--- Mój brat starszy zginął w 1918 roku na francuskim froncie.

--- I jesteście sami na świecie, mister Gates?

--- Sam, zupełnie sam!

--- Napełnijcie no jeszcze czarki. Jak sądzę, macie już ze trzydzieści lat. Czemu się nie ożenicie, mister?

Gates ruszył ramionami:

--- Mam zbyt małą pensję.

Bert Cogan pokiwał głową z współczuciem.

--- Otóż to. Pieniądze, zawsze pieniądze. A są przecież ludzie, którzy dochodzą do nich łatwo. Mają na to sposoby.

Gates dobył chustki i otarł nią czoło. Nie pił dawno i alkohol zaczynał mu już szumieć w głowie.

--- Znacie takie sposoby, mister Cogan?

Zza okularów błysnęły znowu oczy:

--- Czemuż by nie. Mało jest na to sposobów. Ot, teraz na przykład jest do zarobienia tysiąc dolarów. Co mówię, tysiąc dwieście dolarów.

--- Tysiąc dwieście dolarów.
--- Nie jest to fortuna Astorów. Ale cóż robić. W każdym razie ma to swą wartość. Za wasze powodzenie, mister Gates.
Wypili i Cogan znów napełnił kubki.
--- O której macie najbliższy pociąg, mister --- zapytał Bert, zmieniając nagle przedmiot rozmowy.
--- O 1:28 w nocy. Mijają się pod blokhauzem pociąg z amunicją i ekspres numer 51.
--- W ekspresie tym jedzie gubernator Palmer?
Gates podniósł głowę zdziwiony.
--- Skąd wiecie o tym, sir?
--- Mówiono mi o tym w Darlington. Jedzie incognito. Więc te pociągi się tu mijają?
--- Tak. O 1:28.
Bert Cogan przysunął się bliżej do Gatesa:
--- Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak to powoduje się prawidłowe wymijanie się pociągów? Tak, aby nie było wypadków.
Gates roześmiał się trochę pijacko:
--- To bardzo proste. Mam tu, uważacie tory *A* i *B*. Od Darlingtonu idzie pociąg towarowy torem *B*, ma jednak pod blokhauzem 668 przejść na tor *A*. Ale torem tym idzie ekspres numer 51 w kierunku Darlingtonu. Wywieszam więc maszyniście towarowego sygnał *wjazd zamknięty*, póki ekspres nie minie zwrotnicy. Gdy tor jest już wolny, zmieniam semafor *wjazd zamknięty* na semafor *wjazd wolny* i nastawiam zwrotnicę. Pociąg towarowy może wtedy bez przeszkód wjechać na wolny tor.
Bert z uśmiechem skinął głową:
--- Doprawdy to takie proste. Dziecko by zrozumiało! Ale cóż by się stało, gdyby tak o godzinie 1:28 w nocy semafor na torze *B* nie był nastawiony na *wjazd zamknięty*, a zwrotnica została nastawiona...
Dick machnął ręką:
--- Wtedy... Wtedy wydarzyłaby się straszliwa katastrofa. Maszynista pociągu towarowego nie zatrzymałby biegu i przechodząc na tor *A* wpadłby na idący z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów ekspres numer 51.
--- Tak by się stało?
--- Strach pomyśleć. Pociąg towarowy wiezie transport amunicji ze Sturday. Przy silnym zderzeniu pociągów nastąpić by musiała eksplozja wiezionych pocisków i prochu, wtedy...
--- Wtedy?
--- Niech Bóg ma litość nad pasażerami ekspresu.
Bert Cogan roześmiał się rehotliwie.
--- Wierzysz widzę w Boga, mister Gates?
--- Wierzę!
Bert napełnił znów wódką, opróżnione kubki.
--- A więc, mister Gates, zdrowie Pana Boga i twoje!
--- I moje!
Dick Gates wychylił ochoczo wódkę, nie zważając na bluźnierstwo Cogana. Rozparł się wygodnie na krześle. Nie pił dawno i alkohol zaszumiał mu obecnie w głowie, tłukąc krwią w pulsy skroni. Dwoiło mu się w oczach. Przypomniał sobie co agent mówił mu o ludziach, którzy się wzbogacają: --- Bert, mówił pan o tym tysiącu i dwustu dolarach! Czy każdy może je zarobić?
--- Każdy!
--- A więc i ja?

--- I pan, mister Gates.

--- A w jakież to... sposób można... je zarobić?

Bert Cogan przechylił się przez stół ku Dickowi, głos jego brzmiał jak syk węża kusiciela:
--- Tysiąc dwieście dolarów mógłby na przykład zarobić ten, kto by dziś o godzinie 1:28 w nocy nie zamknął znakiem semafora toru B, a nastawił tak zwrotnicę, by pociąg towarowy na tor A mógł się przetoczyć.

--- Co?...

Dick Gates podniósł rękę, lecz spotkał się jedynie z zimnym szyderczym wzrokiem Cogana, pobłyskującym za szklami okularów.

--- Spokojnie, mister Gates! Niepotrzebnie pan wylał resztę trunku! Było tego jeszcze na dwie kolejki. --- Posadził Gatesa siłą. --- Żartowałem trochę! Czy nie śmieszne, że pan uwierzył, iż mówię to na serio?

--- To by była zbrodnia! Rozumie pan, zbrodnia --- mamrotał pijany Dick.

--- Oczywiście, że zbrodnia! Ale teraz niech pan nam ugotuje kawy.

Dick, lubo chwiejący się na nogach, spełnił życzenie agenta, a skoro podaj kawę i podszedł do szafy, by dobyć puszkę z cukrem, Bert Cogan dobył z kieszeni i szybkim ruchem wrzucił do szklanki Gatesa mlecznobiałą kulkę. Rozpuściła się ona natychmiast, nie zmieniając smaku napoju.

Wkrótce też po wypiciu kawy, Dick Gates poczuł, iż opanowuje go nieprzewyciężona senność. Daremnie walczył z nią. Daremnie próbował rozmawiać z Coganiem.

--- Szumi mi nieco w głowie! Prześpiję się chyba --- rzekł do Cogana.

Ów ruszył ramionami:

--- Dobrze! Ja wyjdę na dwór! Ładna dziś noc!

Gates legł na łóżku, myśl jakaś jednak przewyciężyła w nim siłę alkoholu i narkotyku.

--- Mam przypilnować pociągi o godzinie 1.28.

--- Niech pan śpi spokojnie. Zbudzę pana na czas!

--- Dobrej nocy! O 1:28! Ekspres i towarowy o 1:28!

Bert Cogan, siedząc spokojnie przy stole, obserwował posterunkowego.

--- Mister Gates! Mister Gates --- zawołał półgłosem.

Odpowiedział mu tylko jednak spokojny oddech śpiącego.

--- Damn! --- zaklął --- ta mortuina jest jednak bajeczna! Szkarłatna miss będzie zadowolona! Dobrze, że tamten miał tę wódkę ze sobą!

Przygasił światło gazowej lampy i jął się zabierać do wyjścia.

--- Śpij głupcze! --- wyszeptał, pochylając się nad Gatesem. I przypominając sobie słowa Dicka: *Niech piekło pochłonie Niemców!*, dodał z zawziętością: --- Niech piekło pochłonie... Amerykę!

*

Nieznośny, bolesny szum w głowie i w uszach. Mózg ciąży jak ołów. Dziwne oszołomienie. Myśli płyną wolno, leniwie i opornie. Dickowi Gatesowi wydaje się, że unoszą go fale morskie, łagodnie biorąc go na pienne grzbiety. Kołyszą go tak bez końca i przerwy. To dziwne! Leży bez ruchu! Nie ma na sobie ratunkowego pasa! A jednak nie tonie! Fale podnoszą go i opadają z nim łagodnie, nie przykrywając go sobą. Coraz dalej i dalej od lądu.

Narkotyk kończy już swe zadanie. Dick śpi coraz lżej i niespokojniej.

Cóż to za dziwna liczba w letargu władz umysłowych stara mu się zamącić spokój? To jest niewątpliwie jakaś liczba 1:28?... Co to znaczy 1:28?... 1:28?. O, już jej nie ma -- odpłynęła na fali. Oto wraca 1:28... 1:28! Co oznacza ta natrętna cyfra?

Dick Gates budzi się nagle. Myśl jakaś zaczyna kołatać do mózgu. Gates stara się sobie przypomnieć. Blokhauz numer 668. Bert Cogan. Wódka. Godzina 1:28 w nocy. Zmiana torów...

Błyskawica zrozumienia rozświetla mózg. Dick Gates porywa się z posłania. Nogi ciężą mu jak ołów, omdlałe powieki opadają na oczy.

W izbie świeci się przygaszona lampa, rozbita butelka leży na podłodze. Szklanki, z których pili kawę, stoją na stole. Berta Cogana ani śladu...

--- Godzina!... Która godzina?

Wzrok Dicka pada na przeciwległą ścianę, wisi tam zegar kolejowy, którego czas odpowiada ściśle czasowi w Darlingtonie.

--- Boże wielki! Godzina 1:27!

Chwiejąc się na nogach, wybiega Dick Gates przed blokhauz. Biegnie do semafora... siłą rozpaczy przezwyciężył moc narkozy.

--- Przekleństwo! Semafor jest zepsuty i nastawiony na *wjazd wolny*! Z daleka szybko zbliżający się łoskot, to pociąg towarowy z Darlingtonu. Za pół minuty będzie u blokhauzu numer 668.

--- Do zwrotnicy! Do zwrotnicy!

Ale ze zwrotnicą jest jak z semaforem. Jest zagwożdżona. Nie można jej poruszyć!

--- Bert Cogan! Bert Cogan! Przekleństwo ci, szatanie!

Z łuku wirażu wyłaniają się dwa światła. Potworne oczy lokomotywy. Równocześnie od strony przeciwnej dochodzić zaczyna łoskot drugiego pociągu.

Dick Gates zatyka uszy rękoma i rzuca się na tor.

Z mroków bezkسیężycowej nocy, wyłaniają się światła ekspresu numer 51. Z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę żre przestrzeń, dążąc do Darlingtonu.

Oba pociągi mkną z szybkością niezwykłą naprzeciw swemu przeznaczeniu.

Koła pociągu towarowego miażdżą w swym biegu bezwładne ciało Gatesa.

A potem rozpaczliwy zgrzyt hamulców i łomot dwu zderzających się mas żelaza.

Dick Gates nie mylił się! Nastąpiła eksplozja pocisków.

Nazajutrz prasa, podając o strasznej nowej katastrofie pod Darlingtonem, przy blokhauzie nr 668, notowała równocześnie, iż sześć kilometrów za Darlingtonem znaleziono zwłoki agenta kompanii kolejowej Berta Cogana, którego zamordowano obrabowano, zabierając motocykl, na którym jechał, wioząc polecenie do blokhauzu nr 663.

Bert Cogan, który odwiedził Gatesa, nie był Bertem Coganem.

⁽¹⁾ *moonshine* (ang.) -- tu: księżycówka; samogon.

ROZDZIAŁ IX

Pułkownik Rangoon kończył swe sprawozdanie:

--- Śledztwo, przeprowadzone w sprawie straszliwej katastrofy koło Darlingtonu, pod blokhauzem numer 668, nie dało, podobnie jak i w poprzednich wypadkach, żadnych konkretnych wyników. Katastrofę spowodowało złe nastawienie zwrotnicy oraz fałszywy sygnał semaforowy. Dochodzenie wykazało niezbicie, że na parę godzin przed katastrofą posterunkowy blokhauzu numer 668, który, widząc niechybną katastrofę, rzucił się pod koła pociągu z Darlingtonu, gościł u siebie jakiegoś tajemniczego mężczyznę. Wskazywały na to dwa nakrycia na stole, rozbita flaszka z wódki oraz dwie szklanki czarnej kawy. Ów mężczyzna był niewątpliwie mordercą Berta Cogana i on to mu zrabował motocykl, pozbawiając go wpierrw życia. Niewątpliwie też podał się on Gatesowi za agenta *Kompanii*; a spiwszy go, dokonał zbrodniczego przesunięcia zwrotnicy i zmiany semafora, po czym znikł w ciemnościach nocy i żadne poszukiwania nie dały pozytywnych wyników. Sądżonym było widać gubernatorowi Palmerowi zginać owej nocy...

Pułkownik Rangoon przerwał, po czym jął mówić wolno i dobitnie: --- Na tym kończę mój raport, panie prezydencie! Ponieważ wszystkie moje wysiłki wykrycia sprawców katastrof i zamachów bombowych spełzły na niczym -- widzę, że nie stoję na wysokości zadania. Tacy ludzie są obecnie Stanom Zjednoczonym zbędni. Proszę więc pana prezydenta o przyjęcie mej prośby o dymisję. Trzydzieści lat służyłem Unii wiernie, czas i mnie odpocząć...

Prezydent Smith zaprotestował ruchem ręki.

--- Nic podobnego, panie pułkowniku. Chciałby pan teraz, kiedy Stany Zjednoczone najbardziej potrzebują pana pomocy i doświadczenia -- doświadczenia tego im odmawiać!

--- Powtarzam, że nie stoję na wysokości zadania. Sprawcy sabotażu nie są wykryci.

--- A więc musimy połączyć nasze siły, by tego dokonać. Drogą do tego nie może być pańska dymisja.

Prezydent Stanów Zjednoczonych zwrócił się do sekretarza stanu mister O'Connela.

--- Nieprawdaż, mister O'Connel.

Zapytany skinął głową:

--- Niewątpliwie, panie prezydencie. Pułkownik Rangoon cieszy się moim zupełnym zaufaniem.

--- A więc ta sprawa jest załatwiona. A teraz przystąpmy do rzeczy. Więc nie ma nawet poszlak, co do sprawców sabotażów?

--- Poszlak nie ma, istnieją tylko hipotezy.

--- Iż zbrodniczymi sprawcami są anarchiści. Nieprawdaż?

Rangoon potwierdził:

--- Tak, ale śledztwo nie dało dostatecznych podstaw do podtrzymania tej hipotezy.

--- I mnie też nie zdaje się ona prawdziwa.

Prezydent Smith jął przerzucać papiery leżące przed nim w teczce. Naraz podniósł oczy na Rangoona.

--- W pobliżu miejsca katastrofy pociągu wojskowego numer 718 aresztowano jakiegoś osobnika, który nie mógł wykazać swego alibi.

--- Nie tylko nie mógł, lecz nie chciał. Człowiek ten odpowiadał milczeniem na wszystkie pytania. Zastosowałem badanie trzeciego stopnia.

Smith podniósł żywo głowę i bystro spojrział na pułkownika.

--- Badanie to, będące torturowaniem przez policję podejrzanego, zostało

rozporządzeniem moim zniesione.

Sekretarz stanu O'Connel ruszył ramionami:

--- W czasie wojny każdy sposób jest dobry, zwłaszcza w takiej sprawie.

--- Wolałbym jednak nie słyszeć o tym i nie wiedzieć. Cóż więc się stało z tym człowiekiem, pułkowniku?

--- Człowiek ten już nie żyje.

--- Jak to? Sąd wojenny?

--- Nie, panie prezydencie. Człowiek ten zachorował w więzieniu stanowym i przeniesiono go dlatego do szpitala więziennego.

--- I tam umarł?

--- Tam popełnił samobójstwo lub został otruty. W karafce wody, która stała przy jego łóżku, badanie chemiczne stwierdziło obecność strychniny.

--- To znaczy?

--- To znaczy --- ozwał się O'Connel --- iż człowiek ten faktycznie był winien i albo dostarczono mu trucizny, by popełnił samobójstwo, bądź otruto go z obawy, by nie załamał się i nie wsypał szajki. Bo mamy do czynienia z doskonale zorganizowaną szajką. Szajką, która zawsze trafia tam, gdzie chce.

--- Czy nic zupełnie nie wiadomo o tym otrutym.

--- Absolutnie nic. Dowodów osobistych, ani legitymacji nie miał przy sobie żadnych.

Ubrany był przeciętnie. Znaki na białym były świeżo wyprute...

Pułkownik Rangoon urwał i zawahał się:

--- Jest jeszcze jeden szczegół może najważniejszy. Boję się jednak wyprowadzania z tego zbyt daleko idących wniosków.

--- Jakiż to szczegół?

--- Gdy człowiek ten był nieprzytomny i w beznadziejnym stanie, mówił słów parę bez ładu i związku. Słowa te mówił po niemiecku.

--- Po niemiecku? A więc był Niemcem. Cóż to były za słowa?

--- Słowa te nie wyjaśniają wcale sprawy. Powtarzał stale: *Der blinde John. Die Dame.*

Die roten Augen.

--- Cóż to znaczy?

--- To oderwane wyrazy: *Ślepy John. Kobieta. Czerwone oczy.*

--- Tak, z tego naprawdę niewiele można zrozumieć.

--- Może zrozumiemy to później, jeżeli ma to w ogóle związek ze sprawą sabotażów.

Prezydent Smith zwrócił się znów do ministra:

--- Czy wydano wszelkie niezbędne zarządzenia?

--- Tak jest, wydałem je jeszcze wczoraj. Nie mogę zataić, iż sytuację uważam za groźną.

Nie straty materialne są tu groźne, ale fatalna psychoza strachu przed nieznanym, jaka zaczyna się szerzyć. O czym mówią w kawiarniach i restauracjach amerykańskich, o czym mówią w dining roomach? Już nie o zniszczonym Honolulu, już nie o zatopieniu przez naszą łódź podwodną *SIV* niemieckiego krążownika *Emden II*, mówią za to o katastrofach kolejowych. Zamachy bombowe na hangary w West Point, znalezione paczki dynamitu w zabudowaniach radiostacji w Shenactady dało się jeszcze ukryć. Ale katastrofy kolejowe nie dadzą się ukryć, choćby nasza patriotyczna prasa milczała o tym. Posterunkowi blokhauzów kolejowych popadają w rozstrój nerwowy. Naczelnicy stacji nie mają jednej nocy spokojnej od obaw. Maszyniści kolejowi, wyruszając na parowozach, przygotowują się na śmierć. W dyrekcjach kompanii kolejowych panuje najwyższe zaniepokojenie. Wall Street mówi tylko o tych katastrofach. Nikt nie chce już kupować akcji kolejowych przedsiębiorstw. Zrobiłem, co mogłem na teraz.

Wszystkie blokhausy i stacje kolejowe zostały obsadzone patrolami wojsk natychmiast po nieszczęsnej katastrofie pod Darlingtonem. Osoby złapane w pobliżu torów kolejowych z bronią w ręku lub wybuchowymi materiałami, jak również nie mogące się wylegitymować, idą pod sąd wojenny. Gubernatorzy stanów otrzymali już instrukcje.

Al Smith pokiwał głową:

--- Dobrze, ale to mało. Trzeba wykryć sprawców zamachów. Sprzysiężenie czy szajka musi być wykryta i ukarana. Wszystkie siły muszą być zmobilizowane w tym celu...

Prezydent zamyślił się:

--- Panie pułkowniku! --- zwrócił się do mister Rangoona --- znam człowieka, który mógłby nam oddać ogromne usługi. Człowiekowi temu zawdzięczam bardzo wiele.

--- Kto jest tym człowiekiem? --- zapytał O'Connel.

--- Kiedy po raz pierwszy kandydowałem na prezydenta Stanów Zjednoczonych, człowiek ów uratował mi życie. Wykrył zamach Ku-Klux-Klanu przygotowany niezwykle przemyślnie. Człowiekiem tym jest detektyw angielski...

--- Mac Grady! --- zawołał pułkownik Rangoon.

Smith skinął głową potakująco:

--- Tak! Mac Grady! Podobno bawi on jeszcze w Stanach.

O'Connel wmieszał się do rozmowy:

--- Mac Grady oddał nam znowu niedawno nową niezmierniej wagi przysługę. On to odebrał od Carside'a zlecenie ogromnej wagi, on był świadkiem tragedii śmierci komandora na *Olympicu*, on wreszcie wykrył, iż agent okrętowy Dreamer był sprawcą zbrodni. Niestety dokumentów Carsid'a nie udało mu się uratować. Zaraz po przybyciu do Stanów był u mnie i spełnił misję, którą mu nieszczęsny Carside zlecił jako swą ostatnią wolę. Odtąd nie widziałem go.

--- Wiem, opowiadał mi pan o tym. Owe dokumenty zginęły bez śladu.

--- Gdyby były w naszych rękach, nie robilibyśmy dziś przygotowań do odparcia ataku niemieckich superzeppelinów⁽¹⁾ i japońskich liniowców.

Smith podniósł się z miejsca.

--- A więc trzeba znaleźć Mac Grady'ego. Mister Rangoon, niech się pan tym zajmie. I jeżeli go pan znajdzie, niech go pan poprosi, by odwiedził mnie w Białym Domu. Chcę z nim sam poufnie pomówić.

Pułkownik Rangoon skłonił się.

--- I niech mu pan powie, pułkowniku, że ma wstęp do mnie każdego dnia i o każdej porze.

Minister i pułkownik Rangoon opuścili gabinet. Prezydent pocisnął guzik dzwonka. W drzwiach ukazał się osobisty sekretarz prezydenta.

--- Czy jest co nowego, mister Gardener?

--- Nic poza listem, który mi doręczono przed chwilą.

--- Co to za list?

Sekretarz podał prezydentowi przesyłkę. Ów rozwinął arkusz papieru i przeczytał:

Panie Prezydencie!

Od chwili wybuchu wojny są Stany Zjednoczone terenem akcji sabotażowej, co wpływa fatalnie na nastrój ludności i poza poważnymi stratami wywołuje uzasadniony niepokój społeczeństwa, które winno obecnie wszystkie swe wysiłki skierować na dążenie do zwycięstwa.

Wszystkie próby wykrycia sprawców owych aktów sabotażu spелzły na niczym.

Chcąc zachęcić wszystkich do usilnej pracy nad wykryciem tajemniczych zbrodniarzy, przesyłam do dyspozycji Pana Prezydenta czek na sumę 50000 dolarów. Zechce Pan Prezydent

wynagrodzić nimi tego człowieka albo tych ludzi, których prace nad wykryciem sprawców wielokrotnych zbrodni dadzą pomyślny rezultat.

Zechce Pan Prezydent przyjąć wyrazy głębokiej czci.

Max Kellerman Dyrektor Banku Amerykańsko-Kanadyjskiego

Do listu załączony był czek na sumę wymienioną w piśmie.

Prezydent Smith zwrócił list sekretarzowi.

--- Trzeba podać do prasy treść tego listu. Proszę również, niech pan powiadomi pana Kellermana, iż oczekuję go pojutrze o godzinie jedenastej rano, by mu podziękować osobiście.

⁽¹⁾ zeppelin -- sterowiec; balon o sztywnej powłoce w kształcie cygara, z napędem śmigłowym. Nazwa od niemieckiego konstruktora sterowców Ferdinanda von Zeppelina (1838-1917).

ROZDZIAŁ X

Było faktycznie tak, jak przewidywał pułkownik Rangoon. Mac Grady przebywał jeszcze w Stanach Zjednoczonych. Nie zatrzymywały go już wprawdzie interesy, lecz niebezpieczeństwo powrotnej podróży. Atlantyk był gęsto zasiany pływającymi minami, niemieckie łodzie podwodne grasowały po oceanie, nie szczędząc torped handlowym i pasażerskim okrętom. Nawet bandera neutralnego państwa nie dawała gwarancji bezpieczeństwa. Wyborowa flota lotnicza niemiecka robiła dalekie rajdy nad Ocean Atlantycki. W Stanach Zjednoczonych, szczególnie w New Yorku obawiano się stale ataku olbrzymich superzeppelinów, dla których przebycie oceanu było prawdziwą igraszką. Mac Grady wołał przeczekać krytyczny czas w Stanach, licząc na szybkie zakończenie wojny.

Tymczasem nie zanosilo się na to wcale. Wojna rozgorzała na dobre, tym straszniejsza, że była to wojna lotniczo-morska.

Pułkownikowi Rangoon nie przyszło trudno odszukanie adresu słynnego detektywa. Mieszkał bez zmiany w hotelu *Metropolitan* -- tym samym, do którego był zajechał po opuszczeniu pokładu *Olympica*.

W godzinach popołudniowych dnia następnego po rozmowie prezydenta Smitha z sekretarzem stanu O'Connelem i pułkownikiem Rangoonem zadzwieczył telefon w pokoju Grady'ego. Dzwoniła kancelaria gubernatora stanu nowojorskiego. W krótkich słowach zakomunikowano Mac Grady'emu, iż prezydent Smith prosi go do siebie. Jeżeli Mac Grady ma czas wolny o godzinie dziewiątej wieczór, przybędzie pod hotel *Metropolitan* auto, które powiezie go na lotnisko, sprawa jest pilna i prezydent nalega na pośpiech.

Mac Grady odparł, iż jest do dyspozycji i o oznaczonej godzinie będzie gotów do drogi.

Po owej rozmowie telefonicznej Mac Grady udał się do miasta, dla załatwienia pewnych spraw. Skoro, pod wieczór powracał do hotelu, zatrzymał go portier:

--- Przyniesiono tu list do pana.

Portier podał mu długą białą kopertę zaadresowaną maszynowym pismem.

Grady rozerwał kopertę. W kopercie był mały arkusik papieru, na którym maszynowym również pismem było napisane jedno tylko zdanie:

Życzliwi przestrzegają Mac Grady'ego, by nie powiedział słowa "tak" Prezydentowi Smithowi.

Na twarzy detektywa odmalował się wyraz zdziwienia.

--- Dawno przyniesiono ów list?

--- Przed godziną. Przyniósł go posłaniec.

Grady opanował zdumienie i schował list do kieszeni płaszcza. Byłby skłonny przypuszczać, iż list ów był bezsensownym żartem, gdyby nie fakt, iż o wyjeździe swym do Washingtonu nie mówił absolutnie nikomu. Czyżby ktoś podsłuchiwał jego rozmowę z kancelarią gubernatora? Czyżby był śledzony? Co znaczą słowa *by nie powiedział "tak" prezydentowi Smithowi*, skoro nie wie sam jeszcze zupełnie o czym będzie rozmawiał z prezydentem Stanów?

Gdy znalazł się w swoim pokoju, detektyw wziął do ręki arkusik papieru i zaczął go bacznie oglądać.

--- To zwykły papier kancelaryjny --- wyszeptał do siebie. --- Pisano ów list ha maszynie

Underwood. Musiał to być jakiś stary grat, bowiem litery *c* i *z* wybija maszyna wyżej, nad linią. Ale takich maszyn musi być więcej w Nowym Jorku.

Grady obejrzał papier raz jeszcze dokładnie pod światło, po czym złożył go starannie i schował do portfela. Następnie dobył z szuflady biurka mały belgijski browning i opatrzył go starannie.

O godzinie dziewiątej wieczór, zgodnie z zapowiedzią, samochód gubernatora stanu nowojorskiego zatrzymał się przed hotelem *Metropolitan*. Przybył na nim urzędnik, który miał towarzyszyć Grady'emu w podróży.

Gdy tylko przybyły wymienił Grady'emu swe nazwisko, ów zapytał go:

--- O której godzinie otrzymała kancelaria gubernatora polecenie wezwania mnie do Washingtonu?

--- O godzinie pierwszej w południe! --- odparł zdumiony urzędnik.

--- Aha! Listownie, czy telefonem?

--- Telefonem. Odbierał go sekretarz gubernatora.

--- Jeszcze jedno pytanie. Czy w biurach gubernatora nie ma maszyny do pisania, starego *Underwooda*, który litery *c* i *z* wybija trochę nad linią?

--- O ile wiem, nie ma takiej, mister Grady. Ale czemu pan pyta o to?

--- O, zupełnie bez powodu, tak, z ciekawości.

Urzędnik spojrział na detektywa zdumiony, zastanawiając się po co Grady pytał się, czy w biurze gubernatora nie ma rozklekotanego *Underwooda*, ale Grady nie dał mu wiele czasu do rozmyślań, nagłąc do wyjazdu. Auto pomknęło na lotnisko.

W pół godziny potem, aeroplan uwożący Mac Grady'ego do Washingtonu szybował nad miastem tonącym w powodzi światła.

ROZDZIAŁ XI

--- Zechce pan poczekać przez chwil parę, mister Grady.

Mister Gardener wprowadził słynnego detektywa do gabinetu.

--- U prezydenta bawi w tej chwili mister Kellerman, zaraz po nim zostanie pan przyjęty
--- dodał.

Mister Grady podniósł brwi w górę, jak człowiek starający sobie coś przypomnieć.

--- Kellerman? Istniał literat niemiecki tego nazwiska. Napisał *Tunel* -- rzecz wcale niezła. Ale to chyba nie ten sam.

Sekretarz prezydenta zaśmiał się:

--- Nie myli się pan, mister Grady. To zupełnie inny Kellerman. Max Kellerman, dyrektor *Banku Amerykańsko-Kanadyjskiego*.

--- Ni wiele o nim słyszałem albo i nic prawie.

--- Znać nie interesuje się pan giełdą, mister Grady. To nazwisko dość szeroko znane, a i cenione na Wall Street.

--- Nazwisko wskazuje, iż mister Kellerman jest Niemcem.

--- Niemcem z pochodzenia. Jest to dobry patriota amerykański, który dał świeżo dowód swoich uczuć.

--- O! A w jakież sposób?

--- Wyznaczył nagrodę 50.000 dolarów za wykrycie sprawców zamachów kolejowych i bombowych.

--- To niezła sumka!

--- Tak. Wiadomość o darze mister Kellermana ogłoszona będzie w prasie wieczornej.

Rozmowa obu mężczyzn została nagle przerwana. Drzwi, wiodące do gabinetu prezydenta, otworzyły się i ukazał się w nich człowiek, o którym rozmawiali.

Był to mężczyzna o charakterystycznej powierzchowności. Średniego wzrostu, otyły, o obwisłych policzkach i ciężkich grubych powiekach. Włos rzadki i siwiejący był krótko przystrzyżony. Nad oczami stroszyły się krzaczaste brwi. Spod owych brwi patrzyły oczy mądre i spokojne, oczy koloru stali.

Bankier Max Kellerman, żegnając się z sekretarzem prezydenta, obrzucił Mac Grady'ego ciekawym badawczym spojrzeniem. Grady odpowiedział mu spojrzeniem podobnym. Gdy bankier wyszedł, detektyw powrócił do sekretarza: --- To był więc Kellerman?

--- Tak, Kellerman.

Grady potarł ręką czoło:

--- Ja już gdzie, kiedyś widziałem tego człowieka. To było dawno.

--- Być może w czasie poprzedniej bytności w Stanach?

--- Nie --- zaprzeczył Grady. --- To nie było w Ameryce. Nie mogę sobie przypomnieć.

--- Prezydent oczekuje pana.

--- Jestem gotów.

Gdy Mac Grady wszedł do gabinetu, gdzie oczekiwał go prezydent Smith, ów powstał z miejsca i podszedł naprzeciw niego.

--- Witam pana, mister Grady --- rzekł, ściskając mu rękę z owym uśmiechem, który jednał Smithowi najzaciętszych wrogów.

--- Witam pana prezydenta.

--- Nie widzieliśmy się bardzo dawno.

Mac Grady poprawił monokl w oku.

--- Tak, coś około sześciu lat.

--- I w innych okolicznościach. A te właśnie okoliczności zmusiły mnie do wezwania pana tutaj.

--- Słucham, panie prezydencie.

Prezydent usiadł przy stoliku i wskazał miejsce detektywowi.

--- Mister Grady --- rzekł --- słyszał pan zapewne o serii tragicznych katastrof kolejowych, jakie wydarzyły się ostatnio w Stanach.

--- Któż nie wie o nich, prezydencie?

--- W tej właśnie sprawie chcę pomówić z panem. Stany Zjednoczone są w tym trudnym położeniu, że teraz, w czasie wojny z Japonią i Niemcami, napotkały jakiegoś nowego i nieznanego wroga wewnętrznego. Wszelkie wysiłki nasze by wroga tego ująć, okazały się dotąd chybionymi. Dlatego zwracam się do pana.

--- Do mnie?

--- Tak. Powiem jasno i otwarcie. W ciężkiej sytuacji, jaka się wytworzyła, zwracam się do pana, Mac Grady, z propozycją, by zechciał pan ofiarować nam swą pomoc. Nam, to znaczy Stanom Zjednoczonym.

--- Na czym ma owa pomoc polegać?

--- Na wykryciu bandy zorganizowanych zbrodniarzy, która rozkręca śruby torów kolejowych, która wykoleja pociągi z wojskiem i amunicją, która demoluje nam bombami portowe doki. Bandy, co do której nie wiemy nic poza tym, że ona jest i działa.

--- Prasa amerykańska przesądza sprawę, twierdząc, iż są to zamachy anarchistów.

--- Ani ja, ani nikt z rządu Stanów nie wierzy temu. Ale trzeba przecież coś powiedzieć społeczeństwu. To pułkownik Rangoon puścił tę wersję do prasy.

Mac Grady się zamyślił:

--- Panie prezydencie --- rzekł --- na sprawy, o których mówimy, mam wyrobiony pewien własny pogląd. Mam wrażenie, że sprawa owych aktów sabotażu, to sprawa czysto polityczna, choć nie anarchiści przykładają do tego rękę. Sprawą czysto kryminalną zająłbym się bez wahania. Ale sprawa o podkładzie politycznym...

--- Więc pan odmawia? --- zapytał z urazą Smith.

--- Bardzo mi przykro, panie prezydencie. Gdybym był obywatelem Stanów, przyjąłbym tę sprawę bez wahania i poświęciłbym się jej całkowicie. Ale ja jestem Anglikiem i nie chcę się mieszać do wewnętrznych spraw Ameryki.

Smith zajął się zapalaniem fajki, po czym podniósł oczy na Grady'ego.

--- Niech pan się wyzbędzie tych skrupułów. Zwycięstwo Ameryki leży nie tylko w interesie Anglii, ale i całego kulturalnego świata. Zwycięstwo Stanów zapewni spokój Anglii, klęska ich sprawi, że Japonia i Niemcy zechcą się z kolei rozprawić z Anglią. A Stany, mówię otwarcie, mogą przegrać tylko wtedy, gdy akty sabotażu będą nadal siać w społeczeństwie przestraszenia i rozprężenia.

Prezydent Smith urwał, a widząc wahanie na twarzy Grady'ego, użył bezwiednie tego samego argumentu, którego użył na pokładzie *Olympica* komandor Noe Carside: --- Biernością swoją zwiększy pan szanse niemieckie. Pan był w czasie wojny oficerem marynarki angielskiej. Czy zapomniał pan już o gwałtach niemieckich w Belgii, o rozstrzelanej niewinnie miss Cavel⁽¹⁾?

Mac Grady drgnął.

--- Panie prezydencie, biorę tę sprawę w swe ręce.

Smith w milczeniu wyciągnął do detektywa rękę.

--- A teraz niech mi pan zechce powiedzieć swój pogląd na tę sprawę.

--- Przyznam się panu, panie prezydencie, że nie interesowałem się nią specjalnie dotąd i

patrzyłem oczami obojętnego widza. Sądzę jednak, że nie anarchiści, że w żadnym wypadku anarchiści nie są sprawcami tych aktów sabotażu.

--- A więc?

--- Winnych należy szukać gdzie indziej. Czy może wątpić pan prezydent, jak wielkie znaczenie ma dla Niemiec i Japonii to, co obecnie dzieje się w Stanach.

--- Doceniam to w zupełności.

--- W granicach Stanów Zjednoczonych mieszka wielu Niemców i Japończyków. Sądzę, że oni to wyłonili z siebie ową potężną, tajną organizację, która przerywa połączenia kolejowe i coraz częściej daje znać o sobie hukami pękających bomb.

--- Wśród owych Japończyków i Niemców jest bardzo wielu obywateli Stanów.

--- Na przykład Max Kellerman.

--- Nie, to byłoby potworne.

--- A jednak jestem pewien, że wśród Niemców, i to tych, zamieszkujących stale Stany, szukać należy winnych. I tam ich będę szukał.

--- Niech pan ich szuka gdziekolwiek, byle by pan ich miał.

--- Będę ich miał, prezydencie, o ile nie załatwią się ze mną wcześniej. Mam już ostrzeżenie.

--- Ostrzeżenie?

--- Tak. Mają widać wszędzie swych agentów. Oto, co otrzymałem wczoraj przed wyjazdem do Washingtonu.

Smith przeczytał podany mu list.

--- Niesłychane.

--- Tym bardziej, że nie wiedziałem wczoraj o czym będzie mowa w Białym Domu.

--- I powiedział pan teraz *tak*?

--- Powiedziałem.

--- Niech pan się strzeże, mister Grady. Czy ma pan jakiś plan działania?

--- Nie mam jeszcze żadnego punktu zaczepienia. Zwrócę baczną uwagę na kolonię niemiecką i japońską. Muszę też przestudiować akta dotychczasowych zamachów.

--- Dostarczy ich panu pułkownik Rangoon.

--- Wracam więc dziś do Nowego Jorku i rozpoczynam zaraz mą pracę.

--- Życzę powodzenia, mister Grady.

Detektyw skłonił się i powstał, aby odejść.

--- Jeszcze jedna sprawa, panie prezydencie. Przede mną przyjął pan na audiencji człowieka, który mnie zainteresował.

--- To by! Max Kellerman.

--- Wiem też dlaczego był w Białym Domu.

--- Sądzę, że owe 50.000 dolarów będzie słuszną nagrodą pana trudów.

--- Otóż właśnie chciałem powiedzieć, że w żadnym wypadku nie przyjmę tej sumy.

--- Dlaczego?

--- Nie wiem, ów bankier nie podoba mi się niesłychanie. Po prostu nie wiem dlaczego, ale nie podoba mi się. Intuicja moja, która czasem mnie myli, ale czasem na trop właściwy prowadzi, każe mi przestrzec pana prezydenta przed Kellermanem.

Wkładając płaszcz, Mac Grady porał się jeszcze ze swą pamięcią: Max Kellerman, ja tę twarz gdzieś widziałem. Ale gdzie i kiedy...

W pokoju w hotelu *Metropolitan* czekał Mac Grady'ego drugi list. Był w takiej samej kopercie, jak pierwszy, lecz o nieco dłuższej treści. Brzmiał on:

Nie usłuchał pan nas, mr. Grady, i mimo naszych rad ciężar walki z nami wziął pan na swoje ramiona. Nie chcemy walczyć z panem, szanujemy pana i nie chcemy znaleźć się w obliczu smutnej konieczności usunięcia pana z naszej drogi. Ostrzegamy po raz drugi. Niech pan nie miesza się w nieswoje sprawy. Jesteśmy silniejsi, niż pan przypuszcza, i w każdej chwili potrafimy dosięgnąć pana. Ostrzegamy.

Podpisu znowu nie było. Stempel pocztowy miał napis *Brooklyn*.

Mac Grady gwizdnął z cicha, przeczytawszy treść listu: --- Ho! ho! ho! Zaczyna się na dobre! Szkoda, że nie podali adresu, byłbym im odpisał. W każdym razie wiedzą, co w trawie piszczy.

Zadzwoił na boya.

Powiedz w portierni, że gdyby raz jeszcze przyniesiono list w takiej kopercie, należy zaarrestować oddawcę ktokolwiek by nim był. Na moją odpowiedzialność.

Mac Grady odesłał chłopca ruchem ręki, po czym podszedł do telefonu i połączył się z biurem Pinkertona.

⁽¹⁾ Edith Louisa Cavell (1865-1915) -- brytyjska pielęgniarka, która na początku pierwszej wojny światowej była przełożoną szpitala wojskowego w Brukseli w chwili, gdy do stolicy Belgii wkroczyły wojska niemieckie. Przez kilka miesięcy pomagała rannym żołnierzom brytyjskim przedostawać się do Holandii. Udało się to w blisko dwustu przypadkach. W końcu jednak została przez Niemców aresztowana i postawiona przed sądem wojennym, który skazał ją na śmierć przez rozstrzelanie.

ROZDZIAŁ XII

--- Jesteśmy sami?

--- Zupełnie sami, odprawiłem służbę na wieczór.

W pokoju umeblowanym biurowo, oświetlonym jedną lampą o dużej mleczonej amplitudzie, siedziało czworo ludzi. Trzech mężczyzn i jedna kobieta. Kobieta ta była młoda i piękna. Towarzystwo rozmawiało w języku niemieckim.

--- Możemy zacząć, poruczniku von Hartrott --- ozwał się ten, który przewodniczył owemu zgromadzeniu, do młodego blondyna o zuchwałej twarzy. --- Słuchamy pana.

Mężczyzna, nazwany porucznikiem von Hartrottem, dobył z kieszeni notatki pokryte znakami szyfrowymi i jął mówić powoli i dobitnie: --- Kiedy przed trzema z górą miesiącami podejmowaliśmy się rozpocząć pracę, która obecnie rozwija się tu wspaniale, cele nasze były jasne i zdecydowane.

Zamierzenia nasze w pewnej mierze zostały już osiągnięte. Oto lista jedenastu katastrof kolejowych, padło ich ofiarą czterysta osób, nie licząc około sześciuset rannych. Trzy pociągi z amunicją wyleciały w powietrze, jutro wieczór, jeżeli wszystko pójdzie dobrze pod Granite City w Illinois, pociąg pasażerski zderzy się z pociągiem towarowym wiozącym surowce do wojskowych fabryk chemicznych w Chicago. Nasze bojowe trójki działają z podziwu godną precyzją. Niejednokrotnie jeden człowiek wykonuje z szaleńczą odwagą zadanie ogromnej wagi, nie bacząc, iż naraża się na pewną śmierć. Co do katastrof kolejowych, zwrócono nam uwagę, by oszczędzać osoby cywilne, by tylko materiały wojskowe i pociągi wojskowe padały ofiarą naszych działań. Pani, zdaje się, miss Zuzanno, była wyrazicielką tego poglądu.

Przegłosowaliśmy panią i dobrze się stało. Nie chodzi bowiem w naszej podziemnej niejako walce o zadawanie jankesom samych strat materialnych. Tu chodzi w równej mierze o pewne działanie moralne -- o budzenie paniki. Że mam rację, dowodzą alarmy prasy amerykańskiej po śmierci gubernatora Palmera, w czym ja, jak to się mówi, umaczałem ręce. Nie była to zresztą zbyt trudna sprawa, bowiem ów Gates był typem dobrodusznego idioty. Wzbudziliśmy przerażenie wśród społeczeństwa amerykańskiego, musimy nastrój ów spotęgować.

Prócz niszczenia transportów, niszczenia torów i przerywania komunikacji, przedsięwzięliśmy dwa ważne zadania, które niestety spełzły na niczym. Mówię tu o przygotowanych zamachach bombowych na stację lotniczą w West Point i na radiostację Shenactady. W obu wypadkach wykryto w czas podłożone ładunki z piroksyliną i dynamitem. Świadczy to, że detektywi amerykańscy też są czasem coś warcni.

W czasie całej dotychczasowej kampanii straciliśmy jednego człowieka. W pobliżu miejsca katastrofy pociągu numer 178 na czterdziestym ósmym kilometrze za Sacramento aresztowano Nansa Stockmana.

--- Człowiek ten już nie żyje --- wtrącił Japończyk.

--- Tak! Człowiek ten już nie żyje! I tak czekała go zresztą szubienica, a mógł się załamać i powiedzieć rzeczy, które zaszkodziłyby sprawie. Dostarczenie mu strychniny do szpitala kosztowało doktora Hayakawę i mnie niemało trudu. Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że policja i całe sfery detektywów nie mogą odkryć nic. Oby tak było jak najdłużej, chociaż przewidywać należy, że stawać będą obecnie na głowie, by nas odkryć i zgnieść. Ciekawą jest rzeczą, iż przez długi czas pomawiali o nasze sprawy anarchistów i dopiero obecnie zaczyna im świtać w głowach, że jesteśmy organizacją stojącą na usługach Niemiec. Nie znają nawet nazwy naszej organizacji. Postawienie na jej czele kobiety jest świetnym trickiem, miss Zuzanna ma większą swobodę ruchów, mniej zwraca uwagę. Może spełniać niejedno zadanie niemożliwe dla

mężczyzny. Trudno im będzie wpaść na pomysł, iż kobieta, młoda kobieta, jest duszą naszej organizacji, co więcej inicjatorką jej utworzenia. Gdyby nie pani pomysł, byłbym obecnie w Niemczech. Cóż daliby detektywi amerykańscy za wiadomość, że porucznik von Hartrott, chargé d'affaires wojskowy ambasady niemieckiej, nie opuścił granic Stanów Zjednoczonych z innymi członkami ambasady. I zamiast niego pojechał pewien nic nie znaczący Niemiec. Iż porucznik von Hartrott był tym, który jako Bert Cogan nastawił odpowiednio zwrotnice i sygnały przy blokhauzie 668! Ale wróćmy do spraw najważniejszych. Nie powinno być, sądzę, naszym dążeniem zbyt rozszerzenie naszej organizacji. Zbyt łatwe rozbudowywanie naszych kadr, może łatwo dopuścić zdrajcę do naszych tajemnic. Kiedy zechcemy, przekonaliśmy się już o tym, możemy zawsze zażądać pomocy naszych rodaków lub naszych sprzymierzeńców japońskich.

Von Hartrott skinieniem głowy zwrócił się do doktora Hayakawy.

--- Władze amerykańskie przygotowują się do walki z nami, czynią wszelkie środki ostrożności. Musimy działać mimo to, musimy jednak działać jak najbardziej rozważnie. W związku z obsadzeniem stacji, przystanków i blokhauzów wojskiem, akcja nasza odtąd będzie z pewnością pociągać za sobą ofiary w naszych ludziach. Szczęściem ich patriotyzm, hierarchia na wzór masonski przez nas stworzona, przysięga i system trójkowy, sprawiają, iż trudno im będzie nas zwalczyć. Musimy działać dalej mimo rosnących trudności. Zadaniem naszym obecnie będzie wypracowanie prowizorycznego planu na przyszłość! Skończyłem, bracia moi!

Von Hartrott umilkł i spojrzał po obecnych. Ów starszy mężczyzna, który przewodniczył, zapytał: --- Czy są jakieś wieści z Niemiec?

--- Są, bracie Krezusie! --- odparł porucznik. --- Przywiózł je pewien marynarz niemiecki, służący na cargo norweskim. Pismo po przeczytaniu zniszczyłem natychmiast -- lepiej jest unikać niebezpieczeństw. Niemiecki sztab generalny śle nam słowa podziwu i otuchy. W warsztatach we Friedrichshafen nad Bodeńskim Jeziołem buduje się gorączkowo flota superzeppelinów. Każą nam wytrzymać do tego momentu, gdy flota ta będzie gotowa, by przybyć do brzegów Ameryki z pociskami wypełnionymi thanatoidem!

--- A wówczas?

--- Wówczas spełni się nasze hasło *Biada Ameryce!* Pan wie, doktorze Hayakawo, co to jest thanatoid?

Milczący Japończyk, zwany także przez sprzysiężenie bratem Żółtym, skinął głową: --- Wiem! To straszny gaz! Paraliżuje ośrodki mózgowo i zabija bez ratunku. Ale...

--- Jakie *ale*, doktorze?

Kobieta o blond włosach wyręczyła Japończyka w odpowiedzi: --- Jest *ale!* Amerykanie mają swój lewisit!

--- Nie będą go mieli, miss Zuzanno!

--- Nie powinni go mieć! --- odparła z nienawiścią kobieta. --- Fabryka lewisitu musi przestać istnieć!

--- To trudna sprawa! Odłożymy ją na czas właściwy. Mamy teraz inny kłopot...

--- Mac Grady!

--- Tak! To jedyny człowiek, który może być dla nas niebezpieczny.

--- Wysłałem do niego drugie ostrzeżenie!

--- Jestem pewien, że się go nie uląkł.

--- Nie mamy czasu, by się z nim bawić, po trzecim ostrzeżeniu skończy się z nim szybko.

Kobieta poruszyła się niespokojnie:

--- Pamiętajcie o moim warunku!

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Sfinkswy uśmiech nie schodził z warg Japończyka.

--- Jakież to warunek? --- zapytał.

--- Miss Zuzanna żąda oszczędzania życia Grady'ego.

--- Mogą zajść okoliczności, które zmuszą nas do tego, że... --- ozwał się ten, którego von Hartrott nazwał bratem Krezusem.

--- Z góry wykluczam takie okoliczności. Powiedziałam wam już raz, iż życie Mac Grady'ego należy do mnie.

Starszy pan ruszył ramionami:

--- Dziwna doprawdy jesteś, Zuzanno! Można by pomyśleć, iż zakochałaś się w Mac Gradyem.

Oczy kobiety błysnęły:

--- Grady jest dzielnym mężczyzną. Chcę, by żył! Taki jest mój kaprys! I kaprys ten spełnicie! Możemy odebrać mu wolność, możemy go uprowadzić czy unieszkodliwić stoma innymi sposobami, ale nie pozwolę, by mu włos spadł z głowy.

--- A jeżeli się stanie inaczej?

Blondynka wstała gwałtownie:

--- Wtedy zobaczycie, co może *miss o szkarlatnym spojrzeniu*. Wszak sami mnie tak nazwaliście! Pamiętajcie, kto dotknie Mac Grady'ego -- zginie.

Von Hartrott roześmiał się.

--- Darujemy więc tymczasem życie temu Grady'emu, ale wolałbym, by pani mu doradziła, żeby nie mieszał się w nieswoje sprawy! Niech pani uważa, by pani przyjaciel nie zmusił nas do użycia środków gwałtownych!

--- Grady nie jest moim przyjacielem!

--- Mniejsza z tym, idziemy dalej. Przychodzi moment, kiedy musimy wzbudzić postrach w najwyższych kołach rządowych. Proponuję usunięcie Wilbury'ego!

--- Dlaczego Wilbury'ego?

--- Wilbury jest dla nas specjalnie niebezpieczny. Ten człowiek ma pomysły i umie je realizować. Jego to projektem jest zastosowanie lewisitu w wojnie morskiej. O ile wiem, czynione już są próby z pociskami armatnimi wypełnionymi lewisitem skondensowanym do stanu skroplenia. Zamach na sekretarza stanu dla spraw wojskowych wzbudzi jeszcze większą panikę i odbije się szerokim echem po Stanach i po świecie.

--- A więc Wilbury! Kto ma być następny?

--- O'Connel!

Wieczne pióro porucznika von Hartrotta kreśliło na papierze małe znaczki szyfrowe. Lista proskrybowanych rosła.

Blade światło amplii rzucało łagodny blask na pokój, w którym w samym sercu Nowego Jorku czwórka szatanów układała swe zbrodnicze plany.

ROZDZIAŁ XIII

Zlecenie, jakie dał Mac Grady biuru detektywów Pinkertona, brzmiało: --- Proszę mi przysłać wywiadowcę, człowieka pewnego i zdolnego, który by umiał doskonale po niemiecku. Liczę tylko na pierwszorzędną siłę! Niech to będzie najlepszy detektyw, jakiego macie.

Biuro Pinkertona spełniło rychło tę prośbę i zaraz dnia następnego zameldował się u Grady'ego wywiadowca, o żądanych zaletach. Był to wysoki szatyn, którego wiek trudno było określić.

Mac Grady objął go badawczym spojrzeniem:

--- A! To pan jest owym "łapaczem" od Pinkertona?

Przybyły uśmiechnął się:

--- Tak, to ja!

--- Umie pan po niemiecku?

Jak rodowity Niemiec, urodziłem się w Westfalii.

--- Nie wygląda pan na jankesa?

--- Jestem obywatelem Stanów, z pochodzenia Polakiem.

--- Polakiem? To bardzo dobrze! Czy pan wie, po co pana wezwałem?

--- Nie; powiedziano mi tylko, że mam z panem pracować. To wielki zaszczyt dla mnie.

--- Dziękuję! Ale nie o zaszczyt, tu idzie. Czy widział tu kto pana wchodzącego?

--- Sądzę, że jedynie portier. Jechałem windą.

--- Dobrze! Dyżury portierów zmieniają się o dwunastej w południe. Musi więc pan pozostać tu dwie godziny!

--- Czy sprawa jest tak poważna?

--- Niezmiernie! Ale prawda, nie znam jeszcze nazwiska pana...

--- Otocky.

--- Otocky? Zatem, mój panie, w przyległym pokoju znajdzie pan wszystko co trzeba, by panu nadać inny wygląd. Pańskim włosom należy nadać piękny rudawy kolor. Wszelkie swe notatki i legitymacje zostawi pan u mnie w biurku.

Wkrótce wygląd zewnętrzny Otockiego był taki, jakiego chciał Mac Grady. Detektyw roześmiał się cicho z zadowolenia.

--- Doskonale! Niech pan pamięta, że jest pan Niemcem, a po angielsku mówi pan źle i z fatalnym akcentem?

--- Jak się obecnie nazywam?

--- Oczywiście nie Oto... Otocky! Trudne ma pan nazwisko. Nazywa się pan Nadel. Był pan buchalterem w firmie *E. Smith-Brown* i został pan wydalony z posady, ponieważ nie taił się pan z sympatiami dla Niemiec.

--- Oto legitymacja i świadectwo zwolnienia. Podpisałem je za pana Browna, ale to nie szkodzi, prawda? Niech pan nałoży te rogowe okulary, to uzupełni pańską sylwetkę. Tak, dobrze. Jest pan oczywiście bez pracy i szuka pan jakiegokolwiek zajęcia.

--- Gdzie mam go szukać?

--- W *Banku Amerykańsko-Kanadyjskim*, na Wall Street. To duże przedsiębiorstwo, ale niech się pan uprze, że musi się pan widzieć z dyrektorem. Jest nim niejaki Max Kellerman.

--- Niemiec?

--- Otóż właśnie tak! Zaapeluje pan do jego patriotycznych uczuć, choć chce on być dobrym Amerykaninem i poprosi go pan o jakiegokolwiek zatrudnienie.

--- Rozumiem.

--- Dalsze instrukcje dam panu potem. Ale u mnie w hotelu nie może się pan zjawiać. Listy przez posłańca. Ja z panem będę się komunikował przez Pinkertona.

Otocki schował fałszywe papiery do kieszeni, nie odchodził jednak.

--- Pan chce jeszcze czegoś?

Otocki zawahał się.

--- Tak --- rzekł --- dotąd zawsze wiedziałem, przystępując do roboty, o co właściwie chodzi. Mogłem wtedy działać z własnej inicjatywy, zależnie od okoliczności.

Grady spojrział w otwartą, szczerą twarz Polaka.

--- Niech i tak będzie! Chodzi o to, co obecnie dzieje się w Stanach. Chodzi o wykrycie organizacji terrorystów, którzy niszczą komunikację kolejową i uprawiają sabotaż w Stanach Zjednoczonych.

--- Pan podejrzewa Kellermana?

--- O nic go nie podejrzewam! Ot, po prostu, nie podoba mi się! Szukam tropu. Niech pan ma oczy i uszy otwarte. I niech pan się strzeże!

Otocki już wychodził, gdy Mac Grady zawrócił go z drogi: --- Jeszcze jedna bardzo ważna sprawa! Jeśli posłuży panu szczęście i Kellerman przyjmie pana do "pracy", niech się pan przekona, czy jest u niego w biurze maszyna do pisania systemu *Underwood*.

--- Underwood?

--- Tak, ale nie będzie to zwykła maszyna. Ma ona wybijać nad linią litery *c* i *z*. To bardzo ważny szczegół.

*

W godzinach popołudniowych otrzymał Mac Grady przez posłańca list, który sprawił mu wielką przyjemność. Detektyw zamówił bilety do opery i spędził resztę popołudnia w czytelnicy i bibliotece hotelowej, gdzie studiował dokładnie wielki plan Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ XIV

Minister Wilbury, sekretarz stanu dla spraw wojny miał dziwny zwyczaj, od którego nigdy nie odstępował. Zwykł był codziennie rano sam otwierać i przeglądać pocztę nadeszłą do sekretariatu. Tak było i tym razem.

Wilbury pogrążony w wygodnym, skórą obitym fotelu niecierpliwie rozrywał wielkie, pieczęciami opatrzone koperty, przebiegał wzrokiem treść listów i raportów, po czym rzucał parę słów dyspozycji sekretarzowi, młodemu człowiekowi, który stał przy biurku ministra w postawie pełnej szacunku i notował skrzętnie polecenia swego szefa.

Wilbury był tego dnia w znakomitym humorze. Próby z pociskami armatnimi napełnionymi skroplonym lewisitem dały wreszcie dobre rezultaty, co mogło stanowić przewrót w losach obecnej wojny, która dotąd żadnej ze stron nie przyniosła decydującej korzyści. Wprowadzenie w boju morskim pocisków lewisitu, mogło bezwzględnie przeważać szalę wypadków na rzecz Stanów Zjednoczonych.

Grube palce ministra ujęły ostatnią przesyłką pocztową. Była to niewielka koperta zaadresowana na maszynie. Wilbury obejrzał ją zdziwiony nieco, nie nosiła bowiem żadnej urzędowej pieczęci ani też adresu wysyłającego. Srebrnym nożykiem, który był równocześnie przyciskiem na papiery, rozciął kopertę. Na biurko wypadł mały arkusik papieru złożony starannie w czworo. Wilbury wziął go w rękę i naraz wyraz zdziwienia odmalował się na jego pełnej, wygolonej twarzy.

--- Przedziwne! --- zawołał --- mister Randall, niech pan to przeczyta i powie czy nie mam przywidzeń.

Sekretarz spełnił polecenie i odczytał treść listu.

Była ona krótka, niemniej interesująca:

Szanowny panie Wilbury!

Przykro nam bardzo, ale obecność pana na stanowisku sekretarza stanu do spraw wojny jest dla nas niewygodna. Polecamy panu urlop wypoczynkowy do końca obecnej wojny. W przeciwnym razie czekają pana przykre niespodzianki.

List nie miał żadnego podpisu ani daty.

Sekretarz stanu i urzędnik spojrzeli na siebie.

--- To głupi żart, mister Randall, co pan o tym sądzi?

Zapytany wznosił w górę ramiona.

--- Nie wiem, co to jest, ale sądzę, że nie można tego lekceważyć!

--- Czy sądzi pan, że podam się do dymisji? --- zapytał sarkastycznie Wilbury.

--- Sądzę, że list nie jest żartem ani głupią mistyfikacją!

--- A więc czym?

--- Ostrzeżeniem prawdziwym! Ostrzeżeniem tej samej nieuchwytej organizacji, która na terenie całych Stanów rozwija sabotażową robotę.

Wilbury podniósł głowę.

--- Być może, że pan ma rację! Cóż mam jednak zrobić, gdyby tak było faktycznie? Poddać się i wyjechać do Palm Beach? Cokolwiek mnie czeka, zostanę na stanowisku.

Minister obejrzał dokładnie dziwny list.

--- Powinien pan minister przedsięwziąć wszystkie środki ostrożności.

--- Wątpię czy przydadzą się na co. Jeżeli podpisano na mnie wyrok śmierci, trudno będzie o ratunek. Wszakże obsadzenie torów kolejowych i blokhauzów wojskiem nie przeszkodziło nowemu zamachowi na pociąg pod Granite City.

Sekretarz nie ustępował.

--- Radzę panu ministrowi zwrócić się w tej sprawie do Mac Grady'ego. Przecież on podobno zajął się wykryciem zbrodniarzy.

Wilbury pomyślał przez chwilę.

--- Dobrze. Niech pan z nim pomówi telefonicznie.

Sekretarz Wilbury'ego nie uzyskał jednak dnia tego rozmowy z Mac Gradym. Centrala w hotelu poinformowała mister Randalla, iż Mac Grady opuścił z rana pokój i wróci do hotelu dopiero w godzinach obiadowych.

ROZDZIAŁ XV

Mac Grady faktycznie ranka owego opuścił dość wcześnie hotel *Metropolitan*. Był bardzo starannie ubrany, co nie przeszkodziło mu włożyć do kieszeni ulsteru⁽¹⁾ dobrze zaopatrzonego rewolweru.

Wyszedłszy przed hotel, Grady przezornie nie wziął pierwszej ze stojącego rzędu taksówek, lecz wybrał dziewiątą czy dziesiątą, przy czym objął wóz i szofera baczny spojrzeniem.

--- Chrysler mruknął do siebie, zajmując miejsce w taksówce --- to dobrze. Chryslery są mocne i obronną ręką wychodzą z katastrof!

--- Wall Street! --- rzucił czekającemu dyspozycji szoferowi. --- Bank Amerykańsko-Kanadyjski.

W kwadrans potem woźny wszedł do luksusowego gabinetu dyrektora Kellermana i podał mu na tacce bilet wizytowy. Bankier ujął go w tłuste palce i pobrał lekko: --- Czy ten pan jest sam? --- zapytał.

--- Sam --- odpowiedział woźny. --- Tłumaczyłem mu, iż pan dyrektor jest zajęty, powiedział jednak, iż musi się dziś widzieć z panem.

--- Więc proś!

Mac Grady przełożył tymczasem browning do kieszeni marynarki i zimny a sztywny przeszedł przez biura buchalterii do gabinetu dyrektora Kellermana. Otockie, ku swemu niemałemu zdziwieniu, podniósłszy głowę znad wielkiej księgi, gdzie pilnie sumował pozycje, ujrzał detektywa, lecz nie zdradził się ani na moment.

--- Jaki elegancki i przystojny --- zauważyła, patrząc za Gradym jedna z towarzyszek pracy Otockiego.

--- Czy bywa on tu częściej? --- zapytał Nadel, nie podnosząc głowy znad księgi.

--- O, nie. Widzę go tu po raz pierwszy --- odparła piękna brunetka.

Mac Grady tymczasem wszedł do gabinetu Kellermana. Bankier podniósł się z fotela na jego przywitanie, ozdabiając swą ciężką twarz najmiłym z uśmiechów, na jakie mógł się zdobyć.

--- Mister Mac Grady, nieprawdaż?

--- We własnej osobie, mister Kellerman. Ale, o ile sobie pana przypominam, widzieliśmy się już kiedyś?

Bankier zmarszczył brwi, starając sobie przypomnieć.

--- Nie sędzę, mister Grady, abym miał kiedykolwiek widzieć pana.

Grady usiadł swobodnie na wskazanym miejscu.

--- A ja przypominam sobie pana doskonale. Wszak to pan wychodził dwa tygodnie temu z audiencji u prezydenta, w czasie, gdy ja na nią oczekiwałem.

--- Ach tak, faktycznie. Teraz przypominam sobie. Ale czym mogę panu służyć, mister Grady?

--- O, to drobna sprawa, dla której właściwie nie powinienem pana trudzić. Ale nie mogłem sobie odmówić wyzyskania tej sposobności dla poznania pana. Chodzi mi o otwarcie sobie rachunku w pana banku.

Dyrektor Kellerman pomyślał, iż on zrezygnowałby dość chętnie z przyjemności poznania Mac Grady'ego.

--- Otwarcie konta to faktycznie głupstwo. Wiem nie od dzisiaj, że jest pan zamożnym człowiekiem. Jaki jest pana obecny adres? Aha! Hotel *Metropolitan*, Fifth Avenue. Doskonale.

Więc pan zostaje przez czas dłuższy w Stanach Zjednoczonych, mister Grady?

Bankier mówił dużo i był najwyraźniej zdenerwowany.

--- Zostaję w Stanach tak długo, póki nie dokonam zadania, którego się podjąłem.

--- Jakież to zadanie?

--- Wykrycie owej szajki sabotażystów.

--- Pan wie, że wyznaczyłem z moich osobistych funduszków 50.000 dolarów dla tego, który tego dokona.

--- Wiem. I nie wątpię, że zarobię tę sumę.

Bankier poruszył się niespokojnie:

--- Czyżby pan już miał jakieś określone podejrzenie.

--- Podejrzenie to mało. Mam pewność.

Zapałka, którą Kellerman podnosił do ust, by zapalić cygaro, zatrzymała się w połowie drogi. Dyrektor Banku Amerykańsko-Kanadyjskiego wyjął cygaro z ust i zapytał: --- Nawet pewność? Jestem ogromnie ciekawy. Któż więc popełniał te ohydne zbrodnie?

--- Zbrodnie to istotnie ohydne --- odparł detektyw, nie spuszczać oczu z bankiera. --- Pan rozumie, mister Kellerman, że nic więcej ponad to, co powiedziałem, powiedzieć nie mogę. Ja nigdy nie odkrywam kart przed czasem.

Słowa te były powiedziane z tak dziwną tonacją głosu, iż Kellerman drgnął i roześmiał się nieprzyjemnie: --- Oczywiście. Nie należy odkrywać kart przed czasem. Życzę panu powodzenia, mister Grady.

Detektyw wstał:

--- Powodzenie dopisywało mi dotąd zawsze. Good bye! mister Kellerman. A więc otwiera mi pan kredyt do 50.000 dolarów? Wszak tyle wynosi pańska premia.

Kellerman skinął głową. Byłby obiecał Grady'emu 100.000 dolarów kredytu, byleby ten odszedł co rychlej.

Jakoż Grady odchodził. Od drzwi jeszcze zwrócił się do bankiera: --- Mister Kellerman, teraz chcę panu dać małą radę. Ma pan u siebie dość marne maszyny do pisania. Przynajmniej jedną. Niech ją pan da co rychlej wyremontować.

Mac Grady wyszedł szybko, zamykając starannie drzwi za sobą i nie widział wrażenia, jakie słowa te wywarły na bankierze. Finansista opadł ciężko na fotel z pobladłą, zmienioną twarzą.

Sięgnął do karafki, która stała na biurku i szybko, jedna za drugą, wypił dwie szklanki wody. Rozmyślał przez chwilę, potem przycisnął guzik dzwonka: --- Poproś pana Nadla.

Wezwany zjawił się natychmiast:

--- Czym mogę służyć panu dyrektorowi?

Kellerman zawahał się przez chwilę:

--- Panie Nadel! --- rzekł wreszcie --- uważam pana za dobrego Niemca. Dlatego tylko znalazł pan pracę u mnie.

--- Jestem nim, panie dyrektorze --- odparł zapytany, kalecząc niemiłosiernie angielszczyznę.

Kellerman uśmiechnął się:

--- Mówmy po niemiecku --- rzekł. --- Z dokumentów pana wynika, że służył pan w policji niemieckiej zanim wyemigrował pan do Stanów.

--- Tak było rzeczywiście. Uchodziłem za zdolnego wywiadowcę.

--- Hm! Czy wie pan, kto to był ów pan, który wyszedł stąd przed chwilą?

--- Nie mam pojęcia.

--- To był Mac Grady.

Nadel ruszył ramionami:

--- Niewiele wiem, kto to. Jakiś detektyw angielski?

--- Tak, ale to nie wszystko. Mac Grady...

Kellerman popatrzył prosto w twarz urzędnikowi:

--- Mac Grady to największy wróg Niemiec.

Bankier podszedł bliżej do Nadla i zniżył głos:

--- Grady jest jedynym człowiekiem, który pokrzyżować może plany dwuprzemierza.

Zwalniam pana z pracy biurowej, panie Nadel. Niech pan śledzi bacznie Mac Grady'ego. Był pan agentem, wie pan jak to czynić. Chcę wiedzieć o każdym jego kroku.

--- Rozumiem, panie Kellerman.

--- Niech pan pamięta, że panu zufałem. To nie ja daję obecnie panu to rozporządzenie, to pańska wielka niemiecka ojczyzna wzywa pana na swe usługi.

--- I nie zawiodę mojej ojczyzny.

--- A więc powodzenia, panie Nadel. Może się pan ze mną komunikować o każdej porze.

Gdy drzwi zamknęły się za Nadlem, dyrektor Kellerman odczekał dłuższą chwilę, następnie podszedł do drzwi gabinetu i zamknął je dwukrotnie na klucz.

Podszedł do jednej z dwu kas ogniotrwałych, które stały w pokoju i począł przy niej coś manipulować. Naraz szafa, pchnięta jakąś niewidzialną siłą, odsunęła się lekko na bok i bezszelestnie odsłoniła ścianę pokrytą tapetą. Dyrektor Kellerman pocisnął guziczek wbity w tapetę i otworzyły się ukryte drzwi zamykające tajne przejście. Bankier wszedł przez te drzwi do małego pokoju bez okien, oświetlonego elektryczną lampą.

Na tapczanie zarzuconym licznymi poduszkami leżał młody mężczyzna w piżamie, zatopiony całkowicie w czytaniu wielkiej płachty amerykańskiego pisma.

Na odgłos otwieranych drzwi mężczyzna ów podniósł głowę i ujrawszy Kellermana uśmiechnął się zadowolony. Mężczyzną tym był porucznik Rudolf von Hartrott.

⁽¹⁾ ulster -- tkanina z grubej wełny zgrzebnej; płaszcz męski uszyty z tej tkaniny.

ROZDZIAŁ XVI

Członkowie rządu Stanów Zjednoczonych zbierali się na naradę w stanie największego zdenerwowania. Ostatnie bowiem cztery dni, cztery długie koszmarne dni, przyniosły wzmożoną działalność sprzysiężenia. W doku portowym w Nowym Jorku wybuchły dwie bomby, czyniąc niezmiernie szkody i zabijając mnóstwo robotników zatrudnionych przy remoncie dwu kontrtorpedowców amerykańskich. W Bostonie dokonano zamachu na gubernatora stanu Massachussets. Jakiś ubogo ubrany człowiek strzelił doń dwa razy, kładąc gubernatora trupem na miejscu. Człowiek ów po dokonaniu swego czynu nie próbował ucieczki, lecz, gdy podbiegli do niego policjanci, skierował lufę rewolweru w swe usta, roztrzaskując sobie czaszkę celnym strzałem. Nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów ani też czegokolwiek, co naprowadziłoby na ślad niewątpliwych współników zbrodni.

Wreszcie zanotowano znów trzy przerażające katastrofy kolejowe.

Opinia publiczna Stanów domagająca się przez usta prasy jak najszybszej likwidacji wewnętrznego wroga państwa, zaczęła się burzyć nie na żarty.

W Nowym Jorku i innych miastach amerykańskich zaczęły się demonstracje przeciw rządowe. Tłumy wyległy na ulice, demonstrując przed gmachami, gdzie mieściły się władze, wznosząc okrzyki domagające się wykrycia przez rząd szajki zbrodniarzy, która wprowadziła taki zamęt w życie Stanów Zjednoczonych. Popularność prezydenta Smitha była poważnie zagrożona.

Dobrze poinformowane o tym, co się działo za oceanem, gazety berlińskie tryumfowały, przewidując rychłą rewolucję w Stanach, zapowiadając niedalekie zwycięstwo Niemiec i Japonii. W takiej to sytuacji, pod znakiem grozy, jaka ogarnęła całe społeczeństwo, zebrano się na naradę u prezydenta Stanów, by powziąć konieczne decyzje.

Rząd Stanów Zjednoczonych na naradzie owej wysłuchał sprawozdania sekretarza stanu O'Connella, po czym olbrzymi generał Reutt zreferował członkom rządu sytuację wojenną. Po ożywionej dyskusji, w której zabierali głos wszyscy członkowie rządu, przyjęto szereg wniosków Wilbury'ego.

Następnie wezwano na posiedzenie Mac Grady'ego, który zaproszony był również do Białego Domu, by wziąć udział w dalszych naradach.

--- Wezwaliśmy pana, mister Grady, by zasięgnąć od niego informacji o przebiegu pańskich starań.

--- Starania moje wydały już rezultaty.

Oczy wszystkich zgromadzonych skierowane były, z wyrazem najwyższego zajęcia, na detektywa. Generał Reutt, szef VI departamentu sekretariatu do spraw wojny, nie spuszczał swego jedyne go oka z Mac Grady'ego. Drugie, na które nie widział, przysłonięte miał czarną opaską.

--- To, co powiem teraz, rozczaruje panów z pewnością. Powiem bowiem niewiele, bardzo niewiele. Wiem na pewno, iż organizacja, która Stanom tyle przyczyniła kłopotu jest organizacją polityczną, świetnie zakonspirowaną organizacją niemiecko-japońską. Należą do niej Niemcy i Japończycy zamieszkali w Stanach. Nie wszyscy oczywiście, lecz mała część najbardziej zdeterminowana. Mam powody przypuszczać, że rządy niemiecki i japoński wiedzą doskonale, iż organizacja taka w Stanach istnieje i wiedzą, kto stoi na jej czele. Tego dotąd niestety ja nie wiem, choć znam już jedno nazwisko, nazwisko człowieka, który gra w owym spisku niepoślednią rolę.

--- Kto jest tym człowiekiem, mister Grady? --- zapytał generał Reutt.

--- Nazwisko jego wprowadziłoby wszystkich w zdumienie, gdybym nazwisko to wymienił. Pozostanie ono jednak moją własnością dopóki sprawa nie dojrzeje zupełnie.

--- Skoro zna pan nazwisko poważnego członka przysiężenia, trzeba go aresztować niezwłocznie, ozwał się O'Connel.

--- Tego nam robić nie wolno i pułkownik Rangoon przyzna mi niewątpliwie słuszność. Również i pan, generale Reutt. Zaaresztujemy jednego człowieka, a szajka umknie nam z rąk. Proszę o zaufanie. Zastawiam sieci i skoro trzeba je będzie wyciągnąć, dam znać władzy Stanów. Ręczę, że sieć będzie wtedy pełna ryb.

--- Jak długo czekać mamy, mister Grady? --- zapytał znów generał Reutt, świdrując detektywa swoim zdrowym okiem.

--- Nie wiem. Nie mogę nic powiedzieć. Może będę już za tydzień wiedział wszystko, może za miesiąc dopiero.

Zapanowało głucho milczenie. Członkowie rządu i rzeczoznawcy zawiedzeni byli w swych nadziejach. Za miesiąc! Termin był odległy. Czegoś innego spodziewali się po Mac Gradym. Miesiąc to długich dni trzydzieści.

--- Niewesołe nam pan mówi rzeczy --- ozwał się prezydent Smith. --- Ufam panu. Będziemy musieli czekać.

--- Mamy jeszcze jedną sprawę --- ozwał się O'Connel. --- Telefon w tej sprawie nie zastał pana w domu. Przed kilkoma dniami mister Wilbury otrzymał list wzywający go do ustąpienia. Dziś nadszedł taki drugi list. Niewątpliwie wysyła go owa szajka terrorystów, której nazwy nawet nie znamy. Co myśli pan zrobić, by uratować życie mister Wilbury'emu?

--- Chciałbym ów list przeczytać.

Wilbury podał mu list, taki sam, jak wszystkie poprzednie. Detektyw ujrzał z niemałym zadowoleniem, iż w piśmie maszynowym w liście owym litery *c* i *x* nie były już wybijane nad linią.

List był krótki:

Radzimy panu po raz drugi podać się do dymisji ze stanowiska ministra wojny. Jeżeli w ciągu dwu dni nie uczyni pan tego, list następny przyniesie panu wyrok śmierci.

Mac Grady przeczytał list i oddał go Wilbury'emu.

--- Co mi pan więc radzi, mister Grady? --- zapytał sekretarz stanu.

--- Podać się do dymisji. Uczynić to dziś jeszcze.

Szmer głosów podniósł się na te słowa detektywa. Napięcie dramatyczne doszło do szczytu.

--- I pan, pan mi to radzi?

--- Tak, ja panu to radzę. Wszakże i po dymisji oficjalnej może pan kierować w tajemnicy swym resortem. Dwa podobne ostrzeżenia i ja otrzymałem. Jesteśmy jeszcze w tej chwili bezsilni. Dlatego powtarzam: niech pan się ugnie przed terrorem. Weźmiemy w przyszłości odwet za to upokorzenie.

--- A więc, mister Grady, niech pan spojrzy jak minister Stanów Zjednoczonych odpowiada na podobną propozycję:

Wilbury ujął list w palce i zbliżył do niego płonąca zapalkę. Arkusik papieru, rzucony na popielniczkę, spłonął, kurcząc się i zwijając.

Cichy okrzyk wyrwał się z piersi Mac Grady'ego. Pod wpływem gorąca na lewym

górnym brzegu listu, tam gdzie zwykle, na papierze firmowym, widnieje nazwisko nadawcy, występować zaczęły czarne znaki.

--- Sympatyczny atrament! --- zawołał Mac Grady.

Wszyscy obecni porwali się z miejsc.

Jedynie generał Reutt siedział nieruchomo, patrząc na arkusz papieru, który zwęglął się szybko.

Mac Grady sięgnął ręką do kieszeni i wyjął z niej portfel.

Mam przy sobie te dwa ostrzeżenia, które otrzymałem. Poddamy je zaraz ekspertyzie.

Mac Grady zbliżył zapalkę do jednego z listów, ogrzewając papier w miejscu, gdzie w liście pisanim do Wilbury'ego ujawnił się sympatyczny atrament.

Efekt nie dał długo na siebie czekać. Szybko czerniejące znaki wystąpiły na papierze.

Obecni wstrzymali oddech w piersiach.

Grady podniósł papier do oczu:

--- *Die Verschwörung des blinden John* --- odczytał. --- Oto i mamy nazwę organizacji, która tyle nieszczęść na państwo sprowadziła.

--- *Die Verschwörung des blinden John* --- powtórzył ktoś z zebranych.

--- To po niemiecku --- objaśnił detektyw --- znaczy to...

--- *Sprzysiężenie ślepego Johna* --- ozwał się głos generała Reutta.

Detektyw skinął potakująco głową:

--- Za jednym zamachem zyskaliśmy bardzo wiele. Czy uwierzą teraz panowie, że przypadek stanowi najczęściej o powodzeniu detektywów.

Grady zwrócił się do Wilbury'ego:

--- Mister Wilbury, podziwiam śmiałą decyzję pana. Ponieważ radziłem panu inaczej, honor mój nie pozwala mi odstąpić pana. Obecnie jest pan jeszcze bezpieczny, lecz skoro otrzyma pan już ów wyrok śmierci -- a otrzyma go pan niewątpliwie -- będę osobiście czuwał nad panem i ani na krok nie odstąpię pana.

Wilbury wyciągnął rękę do detektywa, którą tenże uścisnął.

--- A teraz nie jestem tu chyba już potrzebny --- ozwał się detektyw. --- To, co teraz zdobyłem, wymaga poczynienia przeze mnie pewnych kroków. Mister Wilbury, gdyby tylko stało się cokolwiek, proszę mnie uwiadomić. Nie opuszczę od tej chwili Washingtonu, póki nie ominie pana niebezpieczeństwo.

Mister Grady uklonił się i opuścił salę obrad. Wśród zebranych panowała przez chwilę cisza.

--- Ten Grady to zdolny człowiek --- ozwał się O'Connel, przerywając milczenie.

--- Tak, człowiek niewątpliwie zdolny --- odparł skandując każde słowo generał Reutt. --- I właśnie chcę pana zapytać, mister O'Connel, kiedy wyda pan rozkaz aresztowania go?... Mówię to zupełnie serio --- ciągnął jednooki wojskowy, śledząc wrażenie, jakie wywarły jego słowa. --- Pytam, kiedy Mac Grady zostanie aresztowany?

--- Z jakich przyczyn? Dlaczego? --- posypały się pytania.

--- Jako członek, względnie przywódca sprzysiężenia, którego nazwę odkryliśmy przed chwilą.

--- Pan żartuje, generale --- zawołał prezydent Smith. --- Mac Grady wodzem sprzysiężenia...

Sekretarze stanu i urzędnicy zebrani na konferencji uśmiechnęli się z niedowierzaniem. Reutta nie zmieszało to jednak ani trochę.

--- Proszę o spokojne wysłuchanie mnie przez chwil parę. Być może, że się mylę. Chcę się nawet mylić. Ale oto kilka faktów, w takim oświetleniu jak ja je widzę: Na okręcie *Olympic*

zaczyna się akt pierwszy. Ze zbrodniczej ręki ginie komandor Carside. Morderstwo popełnione jest w tym celu, by zdobyć niezmiernie wagi dokumenty. Dokumenty te zostają faktycznie wykradzione. Na miejscu zbrodni znajduje się natychmiast mister Grady, podróżujący pod nazwiskiem mister Logana. Rozpoczyna śledztwo mające na celu wykrycie mordercy. Skierowuje podejrzenie na detektywa okrętowego, niejakiego Dreamera, który nie wiadomo, czy współwiny, czy przerażony podejrzeniem tak okropnym rzuca się do ucieczki i pada od kuli rewolwerowej. Gorliwość Mac Grady'ego jest tu dla mnie bardzo podejrzana. Czy Dreamer był faktycznie winny? Czy on wykradł papiery tak dla nas cenne? Nie wiemy, umarli nie mówią! Cóż robi następnie Mac Grady? Zarządza rewizję bagażu i rewizję osobistą wszystkich pasażerów, by znaleźć owe dokumenty, wykradzione Carside'owi. Sam jest również pasażerem *Olympica*, siebie jednak rewizji nie poddaje. Co więcej, urzędnicy policyjni są dla niego tak grzeczni, że zwalniają od rewizji jego walizkę, na co Grady godzi się skwapliwie. Rewizja oczywiście nie daje wyników.

Generał Reutt przerwał i powiódł swym jednym okiem po obecnych. Słuchali w głębokim milczeniu. Była cisza tak głęboka, że słyhać było tylko oddechy zebranych. Uśmiech wykrzywił wargi wojskowego.

--- Niech pan zechce posłuchać dalej, panie prezydencie. Posłuchajcie panowie. Mac Grady po przybyciu do Nowego Jorku, po paru dniach dopiero, zgłasza się do rządu Stanów Zjednoczonych w Washingtonie z relacją wypadków. Zostaje przyjęty przez mnie, bowiem sekretarz stanu mister Wilbury bawił podówczas na Florydzie. Grady kreśli mi przebieg wypadków na *Olympicu*, ze smutkiem zaznacza, iż wszelkie jego wysiłki, by odzyskać skradzione dokumenty, zawiodły. Zarazem jednak podaje w zarysach treść owych dokumentów. Twierdzi, że Noe Carside, przeczuwając, iż prześladowcy go osiągną, zwierzył mu się z owych szczegółów. Wątpię w to niesłychanie, bowiem Carside znał Mac Grady'ego pod nazwiskiem Logana. Mógłby mieć Carside zaufanie do Grady'ego jako do człowieka, który uratował życie prezydentowi, ale owe zwierzenia wobec obcego pasażera wskazywać by chyba musiały, że Carside, w obawie wiszącej nad nim śmierci, stracił zwykły mu hart ducha.

Idę dalej w swym rozumowaniu. Grady mógł liczyć na to, że w sytuacji, jaka się wytworzyła, prezydent Smith zwróci się do niego. Odgrywa komedię wahania, wreszcie zgadza się wziąć sprawę w swe ręce. I oto dziś przychodzi do nas i coś nam mówi. Zna jedno nazwisko, które by nas wprowadziło w podziw i zdumienie. Jakie nazwisko? Odmawia odpowiedzi. Osiągnął już pewne wyniki. Jakie wyniki? Nie odpowiada. Radzi podać się do dymisji mister Wilbury'emu. Każe nam czekać przez nieokreślony czas. Może tydzień, może miesiąc. Zapowiada wreszcie, gdy mister Wilbury odrzuca stanowczo pomysł dymisjonowania, że nie opuści go i nie odstąpi na krok. Bardzo wygodna oferta, która pozwoli mu raz jeszcze wyzyskać pokładane w nim zaufanie.

Generał Reutt umilkł.

--- A więc konkretnie o co oskarża pan Mac Grady'ego? --- zapytał zmienionym głosem O'Connel.

--- Formułuję swe oskarżenie. Oskarżam Mac Grady'ego o zamordowanie komandora Carside'a i o wykradzenie tajnych dokumentów przez niego wiezionych. Oskarżam go o rzucenie podejrzenia na Dreamera, na skutek czego Dreamer poniósł śmierć. Oskarżam o wyniesienie z *Olympica* wykradzonych dokumentów i doręczenie ich ambasadzie niemieckiej. Oskarżam go nareszcie, iż jest członkiem lub wodzem bandy terrorystów. Iż obecnie ofiarował swą pomoc mister Wilbury'emu, by wykonać na nim wyrok, śmierci... To chyba wystarczy.

Trzema uderzeniami w stół zakończył generał straszne oskarżenie Mac Grady'ego.

Członkowie rządu milczeli. Słowa generała Reutta uderzyły w nich jak piorun z jasnego

nieba. Czy to możliwe, Mac Grady zbrodniarzem? Mac Grady znany dotąd jako wzór szlachetności i uczciwości! Mac Grady dżentelmen w każdym calu! Nie, jest to niepodobieństwo! Wszyscy obecni odpychali tę myśl, starali się zwalczyć ją w sobie, nie mogli jednak oprzeć się przeświadczeniu, że przecież w takim oświetleniu faktów, jakie im dał generał Reutt, cień podejrzania, cień poważnego podejrzania padał na detektywa. Dlatego siedzieli wszyscy w milczeniu przytłoczeni ogromem oskarżenia i nie śmieli przez czas długi podnieść oczu znad stołu obrad pokrytego zielonym sukniem.

Prezydent uznał za konieczne zabrać głos w tej sprawie i przerwał męczącą ciszę.

--- Generał Reutt --- ozwał się --- poczynił tu uwagi niezmiernego znaczenia. Gdyby było faktycznie tak, jak generał Reutt sprawę przedstawia, stalibyśmy wobec straszliwej potworności. Generał Reutt człowieka o kryształowej dotąd opinii przedstawił jako zbrodniarza, wodza szajki zbrodniarzy, jako przestępcę o dziwnym wyrafinowaniu. Przyznaję, że fakty, tak jak je ujął generał Reutt, w pewnych punktach przemawiają przeciw Mac Grady'emu. Nie świadczy to jednak, by Mac Grady miał być faktycznie winnym tego, co mu tutaj zarzucono.

--- Przypominam, że Mac Grady jest Anglikiem, Przypominam, że Mac Grady jest byłym wojskowym angielskim, przypominam wreszcie, że Mac Grady, jako kapitan marynarki angielskiej, brał udział w słynnej bitwie pod Falklandzkimi wyspami, w której zniszczono eskadrę admirała von Speego.

--- Czyż możemy przypuszczać, iż Mac Grady jest obecnie służką Niemiec i Japonii i wykonawcą politycznych planów owych państw? Teraz, szczególnie teraz gdy w interesie jego ojczyzny leży zwycięstwo Stanów Zjednoczonych? Co sądzi pan o tym, generale Reutt?

Zapytany obruszył się:

--- Nie obchodzi mnie, czy Mac Grady jest Anglikiem, czy Syngalezem. Podejrzanie, które miałem -- wypowiedziałem. Oskarżenie, którego zażądał O'Connel, sformułowałem wyraźnie.

--- Nie mogę oprzeć się jednak wrażeniu, iż popełnia pan błąd, zarzucając Mac Grady'emu te potworności --- ozwał się O'Connel.

Reutt ruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

--- Mac Grady'ego --- ozwał się Smith --- ja prosiłem o współpracę. Ręczę za niego nadal i biorę za niego odpowiedzialność.

--- I ja --- ozwał się O'Connel.

Generał Reutt roześmiał się sucho i nieprzyjemnie.

--- A pan, mister Wilbury?

Zapytany zawahał się.

--- To przyszłość pokaże --- odparł. --- W każdym razie nie odrzucam pomocy ofiarowanej przez Mac Grady'ego. Generał Reutt nie dał nam dowodów winy Mac Grady'ego. Nie mamy powodów nie ufać Mac Grady'emu, ale musimy mieć oczy na wszystko otwarte.

--- Ja ostrzegłem! Spełniłem co do mnie należało --- powiedział twardo jednooki.

ROZDZIAŁ XVII

Sala była mroczna i ciemna, jak tajemniczy i ciemny był ów mroczny, dawno niezamieszkały i ku ruinie chylący się dom leżący w najobszerniejszym zaułku nowojorskiego portu. Pierwszy rzut oka wskazywał, że dom ten był starym składem towarów i że z niego przerobiony został na dom mieszkalny. Pozostałością z owych czasów, gdy budynek ów był składem towarów, były ciężkie drewniane okiennice, które szczelnie od lat były zamknięte. Niewiele wiadomo, kto był właścicielem owego opustoszałego domu, którego brama z rzadka się otwierała i po prawdzie nikogo nie obchodziło to specjalnie. Ten jednak, kto by się interesował tą sprawą, mógłby się dowiedzieć po długich staraniach, że dom ten drogą spadku doszedł do rąk jakiegoś bogatego japońskiego kupca, który przez szereg lat nie zdecydował się ani na zburzenie starego budynku, ani na wzniesienie nowego, ani też na wyciągnięcie z domu jakichkolwiek praktycznych korzyści. Być może zapomniał nawet o nim zamożny właściciel i jedynie dwa pokoje na parterze zajmował jakiś milczący Japończyk lat średnich, co do którego życia też niewiele szczegółów posiadali nieliczni mieszkańcy tej ulicy, była to bowiem ulica magazynów i składów portowych.

Owej ciemnej i bezksiężycowej nocy dom sprawiał wrażenie ponure i martwe, jak zazwyczaj. Drewniane okiennice były zamknięte, jak zawsze, nic nie wskazywało na to, iż w domu tym są jakiegokolwiek żywe istoty.

A jednak dom nie był pusty. Na zewnątrz sprawiający wrażenie martwego -- dom ten żył.

Pod osłoną nocy i zakrytego chmurami nieba przez zaułek przemykały się bezszelestnie i cicho czarne cienie.

Cienie te zdążyły właśnie do owego opustoszałego domu. Na umówione stuknięcie do drzwi budynku brama otwierała się cicho, na jeden moment tylko, wpuszczając do środka przybysza, po czym zamykały się znowu bez szmeru, jakby nie człowiek a duch był odźwiernym.

W wielkiej mrocznej sali, oświetlonej mdłym światłem świec, elektryczności bowiem nie zapalano, by jakiś zdradziecki błysk światła nie przedarł się przez okiennice, gromadzili się bracia sprzysiężenia.

Sala sprawiała wrażenie jakiejś średniowiecznej komnaty. Była surowa i pusta, jedynym jej umeblowaniem był stół stojący pod jedną ze ścian Sali oraz ławy ustawione tak, iż wraz ze stołem tworzyły regularny czworobok. Na stole stały dwa kandelabry ze świecami, które rozbłyskiwały w półmroku, rzucając na ściany i kąty sali upiorne, ponure cienie. Za stołem stały trzy krzesła.

Na tle tej średniowiecznej dekoracji rozmawiali z sobą półgłosem bracia sprzysiężenia. Nie byli jednak odziani w czarne długie płaszcze, jakie nosili zwykle członkowie sycylijskiej mafii czy camorry. Nie nosili na sobie błazeńskich szat Ku-Klux-Klanu, haftowanych w półksiężycy, węzę, sztylety i gryfy. Nie. Bracia sprzysiężenia byli ubrani w nowoczesne europejskie stroje, a były tam eleganckie stroje światowców i stroje uboższe, robotnicze. Jedynie na twarzach braci widniały czarne maski, które zakrywały oczy i nos, górną część twarzy aż po usta.

Braci było niewielu. Masowe zbieranie było niebezpieczne, mogło zdekonspirować miejsce zebrania. Zebrania te odbywały się z reguły tylko wtedy, gdy do sprzysiężenia przyjmowano nowego brata. Rytuał uroczystości wymagał, by prezydium powoływało, jako świadków uroczystości dwudziestu czterech braci. Poza tym bracia nie schodzili się nigdy na narady. Organizacja sprzysiężenia była wojskowa. Bracia odbierali rozkazy i musieli je ślepo wykonywać. Opór przeciw rozkazowi groził śmiercią, ale dotąd nie notowano podobnych

wypadków. Członkowie stowarzyszenia w równej mierze Niemcy, jak i Japończycy, byli patriotami, byli fanatykami, dla których istniał tylko jeden cel: zwycięstwo Niemiec i Japonii.

Bracia nie znali wzajemnie swych nazwisk. Nazwiska znane były tylko wodzom sprzysiężenia. Między sobą nazywali się tylko pseudonimami.

Uroczyste przyjęcie nowego członka w poczet stowarzyszenia odbywało się jedynie dla wykazania nowo wstępującemu mocy i siły organizacji i dla ostrzeżenia go przed zdradą i tchórzostwem. Na tych bowiem dwudziestu czterech braciach, którzy byli świadkami przyjmowania nowego członka do sprzysiężenia, spoczywał obowiązek dopełnienia na nim wyroku śmierci w razie dowiedzionej zdrady lub tchórzostwa.

Dochodziła północ gdy na salę zebrań weszły trzy osoby, na których widok bracia rozproszeni w drobne grupki przerwali rozmowy i skłonili się z uszanowaniem.

Przybyli odpowiedzieli podniesieniem dłoni pionowo w górę, co oznaczać miało powitanie, po czym zajęli miejsca za stołem.

--- Czy wszyscy bracia są w komplecie? --- zapytał jeden z przybyłych.

--- Jest nas dwudziestu czterech --- odpowiedzieli zebrani.

--- To dobrze, czy jest brat adept?

--- Czekaj w przyległym pokoju --- odparł Japończyk, mieszkaniec domu, spełniający funkcje gospodarza zebrania.

--- To dobrze --- powtórzył przewodniczący --- możemy zacząć obrady.

Jeden z przybyłych, ten, który siedział po prawej stronie przewodniczącego, młodego i szczupłego człowieka w sportowym odzieniu, powstał i dał znak, iż chce mówić. Bracia spiskowcy przedtem jeszcze zajęli miejsca na ławach.

--- Bracia *Sprzysiężenia Ślepego Johna* --- ozwał się donośnym głosem --- zebraliśmy się na coraz częstszy uroczystość przyjęcia nowego brata w nasze szeregi. Zanim przystąpimy do właściwych obrad, chcę wam wyrazić pozdrowienia od tego, który chociaż przez nikogo z was nie znany, jest jednak wodzem całej organizacji, od którego imienia samo sprzysiężenie wzięło nazwę. Pozdrowienia przynoszę wam bracia od tego, który tkwiąc w sercu wroga, kieruje naszymi i waszymi krokami. Pozdrowienia od *Ślepego Johna*.

Szmer był odpowiedzią na to pozdrowienie. Gdy uciszył się, zamaskowany mężczyzna mówił dalej:

--- Ślepy John przesyła wam pozdrowienia i dziękuje za walkę bohaterską dla naszej sprawy. Dla sprawy wielkich zwycięstw Niemiec i bratniej dalekiej Japonii.

--- Brat najwyższy, *Ślepym Johnem* zwany, śle wam słowa otuchy. Musimy pomnażać strach i zgrozę, jaka padła na Stany Zjednoczone. Musimy dalej prowadzić nasze dzieło ofiarnie i bez wahań. Na morzach i oceanach ze zmiennym szczęściem toczy się dotąd wojna. Ale w dalekich Niemczech, we Friedrichshafen, nad Bodeńskim jeziorem, czuwa niemiecki geniusz. Budują się olbrzymie powietrzne, superzeppelin, które, niedługo przelecą ocean, by na Kanał Panamski, na porty amerykańskie, rzucić wiele ton pocisków z morderczym gazem. Czy wiecie bracia, że kilka ton nowoodkrytego gazu, zwanego *thanatoidem*, dziesięciomilionowy Nowy Jork obróci w cmentarzysko, w trupiarnię. Przyświeca nam hasło miłości naszej niemieckiej ojczyzny. Służymy jej i służyć będziemy pomni przykazania, iż Niemiec i na drugiej półkuli, i w dziesiątym nawet, emigracyjnym pokoleniu jest zawsze tylko Niemcem.

Znowu szmer zadowolenia i ciche okrzyki entuzjazmu przerwały mówcy. Odczekał chwilę, potem znów zabrał głos:

--- Aby nie wylęgli się zdrajcy w naszym gronie, ograniczyliśmy naszą liczbę do tysiąca. Jest nas tysiąc i tylko, gdy któryś z braci śmierć poniesie chlubną przy wykonaniu powierzonego mu zadania, nowego brata przyjmujemy w nasze szeregi, by liczba nasza nigdy nie malała.

Dlatego zebranie nasze w celu przyjęcia nowego brata jest zarazem zebraniem żałobnym. Pożegnaniem tego, który zginął. Po wykonaniu zamachu na gubernatora stanu Massachusetts odebrał sobie życie, by nie wpaść w ręce policji amerykańskiej, brat Śmigły. Brat Śmigły nazywał się Karol Bergstein. Powstańcie bracia, by oddać bratu Śmigłemu ostatnie pożegnanie!

Dwudziestu czterech zamaskowanych powstało w milczeniu, ze swych miejsc.

--- A teraz --- ciągnął dalej mówca, gdy bracia zajęli z powrotem swe miejsca --- trójka najwyższa przedstawia wam nowego brata-adepta. Trójka najwyższa obdarza brata tego zaufaniem i, nie krępując waszej decyzji, proponuje wam, byście go przyjęli w miejsce zmarłego brata Śmigłego i do wszystkich dopuścili tajemnic. Czy macie jakie zapytania, bracia, nim adepta powołamy przed wasze oblicza?

--- Czy trójce najwyższej wiadoma jest przeszłość brata-adepta? --- zapytał jeden z zebranych.

--- Brat, o którego przyjęciu stanowiąc macie, prześladowany był dla miłości Niemiec, a zanim przybył do Stanów Zjednoczonych nosił mundur w ojczyźnie. Brat ów jest to człowiek odważny i wiele obiecujemy sobie po nim. Czy są jeszcze jakieś pytania?

Nie odezwał się nikt, przeto przemawiający usiadł i szepnął słów parę przewodniczącemu, który dał znak gospodarzowi zebrania:

--- Wprowadzić brata-adepta.

Japończyk w milczeniu usłuchał rozkazu. Drzwi bocznego pokoju otworzyły się i na środek sali wszedł ten, który miał dopełnić liczby tysiąca sprzysiężonych. Pewnym siebie wzrokiem powiódł po zebranych. On jeden z tego całego zebrania nie był zamaskowany.

Adept zatrzymał się na trzy kroki przed stołem prezydyjnym i złożył ukłon, po czym wyprostował się i czekał.

--- Kto jesteś i czego szukasz tutaj? --- zapytał go przewodniczący świeżym, melodyjnym głosem, który bratu-adeptowi wydał się głosem kobiecym.

--- Jestem Niemcem i przyjacielem Japonii --- odparł zapytany. Przychodzę z prośbą o przyjęcie mnie w wasze szeregi.

--- Czy wiesz, kto jesteśmy?

--- Tysiącem szlachetnych, których hasłem służba ojczyźnie.

--- Czy wiesz jak się nazywamy?

--- Sprzysiężeniem ślepego Johna.

--- Czy wiesz czego żądamy?

--- Posłuszeństwa i dochowania tajemnic.

--- Na co zasługują zdrajcy tajemnic?

--- Na śmierć.

--- Jak chcesz służyć sprzysiężeniu?

--- Ze wszystkich sił swoich, krwią swą i życiem w razie potrzeby.

Brat-adept odpowiadał spokojnie donośnym głosem.

--- Znasz hasło sprzysiężenia?

--- Znam je.

--- Jak brzmi ono?

--- *Biada Ameryce.*

Przewodniczący skinął głową. Usta braci wykrzywiły się w uśmiechu zadowolenia.

Przewodniczący zwrócił się do obecnych.

--- Oto brat-adept. Przypatrzcie się mu dobrze. Przyjrzyjcie się bardzo dokładnie, bracia. Na zawsze zapamiętajcie sobie jego rysy. Gdyby zdradził sprawę i nasze tajemnice, wam przypadnie wykonać na nim wyrok śmierci. Przypatrzcie mu się dobrze, o bracia.

Adept stał spokojny i nieruchomy.

--- Pokażcie mu, co czeka nieposłusznego, co czeka zdrajcę tajemnic!

Dwudziestu czterech powstało. Z otworów masek wyglądały ich błyszczące oczy. Dwadzieścia cztery rąk sięgnęło do kieszeni i dwadzieścia cztery czarne browningi błysnęły w półświecie.

--- Policzcie kule, bracia.

Rozległ się suchy, niemiły chrzęst wyładowywanej broni. Przewodniczący powstał również. Cichym, złowieszczym głosem począł liczyć.

--- Dwadzieścia cztery niezawodne browningi, w każdym browningu siedem niezawodnych kul. Razem kul sto sześćdziesiąt i osiem.

--- Bracie-adepcie te kule przeszyją cię, gdy dopuścisz się zdrady!

--- Niemiec nie zdradza swej ojczyzny, a ja jestem Niemcem! --- odparł adept śmiało, mimo że nie było w zwyczaju odpowiadać na to ostrzeżenie.

Przychylny szmer był odpowiedzią na te słowa.

--- Usiądźcie i schowajcie rewolwery, bracia! --- ozwał się znów melodyjny głos przewodniczącego. --- Poddaję pod głosowanie, czy brat-adept, przedstawiony wam tutaj, ma wejść w szeregi przysiężonych? Za przyjęciem gałka biała, przeciw przyjęciu czarna.

Na stole prezydiatnym ukazała się urna. Japończyk, cichy i szczupły, rozdał braciom po dwie gałki do losowania. Jedną z nich wrzucić mieli do urny, drugą oddać przewodniczącemu.

Rozpoczęło się głosowanie, którym bynajmniej niezamieszany adept ciekawie rozglądał się po sali.

--- Dwudziestu czterech braci głosowało! --- ogłosił przewodniczący wynik. --- Brat-adept zostaje przyjęty.

Przewodniczący zdjął maskę z twarzy, i mimo, iż włosy były przyczesane po męsku adept poznał natychmiast, iż przypuszczenia jego były prawdziwe.

Funkcje przewodniczącego pełniła kobieta!

Nie było jednak czasu na zdumienie. Kobieta-przewodniczący znów głos zabrała.

--- Bracie adepcie! --- ozwała się. --- Wobec wyniku głosowania zapytuję cię, jakie chcesz przybrać imię?

--- Nazywajcie mnie bratem Błyskawicą.

--- A więc przypatrz się bracie Błyskawico, bowiem pierwszy i ostatni raz widzisz twarz mą bez maski. Jestem wysłanniczką *Ślepego Johna* i w imieniu jego wzywam cię do złożenia przysięgi. Czyś gotów?

--- Jestem gotów.

--- A więc podaj mi rękę i powtarzaj!

Adept jął powtarzać pewnym głosem:

--- Na śmierć moją przyrzekam, iż w związku, do którego wstępuję, posłusznym będę bratem. Tajemnic organizacji nie zdradzę. Na każde jej wezwanie rzucę zajęcie i rodzinę, i wszystko, co mam najdroższego, by spełnić rozkaz wydany. Nie cofnę się nigdy przed spełnieniem jakiegokolwiek czynu dla dobra i zwycięstwa sprzymierzonych. Nie ulęknię się trucizny ni sztyletu, ni kul wroga, nie ulęknię się niesławnej śmierci na szubienicy lub na elektrycznym krześle...

Po złożeniu tego przyrzeczenia przewodniczący wręczył bratu maskę i nowy browning na znak przyjęcia w poczet przysiężonych. Następnie bracia otoczyli nowoprzyjętego, prowadząc z nim cichą pogawędkę, wymieniając uścisk rąk.

--- A teraz, bracia --- ozwał się znów ten --- który przemawiał na początku zebrania --- rozejdźcie się w pokoju i bądźcie gotowi. Późno już i niezadługo świtać pocznie.

--- Biada Ameryce, bracia!

--- Biada Ameryce!

Prezydujący pierwsi opuścili dom. Po nich po dwóch, trzech, co czas jakiś, wymykać się poczęli bracia.

Wychodząc już, brat Błyskawica zwrócił się do jednego ze sprzysiężonych.

--- Objasnijcie mnie łaskawie! Czy się nie mylę, mniemając, że zebraniu dzisiejszemu przewodniczyła kobieta.

--- Tak, to była kobieta. Jedyna kobieta w naszej organizacji.

--- Czy mogę wiedzieć, jakim nazywacie ją mianem?

Zapytany zniżył głos:

--- Nocy dzisiejszej --- rzekł --- przewodniczyła nam *Miss o szkarłatnym spojrzeniu*.

ROZDZIAŁ XVIII

Otocki okazał się dla Mac Grady'ego bardzo pożytecznym współpracownikiem. Z raportów, które, w sposób niezmiernie sprytny, dostarczał Mac Grady'emu, nie ulegało już dla detektywa żadnej wątpliwości, iż Kellerman pozostaje w jakimś stosunku z szajką terrorystów. Już samo polecenie Otockiemu śledzenia Mac Grady'ego, polecenie, które niezmiernie ubawiło detektywa, było poważnym dowodem przeciw Kellermanowi. Grady'emu pozostawały dwie drogi działania. Albo natychmiast aresztować Kellermana na podstawie tego, co dotąd wiedział, albo czekać i starać się zebrać niezbite dowody winy nie tylko Kellermana, ale i tych, dla których, lub z którymi, Kellerman pracował.

Mac Grady bez wahania wybrał tę drugą drogę i dlatego na konferencji u prezydenta nie wyjawiał nazwiska Kellermana, a miał je na myśli, mówiąc o nazwisku, które by wzbudziło zdziwienie. Kellerman, według planów detektywa, miał zachować nadal zupełną swobodę ruchów. O tę swobodę ruchów Grady'emu chodziło.

Detektyw zdawał sobie sprawę, że podzielenie się podejrzeniami, co do Kellermana z policją amerykańską niewątpliwie spowodowałoby natychmiastowe aresztowanie bankiera, czego Grady nie chciał. Gdyby Kellerman został aresztowany, szajka niewątpliwie zakonspirowałaby się jeszcze lepiej. Kellerman albo nic by nie powiedział, albo by został otruty przez swych współpracowników, jak się to już zdarzyło z człowiekiem, aresztowanym na miejscu katastrofy pociągu nr 178 pod Sacramento. Detektyw wobec tego postanowił zwolna brać w swe sieci całą organizację i w sposobnej chwili walnie rozprawić się z terrorystami.

Tymczasem jednak sposobność taka nie nadchodziła. Mac Grady wiedział już dość dużo, nie tak wiele jednak, by móc coś stanowczego przedsięwziąć. Brakowało wielu ogniw w łańcuchu podejrzeń i hipotez -- przyszłość dopiero miała dostarczyć nowych ogniw do zamknięcia łańcucha. Przy tym Mac Grady'ego peszył fakt, dla niego bardzo dziwny, iż władze amerykańskie, początkowo po prostu czolobitne wobec niego i uważające go za zbawcę, ostatnio zmieniły wobec niego postępowanie, stały się powściągliwe, rzec by nawet można -- niechętne wobec poczynań detektywa.

Mac Grady nie wiedział oczywiście o strasznym oskarżeniu, jakie przeciw niemu sformułował generał Reutt. Przypisywał on zupełnie czemu innemu tę zmianę frontu władz amerykańskich. Przenieśli mnie --- mówił do siebie --- przenieśli, sądząc, że z miejsca oddam im w ręce całą bandę. Swoją drogą, jeżeli szybko nie rozwiążę tej sprawy, mój prestiż będzie pogrzebany.

Tymczasem działanie szajki bynajmniej nie malało. Przeciwnie, terroryści rozzuchwalali się coraz bardziej. Mac Grady'emu dzięki pomocy Otockiego udało się odeprzeć niejednego przygotowany zamach, w każdym jednak wypadku sprawcy albo wymykali się policji, albo w momencie aresztowania palili sobie w łeb, ginąc dla swej sprawy z tym samym fanatyzmem, z jakim żyli i działali.

Stało się jednak, iż Otockie nagle umilkł i dni parę nie dawał znaku życia. Mac Grady spacerował po puszystych dywanach wspaniałego apartamentu hotelowego tam i z powrotem przez całe godziny, trąc od czasu do czasu siwiejące już skronie i miotając się w poczuciu swej bezsily.

Gdy zdenerwowanie Grady'ego doszło do najwyższego stopnia i gdy miał już zamiar rzucić całą robotę i wyjechać do Kanady, Otockie dał znów znak życia. Relacja agenta brzmiała krótko:

Przygotowywany zamach na biuro pocztowe przy Sixth Avenue. Szczegółów nie znam.

Mac Grady po otrzymaniu tej wiadomości zmienił się natychmiast, jakby w nowego przemienił się człowieka. Zdenerwowanie i zniechęcenie znikło bez śladu. Grady był dawnym *Żelaznym Makiem* -- jak go nazywano w londyńskim Scotland Yardzie, zimnym, opanowanym, skupionym jak pies gończy najwyższej rasy, który wpadł na trop zwierzyny i wierzy, że mu nie ucieknie. Mac Grady natychmiast po otrzymaniu wiadomości od Otockiego porozumiał się z policją. Komisariat, w którego obrębie znajdował się zagrożony urząd pocztowy, został wyznaczony do współdziałania z Mac Gradyem.

W pół godziny po wydaniu zarządzeń do ruchliwego urzędu pocztowego przy Sixth Avenue weszło kilku panów, z których jeden usiadł w kącie w głównej sali i pogrążył się w czytaniu gazety, dwaj inni, oparci niedbale o drzwi, gwarzyli o tym i owym, opowiadając sobie kapitalne dowcipy, które nie przeszkadzały im jednak baczną uwagę zwracać na wszystko, co się wokół nich działo. Na schodkach wiodących od ulicy do urzędu pocztowego, usiadł jakiś ubogo ubrany człowiek i wstydząc się widocznie żebrać, błagalnym jedynie wzrokiem ścigał przechodniów i interesantów urzędu.

Wreszcie w pobliżu urzędu pocztowego jakiś elegancki młodzieniec spacerował nerwowym krokiem, raz po raz patrząc na umieszczony na przegubie ręki zegarek. Zupełnie tak, jak to czynią młodzi ludzie, czekając na spotkanie z kobietą, która, zgodnie ze swą naturą, nie potrafi być punktualna.

Wszyscy owi panowie, nie wyłączając owego ubogiego, byli najlepszymi agentami policyjnego okręgu Sixth Avenue.

By nie wywoływać paniki i zdenerwowania urzędnicy poczty nie zostali jeszcze powiadomieni o grożącym urzędowi niebezpieczeństwie. Praca odbywała się normalnie. Pod wieczór, gdy ruch w urzędzie osłabł, przybył do biur poczty komisarz Dan Mitchel, a wkrótce po nim Mac Grady.

Mitchel był młodym jeszcze, bardzo pogodnym człowiekiem. Z zapalem uścisnął rękę Mac Grady'ego.

--- Chciałbym by spróbowali, mister Grady. Damy im dziś łupnia.

Detektyw spojrział na niego z uśmiechem:

--- To są sprytniejsze diabły, niż się panu zdaje --- odpowiedział. Działają zawsze w momencie najbardziej nieoczekiwanym, w zgoła nieoczekiwany sposób.

--- Jestem mimo to pełen dobrej myśli.

--- O, tej nigdy nie należy się wyzybywać;

--- Skonsygnuję wokół urzędu cały sztab agentów. Używam oczywiście niemundurowych. To by się zbyt rzucało w oczy. Mimo to wzmocniłem i posterunki mundurowe. Co myśli pan robić, mister Grady?

--- Co myślę? Myślę, że zostanę z panem.

--- Jak to? Chciałby pan czuwać wraz ze mną?

--- Naturalnie. Nie lubię być poza frontem, gdy inni narażają swe życie.

Komisarz skłonił się kurtuazyjnie:

--- Wobec tego niech pan pozwoli, że oddam panu kierownictwo akcją.

--- Ależ broń Boże. To ja poddaję się w zupełności pana rozkazom.

Grady i Mitchel przeszli do pustego pokoju biurowego, gdzie siedziało już kilku agentów. Przedtem jeszcze Mitchel objaśnił urzędników, mających nocny dyżur w oddziałach, by mieli się

na baczności i byli na wszystko przygotowani.

Zapadła noc, a z nią wilgotna mgła zaczęła się rozsnuwać po mieście. Nie była ona wprawdzie gęsta, niemniej ogromnie zmniejszała pole widzenia. Latarnie i lampy na Sixth Avenue płonęły żółtym blaskiem przesłonięte jej welonem.

Dan Mitchel odpiął zegarek z ręki i położył go na stole.

--- Diabelna pogoda --- zawyrokował, wyglądając oknem. --- Rano deszcz, teraz mgła. Wymarzona pogoda dla wszystkich przestępców.

Jeden z agentów ziewnął:

--- Czeka nas męcząca noc.

--- Będziemy czuwać na zmianę --- rzekł drugi.

--- Co do mnie, nie zmrużę oka --- zwrócił się komisarz do Grady'ego. --- Gdy mam powierzone sobie jakieś ważne zadanie, nie mogę zasnąć z emocji.

Mac Grady uśmiechnął się w odpowiedzi.

--- Podła pogoda --- mruknął stojący przy oknie agent o ogromnej tuszy, zwany w urzędzie policyjnym *Prosiakiem*. --- Pamiętasz, Dark, taka pogoda była, gdy na Ellis Island ujęliśmy przed trzema laty Toma Crowdera.

Tom Crowder był to głośny amerykański Landru⁽¹⁾, który, schwytany przez *Prosiaka* i Darka, zasiadł na krześle elektrycznym.

--- Co nie mam pamiętać --- odparł z prostacka ten, który nosił nazwisko Dark. --- Crowder wpakował mi wówczas kulę w ramię i odtąd przypominam go sobie przy każdej zmianie pogody.

Przez czas jeszcze jakiś toczyła się rozmowa. Agenci wspominali obławy i prace, w których brali udział, następnie ktoś opowiedział parę anegdotek.

Noc już zapadła zupełna i w urzędzie pocztowym panował mały ruch. Odbywano jeszcze rozmowy telefoniczne, szczególnie międzymiastowe, spóźnieni interesanci nadawali telegramy.

Rozmowy dyżurujących wkrótce umilkły. Mac Grady wyjął zegarek i położył przed sobą na stole. Milcząco śledził bieg jego wskazówek. Uliczną ciszę przerywał coraz radszy hałas samochodowych sygnałów.

Dochodziła północ. Napięcie nerwowe agentów wzrastało. Męka oczekiwania nieznanego stawała się coraz większa. Lampy elektryczne paliły się u sufitu monotonnym światłem. Zgroza wypęzła z ciemnych kątów pokoju i osiadła na czołach tych odważnych ludzi.

--- Dark --- przerwał milczenie jeden z agentów --- opowiedz jaki kawał, u diabła. Co za nieznośna cisza.

Zagadnięty odmówił:

--- Daj mi spokój. Straciłem ochotę do kawałów. Mam przeczucie, że spotka mnie dziś coś złego.

--- Przeczucie? Zostaw przeczucie, Dark --- ozwał się Mitchel. --- Przeczucia są przywilejem kobiet.

Dark otrząsnął się:

--- Nie wiem co mi jest. Zdaje mi się jakby wokół mnie śmierć krążyła. Czy nie czujecie wokół siebie jej tchnienia?

Agenci wzdrygnęli się. Mac Grady podniósł karcący wzrok na mówiącego:

---- Niech pan da spokój i będzie mężczyzną. Nie trzeba udzielać innym swego ponurego nastroju.

--- Musiał pan wczoraj wypić za dużo wódki, Dark --- zaśmiał się Mitchel.

O godzinie dwunastej w nocy komisarz zluzował czuwających na ulicy agentów, obsadzając ich posterunki tymi, którzy dotąd dyżurowali w budynku pocztowym. Jedynie agent

Dark pozostał z Grady i Mitchelem. Agenci ściągnięci z Sixth Avenue położyli się w pokoju, gdzie który mógł, i zasnęli natychmiast.

Mac Grady zmęczony nudą czuwania zdrzemnął się również. Obudziło go silne trącenie w ramię.

Przed nim stał Dan Mitchel, zegarek wskazywał godzinę trzecią rano.

--- Co się stało?

--- Nie wiem! Auto jakieś zatrzymało się przed urzędem.

Mac Grady oprzytomniał natychmiast i, gdy Mitchel budził agentów, zapytał:

--- Czy między dwunastą a trzecią byli jacyś interesanci?

--- Żywej duszy nie było. Zgodnie ze zwyczajem, bramę wiodącą do urzędu zamknięto o godzinie dwunastej w nocy. Teraz interesanci muszą dzwonić.

Ledwie wymówił te słowa, ostry metaliczny głos dzwonnika rozległ się w biurze urzędu.

--- Ciekawym, czy to ktoś od *Ślepego Johna* --- wyszeptał Mitchel.

Mac Grady i Mitchel wyszli do hallu biurowego, gdzie z okienek wyglądały zemocjonowane twarze dwu urzędników pocztowych pełniących służbę do rana. Jeden z nich przyjmował listy ekspresowe, załatwiał telegramy i połączenia telefoniczne, drugi, młodszy, był łącznikiem niejako między urzędem nadawczym a mieszczącą się w głębi domu ekspedycją i sortownią.

Woźny otworzył drzwi wiodące do urzędu. Oczy wszystkich skierowały się na niego.

Wszedł młody człowiek z nasuniętym na czoło kapeluszem, w ciepłym jesiennym płaszczu. Szyję zasłoniętą miał szalikiem, w ręku niósł jakąś niewielką paczkę. Spod kapelusza patrzyły bystro oczy.

--- Niech pan zostanie tu --- szepnął do Mitchela Grady --- ja wyjdę zobaczyć, co się dzieje na ulicy.

Gdy wyszedł przed urząd pocztowy, jeden z agentów wyłonił się z mgły i podszedł do Grady'ego.

--- To nie prywatne auto, lecz taksówka, sir --- objaśnił detektywa --- zanotowałem numer NY 90-845.

W urzędzie pocztowym tymczasem nieznajomy nadał telegram, po czym udał się do budki telefonicznej.

Po chwili wyszedł z niej zniechęcony.

--- Chciałem się połączyć z East Side --- rzekł do urzędnika. --- Linia zajęta, nie czekam więc, bo mi się śpieszy. --- Skinął urzędnikowi głową i skierował się ku wyjściu. Dan Mitchel szedł za nim aż do bramy, uspokojony, że ma do czynienia ze zwykłym interesantem.

Samochód, ledwie wsiadł doń nieznajomy, ruszył całym pędem i zginął w mgle, dążąc w kierunku Broadwayu.

Gdy auto ruszyło, Mac Grady wbiegł do bramy tak gwałtownie, że zderzył się z Mitchelem.

--- Co się stało? --- zawołał komisarz, odzyskując równowagę.

--- Paczka! --- krzyknął Mac Grady. --- Nieznajomy zostawił w urzędzie paczkę, z którą tu przyszedł! Prędko! Prędko...

Mac Grady nie dokończył. Silna detonacja wstrząsnęła gmachem.

Gruz sypać się począł z sufitu, po czym z biur urzędu dobywać się zaczęły kłęby dymu. Detektyw i Mitchel, rzuceni prądem gorącego powietrza o ścianę, zerwali się natychmiast. Biura pocztowe przedstawiały zupełną ruinę. Budka telefoniczna rozerwana była w strzępy poważną siłą wybuchu. Obok niej leżał martwy, okrwawiony Dark, którego nie omyliły przecucia.

Ponieważ wybuch zniszczył instalację elektryczną, Grady i Mitchel rozświetlali

ciemności latarkami. Skutki wybuchu nie okazały się na szczęście dla ludzi fatalne. Poza Darkiem, który śmierć poniósł na miejscu, agenci byli wszyscy ciężiej lub lżej ranni, żadnemu z nich jednak śmierć nie zagrażała. Obaj urzędnicy wyszli bez szwanku poza małymi potłuczeniami. Za to w suficie hallu, gdzie nastąpił wybuch, była wyrwana wielka dziura.

Mac Grady i Mitchel stwierdzili szybko, iż nieznamy maszynę piekielną, którą w postaci niewielkiej paczki miał przy sobie, zostawił wewnątrz buciki telefonicznej, z której nie pozostało prawie śladu.

Mitchel klął na czym świat stoi:

--- Czemuż nie aresztowałem tego łotra --- biadał --- i pozwoliłem mu ulotnić się bezkarnie.

--- Znamy numer taksówki --- zauważył jeden z agentów.

Mac Grady potrząsnął w milczeniu głową, nie wierzył, by tą drogą można było dojść do czegoś.

Okazało się, że się nie mylił. W godzinach rannych odnaleziono szofera taksówki. Bez żadnego wahania zeznał on, iż z nieznanym mu pasażerem był w nocy ubiegłej pod urzędem pocztowym na Sixth Avenue.

--- Gdzie udał się pan z owym pasażerem po opuszczeniu przez niego urzędu pocztowego? --- zapytał Mitchel.

--- Na Riverside.

--- Na Riverside? O, to daleko.

--- Tak --- odparł szofer taksówki --- zarobiłem dobrze wczorajszej nocy.

--- I na Riverside pasażer ów wysiadł? --- pytał dalej komisarz, nie zważając na uwagę szofera.

--- Tak, wysiadł przed jedną z will.

--- Czy wie pan może do kogo należy owa willa?

--- Owszem wiem. Do generała Reutta.

Mac Grady i Mitchel po odebraniu tego zeznania przez czas długi spoglądali na siebie w milczeniu.

W parę godzin później stwierdzono, iż adresat, do którego zamachowiec wysłał był depezę, nie istniał w ogóle w Milwaukee.

⁽¹⁾ Henri Landru (1869-1922) -- francuski seryjny morderca. W ciągu czterech lat zamordował co najmniej 11 osób.

ROZDZIAŁ XIX

--- Mówisz więc, że pan jakiś przyszedł i chce się widzieć ze mną?

--- Tak, panienko.

--- Czy był już u nas kiedy?

--- Nie widziałem go dotąd nigdy.

--- To dobrze, poproś go do niebieskiego saloniku.

Miss Zuzanna poprawiała włosy przy lustrze i z żalem spojrzała na książkę, której czytanie jej przerwano.

Gdy jednak przeszła do niebieskiego saloniku i zobaczyła gościa, który podniósł się z fotela na jej widok, wydała głośny okrzyk przestachu.

--- Rudolf, ty tutaj? Co za szaleństwo!

Porucznik Rudolf von Hartrott ukazał w szerokim uśmiechu białe, zdrowe zęby.

--- Jak widzisz, dotarłem tu zdrów i cały.

--- Ale po co? Na Boga, w biały dzień spacerujesz po

Nowym Jorku w czasie, gdy policja amerykańska tropi nas na wszelkie sposoby.

--- Właśnie w biały dzień. Od trzech miesięcy albo siedzę całymi dniami w tym lochu za kasą Kellermana, albo widuję miasto późną nocą. Już mi się to znudziło!

--- Ale pomyśl, co by się stało, gdyby cię odkryli i aresztowali u nas w domu. Pomyśl, że to by zgubiło całą sprawę.

--- Nie ma obawy! Nigdy nie myślałem, że policja amerykańska jest tak ślepa! Zresztą powiem ci szczerze, przyszedłem tu, bo stęskniłem się za tobą, bo drżałem z niepokoju, jak poszło ci wczoraj.

Po twarzy blondynki przebiegł uśmiech.

--- Poszło zupełnie dobrze. Czyż Kellerman nie doniósł ci nic dziś rano?

--- Doniósł, ale nie znał szczegółów.

Hartrott objął ramieniem dziewczynę.

--- Droga moja, czemu ty się tak narażasz?

Miss Zuzanna wysunęła się lekko z jego objęć.

--- Czyż nie narażamy się wszyscy? Czy mój ojciec się nie naraża? Nie uwierzysz, jak silne przeżywam wtedy emocje.

Na ruchliwej twarzy Hartrotta osiadła zaduma:

--- Jakże bym chciał, by się to skończyło raz wreszcie! Zabrałbym cię, droga Zuzanno, z tego amerykańskiego piekła, gdzie życie nasze jest nieustannie zagrożone, i uniósł daleko, za ocean, do mego rodzinnego Hamburga, gdzie nie groziłoby ci żadne niebezpieczeństwo.

Usiłował ją pocałować, lecz odwróciła głowę. Spochmurniał.

--- Co ci jest, dziecko? Od jakiegoś czasu tak dziwnie się wobec mnie zachowujesz. Czyż nie wiesz, że kocham cię nad życie. Pamiętasz ten, niezapomniany dla mnie, bal w ambasadzie niemieckiej, ów bal, na którym widziałem cię po raz pierwszy, na którym cię poznałem, na którym tańczyliśmy z sobą po raz pierwszy. Co ci jest, Zuzanno? Czemu tak niechętna mi teraz jesteś?

Miss Zuzanna odwróciła powoli głowę i zwróciła swe niebieskie oczy na mówiącego. Następnie wstała i milcząco przeszła się po saloniku. Rudolf von Hartrott nie spuszczał z niej oka.

--- Rudolfie --- ozwała się wreszcie z wahaniem --- nie mogę być wobec ciebie nieszczera.

--- Czyż byłaś dotąd nieszczerą wobec mnie? --- zapytał żywo.

Pokręciła przecząco głową.

--- Nie! I właśnie dlatego, Rudolfie, nie chcę być nią teraz. Chciałam ci powiedzieć, byś... nie liczył na mnie... bowiem ja cię... nie Kocham.

Von Hartrott zbladł i powstał z otomány:

--- Nie Kochasz mnie? I to teraz, dopiero teraz mi to mówisz? O zaprawdę, czemuś nie powiedziała mi tego wcześniej?

--- Wiem, że ów błąd popełniłam. Wiem, że czyniłam rzeczy, które mogły dać ci do myślenia, iż łączy nas coś więcej nad przyjaźń. Ale... ty zrozumiesz mnie chyba... ja nie miałam odwagi powiedzieć ci tego. Zwlekałam może z tym zbyt długo!...

Rudolf von Hartrott stał na środku saloniku bladej, z groźnie ściągniętymi brwiami. Górna warga drgać mu poczęła i unosić się jak u młodego, szczerzącego kły, wilka.

--- Już wiem, Zuzanno, tobie się tylko zdawało, że mnie Kochasz! Zdawało ci się, prawda? Wam wszystkim tylko się zdaje, że Kochacie. Wam wszystkim zdaje się, że wolno wam się bawić z naszymi uczuciami. Czy sądzisz, Zuzanno, że patriotyzm, miłość ojczyzny jedynie skłoniła mnie, porucznika armii niemieckiej, do pozostania we wrogim kraju, do prowadzenia tu w Ameryce roboty, której powstydziliby się niejeden może zbrodniarz?... Zapewne, jestem dobrym Niemcem i uważam, że każda służba dla Niemiec jest dobra. Ale ja nie tylko dlatego tu zostałem! Rozumiesz, nie tylko dlatego! Zostałem tu przede wszystkim dla ciebie! Zostałem tu, by być przy tobie, wiedziałem bowiem, że jeżeli *Sprzysiężenie Ślepego Johna* powstanie, ty również weźmiesz w nim udział. Chciałem walczyć przy tobie, narażać się wraz z tobą. I oto moja nagroda!

Podszedł do niej blisko i nachylił nad nią swą groźną, wściekłą twarz. Gniew, rozpacz i zawód zniekształciły piękne rysy porucznika von Hartrotta. Ujął ją silnie za ręce i jął nie mówić, ale syczeć przytłumionym głosem: --- Słuchaj Zuzanno! Wiem i widzę odkąd datuje się twa coraz większa wobec mnie obojętność. Zauważyłem ją od czasu, gdy dokonałaś swego zadania na *Olympicu*. Zuzanno, ty Kochasz innego!

Wyrwała mu ręce i spojrzała na niego zimno:

--- Kocham innego? A gdyby nawet tak było, cóż widzisz w tym złego? Czyż mi nie wolno?

--- Tak, Kochasz innego! Wiem kogo! Tego przeklętego detektywa! Tego Logana z *Olympica*, który okazał się Mac Grady!

--- Nie mylisz się! Kocham Mac Grady'ego, Rudolfie!

Von Hartrott potarł ręką czoło, jak człowiek, który przeżywa sen jakiś koszmarny.

--- Więc nie myliłem się! --- zawołał --- Kochasz Mac Grady'ego, człowieka, który wysłał całą swą inteligencję, by mnie, ciebie i tylu, tylu innych zaprowadzić na elektryczne krzesło!

--- Tak, Kocham go, Rudolfie!

--- Tym gorzej dla niego! --- odrzekł z zawziętością. --- Tym gorzej dla tego twego Grady'ego.

Zaledwie wyrzekł te słowa stanęła tuż przed nim z wypiekami na pięknej twarzy, z oczyma pełnymi błyskawic: --- Co chcesz powiedzieć przez to?

--- Chcę powiedzieć, *miss o szkarłatnym spojrzeniu* --- odparł urągliwie --- iż Mac Grady zginie.

--- Mówisz, że zginie! A ja ręczę, że Mac Grady żyć będzie tak długo, dopóki ja zechcę.

--- Kochasz go! Dla niego mną pogardziłaś; jest naszym wrogiem! To chyba wystarczy by zginął!...

Ta, którą von Hartrott obdarzył mianem *miss o szkarłatnym spojrzeniu*, opanowała się w

zupełności, zimny, nieludzki uśmiech osiadł na jej wargach., --- Mac Grady będzie żył! --- odrzekła lodowato. --- Posłuchaj Rudolfie von Hartrott, co mówię ja -- szkarłatna miss! Uważam się za Niemkę i robiłam dotąd wszystko, co było trzeba, a nawet więcej. Wiesz o tym, jakie zasługi poniosłam wraz z ojcem dla dobra naszej sprawy. Nie będę ci tego przypominać. Ale pamiętaj, że gdy włos z głowy spadnie człowiekowi, którego kocham, pierwszemu napotkanemu policjantowi czy detektywowi powiem wszystko, co wiem. I o tobie, i Kellermanie, i o Hayakawie, i o ojcu nawet moim. Powiem, choćby i mnie spotkać miała kara śmierci!

--- Zuzanno!!

--- Czy to cię dziwi, Rudolfie! Pamiętaj, że kobieta, która kocha, zdolna jest do wszystkiego, gdy zagraża coś życiu jej wybranego. Czy wierzysz, że dotrzymam obietnicy?

Von Hartrott skinął głową. Zbyt dobrze znał *miss o szkarłatnym spojrzeniu*, by wątpić w to, co mówiła.

--- Zapominasz, Zuzanno --- rzekł spokojniej --- iż jesteśmy organizacją posiadającą własne surowe prawa! Wiesz dobrze, co czeka zdrajców! Pomyśl o zadaniu, które spełnić mamy, o zadaniu, w które włożyliśmy już tyle bezmiernego trudu.

--- Nie zapominam o nim nigdy! Możesz mnie kochać lub nie! To mnie nie obchodzi. Ale nich więcej nie słyszę o twojej miłości.

--- Jesteś nielitościwa, Zuzanno!

--- Jestem tylko szczerą.

--- Posłuchaj mnie, Zuzanno. Mac Grady staje się dla nas coraz bardziej niebezpieczny. Niedługo może będziemy musieli powziąć uchwałę usunięcia go. Nie będziesz już wtedy mogła odwrócić od niego przeznaczenia. Czyż i wtedy spełnisz to, o czym mi mówiłaś!

--- I wtedy również!

--- Szalona kobieto! Więc dla twego kaprysu cała organizacja ma zostać wykryta. O! Znajdziemy wtedy i na ciebie radę!

--- Milcz, Rudolfie!

--- Nie będę milczał! Teraz na mnie przyszła kolej, bym mówił. Nie po to narażam się w każdej chwili i sekundzie, by miał mnie zgubić twój kaprys! Tu nie chodzi ani o mnie, ani o ciebie, ale o zwycięstwo Niemiec i Japonii. Są bracia wierni nam bezgranicznie. Gdyby *Ślepy John* zdradził i jego dosięgnie kara!

--- Grozisz nam?

--- Czynień to, co ty czyniłaś przed chwilą! --- Von Hartrott oblekał swą twarz w maskę, obojętności: --- Będziemy odtąd mówić tylko o sprawach związanych ze spiskiem. Jeżeli chcesz jednak, by Grady żył, poproś go, by rzucił tę sprawę, na której może zarobić jedynie kulę w pierś! Na najbliższym zebraniu postawię wniosek, by go unieszkodliwić! Kellerman nie przerazi się twoich gróźb. Good bye!

Porucznik skłonił się i wyszedł.

Miss o szkarłatnym spojrzeniu patrzyła przez chwilę za nim, po czym podeszła do otomany i rzuciła się na nią. Ukryła twarz w ramionach, które poczęły drgać tłumionym łkaniem. Gdy, uspokoiwszy się, wstała z otomany, na twarzy jej malowała się stanowczość powziętej decyzji.

ROZDZIAŁ XX

Sekretarz stanu mister Wilbury otrzymał wyrok śmierci. Banda terrorystów komunikowała w nim krótko, iż wobec odmowy rezygnacji z zajmowanego stanowiska, widzi się zmuszona usunąć go ze swej drogi. Odtąd śmierć może czekać na mister Wilbury'ego wszędzie, w biurze sekretariatu, na rogach ulic, w samochodzie, w domu...

Wilbury odesłał list pułkownikowi Rangoonowi, po czym polecił natychmiast zawezwać Mac Grady'ego. Oskarżenie generała Reutta, który w tak fatalnym przedstawiał Grady'ego świetle, nie przekonało ministra. Jowialny mister Wilbury czuł dziwną, a nie zrozumiałą dla siebie samego, sympatię do tego zrównoważonego, eleganckiego Anglika.

--- Generał Reutt w każdym widzi zamachowca! --- oświadczył swemu sekretarzowi. --- Mac Grady śmiałyby się na pewno, gdyby się dowiedział co o nim *Cyklop* mówi.

Generał Reutt dla ślepoty jednego oka nazywany był w kołach wojskowych *Cyklopem*. Nazwę tą nadali mu żołnierze, gdy był jeszcze kapitanem, po pojedynku, w którym stracił oko.

Natychmiast po otrzymaniu przekazanego mu listu z wyrokiem śmierci, wydział bezpieczeństwa poczynił wszelkie kroki, by zapewnić bezpieczeństwo ministrowi wojny.

Wokół gmachu sekretariatu dla spraw wojny zaciągnięto gęste warty wojskowe.

Każdy wchodzący do gmachu był legitymowany, a w razie najmniejszego podejrzenia poddawany rewizji. Jednocześnie, rozkazem sekretarza do spraw wewnętrznych, na terenie całego państwa wprowadzono podsłuch rozmów telefonicznych, z wyjątkiem rozmów prowadzonych przez instytucje rządowe. Drugie rozporządzenie O'Connella znosiło tajemnicę listową. Wszystkie listy i przesyłki pocztowe miały być odtąd otwierane i poddawane cenzurze.

W godzinach południowych ukazało się na murach Washingtonu rozporządzenie prezydenta Smitha, wprowadzające w całym dystrykcie Columbii stan wyjątkowy. Obywatelom cywilnym cofnięte zostało mocą tego rozporządzenia prawo noszenia przy sobie broni palnej. Aresztowani za noszenie broni palnej podpadali pod kompetencję sądów wojskowych.

Otoczono też baczną opieką willę, którą zamieszkiwał mister Wilbury.

Wojskowe auta pancerne i motocykle, opancerzone ochronnymi tarczami, przejeżdżały, patrolując, ulicami stolicy Stanów.

Spokojny zazwyczaj Washington w ciągu paru godzin zmienił się w twierdzę wojenną.

Grupy ludzi snuły się po ulicach i cicho dzieliły się swymi wrażeniami.

Urzednicy ministerialni snuli się po gmachu ministerstwa jak bojaźliwe cienie. Nerwy wszystkich znajdowały się w stanie najwyższego napięcia. I nic dziwnego! Oto szajka wrogów Ameryki, sabotażystów i terrorystów, rozzuchwalona becsiłą policji i bezkarnością poprzednich zbrodni -- ważyła się na rzecz niesłychaną -- na zapowiedzenie zamachu na ministra wojny.

Wiedzano dobrze, co to znaczy. Wiedzano i zdawano sobie z tego sprawę, iż niewidzialne sępy genialnie zawsze wybierały moment ataku, znakomicie opracowywały, aż do najdrobniejszych szczegółów, plan swej akcji i spadały na ofiarę chyże, niespodziewane, a zawsze dotąd zwycięskie.

Jedynym człowiekiem, który nie tracił swego pogodnego humoru i zwykłego mu spokoju, był sam Wilbury.

Ów mały, otyły pan, o inteligentnej, dobrotliwej twarzy odznaczał się odwagą, energią i zimną krwią, o jaką na pierwszy rzut oka trudno go było posądzić. Gdy Wilbury uparł się w jakiejś sprawie, wiedzano, że nie ma na to rady. --- *Zawziął się* --- mówili o nim wtedy urzednicy i przyjaciele polityczni ministra i wszyscy wiedzieli, iż Wilbury wolałby raczej rzec się swego wysokiego stanowiska, na którym od lat przebywał, niż zmienić raz powziętą decyzję.

Tak było i tym razem.

Wilbury pracował w swym ministerialnym gabinecie, jak gdyby nigdy nic. Nie tracąc ani na chwilę spokoju, wydawał polecenia, odbierał raporty, załatwiał akta nadsyłane mu przez poszczególne biura. Lekki uśmiech ani na chwilę nie schodził z jego twarzy.

A przecież wydała na niego wyrok śmierci nieznaną, potężną organizacją, która kpiła sobie z rządu, armii i policji Stanów Zjednoczonych.

Mac Grady otrzymał w Nowym Jorku wcześniej rano zawiadomienie o wyroku, jaki doręczono Wilbury'emu. Bezzwłocznie udał się na lotnisko, do Lakehurst, gdzie oczekiwał już na niego wojskowy samolot.

W godzinach popołudniowych Mac Grady zgłosił się do sekretariatu do spraw wojny, niedługo przed ukończeniem urzędowania.

W przedsiönku gmachu detektyw skierował się do oficera inspekcyjnego.

--- Panie kapitanie! --- rzekł, przedstawivszy się oficerowi. --- Czytałem rozporządzenie o cofnięciu pozwolenia na broń osobom cywilnym. Czynię zadość temu rozporządzeniu!

Mac Grady wyciągnął z kieszeni płaszcz browning i wręczył go oficerowi. Ów spojrział na niego zdziwiony, ale przyjął broń bez słowa.

Wilbury przyjął detektywa bez zwłoki.

--- Dziękuję, że pan przybył! Czy ma pan nadzieję, że cało wyjdziemy z tej gry?

Detektyw pokręcił głową:

--- Zrobione zostanie wszystko, co będzie w ludzkiej mocy. Stawiam me życie na kartę obok życia pańskiego! Nie odstąpię pana ani na krok.

Wilbury utkwil wzrok w Gradym.

--- Oddaję się najzupełniej rozkazom pana --- powiedział dobitnie, nie spuszczać go z oka. --- Co mam robić mister Grady?

--- Sądżę, że będzie najlepiej, jeżeli do wieczora nie opuści pan gmachu ministerstwa. Wieczorem pojedziemy do mieszkania pana i...

Mac Grady urwał na chwilę.

--- ...Szajka *Ślepego Johna* śpieszy się we wszystkim, co czyni. Mam wrażenie, że się nie myślę w mniemaniu, iż pierwsza próba zamachu zostanie podjęta dziś.

--- Dziś w nocy?

Mac Grady ruszył ramionami:

--- Gdybym znał godzinę, wiedziałbym wszystko! Niech pan nie sądzi, że *Ślepy John* poprzestanie na jednej próbie zamachu. I dlatego mam do pana prośbę!

--- Prośbę?

--- Tak! Gdy przetrwa pan szczęśliwie pierwszy zamach, dając tym dowód swej odwagi, niech pan, panie ministrze, weźmie parotygodniowy urlop i wyjedzie z Washingtonu. W tym czasie, gdy nie zajdą nieprzewidziane przeszkody, szajka będzie w mych rękach. Po co się narażać niepotrzebnie!

Wilbury przecząco poruszył głową:

--- Nie, powiedziałem już raz, że nie zrobię tego! Wchodzimy w decydujący moment wojny. Faza rozstrzygająca się zbliża. Niech pan o tym nie mówi, Mac Grady. Gdy tę noc przeżyjemy, pan pojedzie do swojej pracy, ja wrócę tutaj. Każdy z nas musi wytrwać na posterunku!

Detektyw skłonił głowę.

--- Pan będzie jeszcze zapewne pracował! Będę dyżurował w przyległym pokoju!

Mac Grady skłonił się i zwrócił ku drzwiom. W drzwiach zetknął się z pułkownikiem Rangoonem.

Stary pułkownik był niezmiernie blady i wymieniwszy uścisk dłoni z Mac Gradym, zamknął za nim starannie drzwi.

ROZDZIAŁ XXI

Pułkownik Rangoon, nie witając się z Wilburym, zapytał głosem, w którym drgało zdenerwowanie: --- A więc Mac Grady jest tutaj?

Wilbury uśmiechnął się:

--- Mac Grady przyrzekł mi swą obecność przy mnie w tych ciężkich chwilach. Anglicy dotrzymują słowa!

Rangoon podszedł do Wilbury'ego.

--- W takim razie... --- wyjąkał... --- W takim razie nie mogę brać odpowiedzialności za pana życie!

--- Dlaczego?

--- Oto -- dlaczego!

Pułkownik dobył z teczki na akta arkusz papieru i podał sekretarzowi stanu.

Był to anonim, skreślony niezgrabnym pismem, znać autor jego umyślnie zmieniał charakter pisma.

Brzmiał on:

"Ślepy John" wyznaczył Mac Grady'ego, by wykonał wyrok śmierci na Wilburym. Jeżeli nie uwierzycie w to na czas, śmierć Mr. Wilbury'ego przekona was o tym...

Wilbury położył anonim na biurku.

--- Mister Wilbury --- ozwał się pułkownik --- jeżeli wszelkie środki zostały poczynione, nie można zaniedbać tego jeszcze. Mac Grady nie może zostać przy panu! Nie może, nawet gdyby w rzeczywistości był czystszy ponad śnieg w tej całej sprawie.

--- Sądzi pan, iż czystym nie jest?

--- Nie wiem! Generał Reutt rzucił na niego ciężkie oskarżenie. A teraz, teraz ten anonim.

--- Ten anonim jest tylko anonimem. Mac Grady'ego znam jako uczciwego człowieka.

Rangoon nie ustępował:

--- Nie chcę rzucić na niego nawet cienia. Ale niech go pan odeśle, mister Wilbury.

Sekretarz stanu zamyślił się:

--- Panie pułkowniku! --- odparł. --- Czy nie przyszło też panu na myśl, że cel anonimu może być inny.

--- Inny?

--- To bardzo proste! Spiskowcy uważają, iż jedyną przeszkodą dla nich w wykonaniu na mnie zamachu jest ów angielski detektyw. Anonim ten wystosował nie przyjaciel, lecz wróg! Mac Grady jest przeszkodą, chcą tedy usunąć tę przeszkodę, wzbudzić nieufność do niego.

--- A to, co mówił generał Reutt?

--- Generał Reutt bezwiednie podziela zapatrywania autora tego anonimu! Mac Grady zresztą jest bez broni. Zameldowano mi, iż oddał swój rewolwer oficerowi dyżurnemu.

Pułkownik Rangoon uśmiechnął się: --- To nie przeszkadza, że może mieć przy sobie drugi, a tamten oddał dla uśpienia wszelkich podejrzeń.

--- Przypuszczać można wszystko. Kto chce psa uderzyć, ten kij zawsze znajdzie. Zresztą rozchodzi się tu przecież o moją osobę, a więc i ja mam tu coś do powiedzenia!

--- Bezwzględnie, mister Wilbury!

--- Otóż właśnie! Ten anonim utwierdza mnie w zaufaniu, jakie mam dla Grady'ego.

Pułkownik Rangoon rozłożył ręce na znak, że nic więcej uczynić nie może: --- Stanie się jak pan sobie życzy. Oby tak było dobrze!

Rangoon sięgnął po anonim, by go schować do swej teczki z aktami, lecz Wilbury wziął mu go z ręki: --- O nie! Niech go pan zostawi, mister Rangoon! Ten anonim będzie mi jeszcze potrzebny!

ROZDZIAŁ XXII

Mister Wilbury odłożył raporty, które studiował, i spojrzął na zegarek. Dochodziła ósma wieczór.

Przed nim na biurku, znaczył się białą plamą anonimowy list pozostawiony przez pułkownika Rangoona.

Minister ujął anonim w rękę i przeczytał go raz jeszcze. Następnie zadzwonił.

--- Skończyłem pracę --- oznajmił swemu sekretarzowi --- może pan iść do domu i niech się pan nie przejmuję niepotrzebnie. Jutro o godzinie dziewiątej rano spotkamy się w biurze jak zawsze. Teraz niech pan pośle woźnego po Mac Grady'ego.

--- Mac Grady jest w bibliotece.

--- To bardzo dobrze! Ten się nie przejmuję!

W chwilę potem Mac Grady wszedł do gabinetu ministra.

--- Jestem do dyspozycji. Studiowałem niezmiernie ciekawą książkę.

--- ?

--- O szpiegostwie międzynarodowym. Sprawa austriackiego pułkownika Redla⁽¹⁾ nastęrcza wiele ciekawych refleksji. Analogie są kaprysami historii -- powiedział pewien mój przyjaciel.

--- Czyżby pan widział jakąś analogię między sprawą pułkownika Redla, a działalnością *Ślepego Johna*?

--- Najmniejszej nawet nie widzę! Ale ja badam sprawę zawsze we wszystkich kierunkach -- to jedyna racjonalna metoda!

Wilbury zabębnił palcami po stole.

--- Pan mówił mi przed paru godzinami, iż w krótkim już czasie będzie miał szajkę w rękach?

--- Nie wątpię, że tak będzie! Mam już pewne poszlaki. Ale nie powiem ani słowa z tego, co wiem, do decydującego momentu.

--- Dlaczego?

--- Raz, aby w razie niepowodzenia uniknąć własnej kompromitacji, po drugie, aby nie popełnić nieostrożności przedwczesnego wygadania się i popsucia przez to sprawy. Mogę panu powiedzieć tylko jedno: wśród podejrzanych jest Kellerman!

--- Który Kellerman?

Dyrektor Banku Amerykańsko-Kanadyjskiego!

--- Ależ on złożył 50.000 dolarów, jako nagrodę dla tego, kto wykryje organizację *Ślepego Johna*!

--- Otóż to. To właśnie było punktem wyjścia mojego podejrzenia.

Nastała chwila milczenia. Wilbury wziął anonim do ręki i bystro spojrzął na detektywa.

--- Mister Grady --- rzekł --- ostrzegano mnie dziś przed panem.

--- Przede mną? Nie rozumiem!

--- Niech pan przeczyta!

Minister podał detektywowi anonim. Grady przeczytał go bez drgnienia powiek i położył z powrotem na stole.

--- Co powie pan na to? --- zapytał Wilbury, obserwując go bez przerwy.

Grady ruszył ramionami:

--- Nic!

--- Nic?

--- Kto inny powiedziałby panu, iż usuwa się, by uchronić się przed tym zarzutem, by wykazać swą niewinność. Ja mówię inaczej. Zostaję nadal z panem.

--- By wykonać na mnie wyrok śmierci? --- zapytał swobodnie Wilbury.

Detektyw zatrzymał w połowie drogi zapalną, którą niósł do ust, by zapalić papierosa.

Wolno położył go na popielniczce, po czym wyjął z ust papierosa i skrzyżował swój wzrok z ministrem.

--- Nie! --- rzekł wolno i z naciskiem. --- By uratować pana od śmierci.

--- Ostrzeżenie, które czytał pan przed chwilą, nie jest pierwszym.

--- A! Były więc i inne ostrzeżenia? --- zapytał z ironią Anglik.

--- Były! Co więcej, było formalne oskarżenie pana!

--- Oskarżenie? O co?

--- O zamordowanie Carside'a, usunięcie Dreamera i kradzież tajnych dokumentów. O współdziałanie, jeżeli nie kierowanie, *Sprzysiężeniem Ślepego Johna*.

Mac Grady powstał:

--- Co?...

--- Mac Grady, obdarzając pana zaufaniem, postąpiłem wbrew radom wielu mych bliskich przyjaciół.

--- Kto ośmielił się oskarżać mnie o te zbrodnie? Kto zbudował to fantastyczne oskarżenie?

Spokojny zazwyczaj głos Mac Grady'ego brzmiał oburzeniem.

--- Uczynił to *Cyklop*.

--- Cyklop?...

--- A, prawda! Pan nie wie, kto nosi to przezwisko. *Cyklopem* nazywamy powszechnie generała Reutta.

Mac Grady ściągnął brwi.

--- Generał Reutt? A, przypominam sobie! Widziałem go drugi raz w życiu na konferencji u prezydenta. Ten jednooki, stary generał!

--- Właśnie on!

--- To dziwne! --- ciągnął Mac Grady, jakby mówiąc do samego siebie. --- Po zamachu na pocztę przy Sixth Avenue straciliśmy trop na Riverside! I to przed domem generała Reutta! To dziwne!

Mac Grady zwrócił się do Wilbury'ego.

--- Generał Reutt mówił to serio?

--- Zupełnie serio! I powiadam panu, iż z tego oświetlenia faktów, w jakim nam on przedstawił te sprawy, oskarżenie pana wydawało się słusznym.

--- Generał Reutt odpowie mi za to!

--- Mój Boże! Niech pan nie ma tego za złe generałowi. W sytuacji obecnej ludzie tracą głowy i podejrzewają jedni drugich.

Mac Grady zwrócił zimny wzrok na Wilbury'ego.

--- Mnie nie wolno bezkarnie pomawiać o zbrodnię. Mister Wilbury, miałem zamiar zostać -- ale teraz proszę, by pozwolono mi odejść.

Mac Grady skłonił się.

Wilbury wstał.

Spojrzenia ich skrzyżowały się jak szpady zapaśników w pojedynku. Detektyw wytrzymał spokojny, poważny wzrok ministra.

Wilbury wyciągnął rękę do Grady'ego.

--- Pan zostanie, mister Grady! Generał Reutt mówił jedynie w swoim imieniu.

Powtórzyłem to tylko panu. Niech pan zostanie, a resztę rozstrzygnie przyszłość.

Grady pochylił głowę:

--- Niech i tak będzie --- rzekł.

Wilbury polecił zjechać samochodowi. Przy wyjściu Mac Grady zdecydował: --- Jestem wyższy od pana i już jest ciemno, ale to trudno. Dla pewności zamienimy płaszcze i kapelusze.

Wilbury zgodził się w milczeniu.

Od bramy gmachu aż do drzwiczek limuzyny ustawiono podwójny szpaler policji. Wilbury i Mac Grady przeszli tym szpalerem i wsiedli do limuzyny.

Szoferował policjant, drugi siedział obok niego, ściskając w kieszeni zimną kolbę rewolweru.

W drodze do willi ministra, na skrzyżowaniu ulic, jakieś auto, jadące bez świateł, omal nie wpadło na samochód Wilbury'ego. Szofer limuzyny uratował auto od katastrofy tak ostrym skretem, że samochód wjechał na chodnik.

Owo zaś tajemnicze auto przyśpieszyło biegu, zapalając natychmiast światła i mimo pościgu i wystrzałów zdołało umknąć w mroku.

--- Zamach pierwszy --- ozwał się Grady.

--- Sądzi pan? --- zawołał Wilbury.

--- Bez wątpienia. Przytomność umysłu szofera ocaliła nas od poważnych obrażeń.

Auto pomknęło dalej.

Gdy zatrzymało się przed jednopiętrową willą zamieszkiwaną przez ministra, policja, która strzegła willi, otoczyła samochód i uczyniła znów szpaler.

Minister i Grady wysiedli. Pełniący służbę inspektor policji podszedł do ministra, by złożyć raport.

W tejże chwili rozległ się suchy trzask rewolwerowych strzałów.

Jeden... drugi... trzeci...

Jeden z policjantów osunął się z jękiem na ziemię. Mac Grady uchwycił Wilbury'ego za ramię.

--- Na ziemię. Na ziemię.

Lecz Wilbury stał nieporuszenie i jedynie ruch ręki w kierunku, skąd padły strzały, oznaczał: --- Tam jest morderca. Aresztować!

Po drugiej stronie ulicy, wciśnięty we framugę muru, jak kot gotujący się do skoku na mysz, skurczony, mały Japończyk, karzeł prawie, dzierżył w ręku rewolwer i pluł z niego morderczymi kulami.

Skąd się wziął? Czy wyrósł z pod ziemi?

Tego nie dowiedziano się nigdy.

Kilku policjantów rzuciło się ku niemu. Nie uciekał.

Wyprostował się jedynie, wyprężył.

Lufę rewolweru skierował sobie w pierś i gdy już, już wyciągnęły się do niego ręce roślących jankesów, nacisnął cyngiel dwa razy, tak samo spokojnie i miarowo, jak przed paroma sekundami, kiedy to mierzył w sekretarza stanu.

Osunął się na kolana i padł na bruk uliczny.

Inspektor znalazł się przy nim momentalnie. Zamachowiec nie żył już. Obszukano ubranie. Nie znaleziono nic. Ani świstka papieru, ani jakiegokolwiek legitymacji.

Dopiero w parę godzin później Rudolf von Hartrott czerwonym ołówkiem przekreślił w liście tysiąca jedno nazwisko. Gdyby inspektor Moran dostał w swe ręce ową cenną listę, byłby się przekonał, iż wieczoru tego zginął Japończyk Horamoto, znany w sprzysiężeniu jako brat

Cichy.

Wilbury z Mac Gradym weszli tymczasem do willi. Stary służący ministra, Irlandczyk, imieniem Patryk, drżącymi rękoma odebrał od przybyłych płaszcze.

Wkrótce przybył inspektor Moran.

Mac Grady odbył z nim krótką konferencję. W wyniku jej postanowiono, iż willa przez noc całą otoczona będzie policją.

Inspektor Moran czuwać miał przez noc całą w aucie, które stać miało w pewnej odległości od willi po drugiej stronie ulicy.

Następnie Mac Grady obejrzał dokładnie cały hall, po czym udał się na górę, gdzie minister oczekiwał go w sali jadalnej. Wilbury i Grady byli już po obiedzie, który spożyli w gmachu sekretariatu.

Obecnie Patryk przygotował herbatę, ciastka i owoce.

Wilbury wskazał z uśmiechem miejsce detektywowi.

--- Jesteśmy więc już po drugiej próbie.

--- Czekają nas jeszcze trzecia.

Obaj mężczyźni zasiedli do herbaty. Mówili mało. Każdy z nich pograżony był we własnych myślach.

Wilbury był kawalerem i zamieszkiwał willę sam, z jednym tylko służącym. W domu panowała denerwująca, głucha cisza. Patryk, znać przejęty biegiem wypadków, obsługiwał cicho, chodząc na palcach i z przywiązaniem patrząc na swego pana.

Mac Grady siedział z nachmurzonym czołem. Myśl jego pracowała gorączkowo. Rozumiał, iż oba poprzednie zamachy były przygotowane świetnie i jedynie zrzęcenie losu ocaliło Wilbury'ego. Detektyw zdawał sobie sprawę, iż niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze. Niebezpieczeństwo największe --- przewidywał Anglik --- czekało tu w willi. Ale jakie to było niebezpieczeństwo?

Wilbury, gryząc cygaro, wpatrywał się w Mac Grady'ego. Ulubiony pies ministra, olbrzymi wilk, leżąc mu u nóg, drzemał beztrudnie. Obecność Mac Grady'ego przyjął obojętnie. Wilbury dotąd spokojny, denerwować się począł dopiero u siebie, w domu. Tam na ulicy całe watahy policji strzegły jego willi, którą w ciągu dnia zbadano dokładnie. Ale w willi był on jedynie ze starym sługą i tym nieznanym agentem, któremu zaufał wbrew radzie tylu przyjaciół, wbrew ostrzeżeniom Reutta i Rangoona. W dzwoniącej ciszy nocnej wątpliwości wypełzły z kątów pokoju i obsiadły lekko ministra. Przyszły mu na myśl słowa anonimu. Wzdrygnął się. Czyżby naprzeciw niego siedział jego morderca?

Oczy detektywa i sekretarza stanu spotkały się tego dnia raz jeszcze. Z oczu Grady'ego biła taka szczerłość i uczciwość, iż minister opuścił swe oczy, nie mogąc znieść tego wzroku.

Tymczasem Mac Grady ocknął się z zadumy i zapytał o rozkład mieszkania. Wilbury udzielił mu informacji.

--- Zanim uda się pan na spoczynek, mister Wilbury --- ozwał się detektyw --- zbadam raz jeszcze całe mieszkanie.

Minister skinął głową.

--- Wątpię, czy dziś zasną, Mac Grady. Czy sądzi pan, że dziś jeszcze grozi mi niebezpieczeństwo?

--- Przeczuwam to. My, psy gończe, mamy instynkt wyźłów.

Minister przypomniał sobie coś i zwrócił się do służącego: --- Patryku!

--- Słucham, panie?

--- Czy aparat radiowy dano do naprawy?

--- Jak pan minister polecił. Wzięto go dziś po południu, zdjęto nawet antenę.

Wilbury zdziwił się:

--- Nawet antenę?

--- Tak, wysłannik firmy mówił, iż antena działa wadliwie i że jutro założy nową.

--- Szkoda, mister Grady. Jesteśmy dziś wieczór pozbawieni nawet radiowego koncertu.

Obaj rozmawiali o tym i owym, starając się zachować jak największą bez troskę.

Wskazówki antycznego zegara biegły po tarczy, wskazując minuty, kwadranse i godziny.

Dochodziła dwunasta.

Służący wszedł do jadalni i jął sprzątać ze stołu. W tej chwili leżący u stóp ministra wilczur przebudził się i powstał.

Przeciągnął się, ziewnął, ukazując białe kły i krwawy płatek języka, po czym zjeżył sierść i schyliwszy głowę tuż nad ziemią, jął wyć długo i przejmująco.

Wycie psa mrozącym echem rozeszło się po pustych pokojach willi. Groza zawisła w powietrzu. Wilbury i Mac Grady wzdrygnęli się. Patryk położył tacę na stole i pobożnie się przeżegnał.

--- Ucisz psa. Patryku --- ozwał się nerwowo Wilbury. --- Czemu przeżegnałeś się? Boisz się, stary?

Twarz Irlandczyka pozostała poważna. Ujął psa za obrozę i pociągnął ku sobie. Pies usłuchał, nie przestał jednak skamleć i jeżyć włosy na karku.

--- U nas, w Irlandii --- ozwał się Patryk, pół mówiąc do siebie, pół odpowiadając Wilbury'emu --- mówią, że gdy pies tak wyje, śmierć jest w pobliżu.

Grady spojrział na niego z niechęcią. Ten wybrał się z opowiadaniem zabobonów irlandzkich --- pomyślał.

Sekretarz stanu wstał:

--- Pójdziemy do gabinetu --- rzekł do Grady'ego. --- Patryk tymczasem zrobi tu porządek. Mam w gabinecie szachy. Zagramy, jeśli pan zechce.

Grady skinął na znak zgody, lecz nagle myślą jakąś opanowany ozwał się: --- Czy pan często przebywa w swym gabinecie, mister Wilbury?

--- To mój ulubiony pokój. Po powrocie do domu pracuję w nim zwykle, bo czytam całymi wieczorami.

Brwi detektywa ściągnęły się z namysłem. Myśl pracowała gorączkowo. Nie wiadomo czemu, bał się tego gabinetu.

--- Gdzie stał ów aparat radiowy, który zabrano dzisiaj do naprawy?

--- Właśnie w gabinecie.

--- Niech pan zostanie tu, mister Wilbury, ja wejdę pierwszy.

Jadalnię od gabinetu dzielił mały pokój, gdzie stała domowa biblioteka.

Wilbury spojrział na detektywa.

--- Dobrze --- rzekł. --- Pójdę za panem. Patryku, pójdź naprzód i zapal światło w pokojach.

Służący podążył przed Gradym. Detektyw wszedł za nim. Za Gradym o dwa kroki podążał Wilbury.

Byli za progiem biblioteki, gdy w gabinecie Patryk nacisnął taster elektryczny.

Rozbłysło światło.

--- Boże wielki! --- usłyszał jeszcze Mac Grady głos Wilbury'ego za sobą.

Zobaczył, jak światło elektryczne, błysnąwszy na ułamek sekundy, zgasło nagle.

Równocześnie zgasło światło w całym domu. Natomiast w gabinecie rozplomieniał się oślepiający blask, rozległa się piekielna detonacja. Fala gorącego powietrza wyrwała drzwi i rzuciła Mac Grady'ego i Wilbury'ego na środek jadalni. Z murów i sufitu gabinetu posypały się gruzy.

Inspektor Moran wyskoczył w przerażeniu z auta, w którym czuwał.
Z okien willi i stojącego naprzeciw domu sypały się jeszcze, z dźwiękiem, szyby.
Detonacja ogłuszyła policjantów i dzwoniła jeszcze im w uszach. Moran przepadł do sierżanta: --- Do telefonu! Straż pożarna! Pogotowie!

*

Mac Grady uczył, iż ktoś schyla się nad nim i potrząsa go za ramię. Ramię to było znać potłuczone. Grady bowiem odczuł silny ból, który wrócił mu przytomność.

--- Czy pan ranny? --- zapytał inspektor Moran, oświetlając go latarką policyjną.

Grady dźwignął się:

--- Zdaje się, że nie. Oszło mi trochę. Co z Wilburym?

--- Żyje. Przenieśliśmy go do drugiego pokoju. Ma przecięte czoło, nic więcej.

Grady odetchnął i wstał. Stłuczona ręka bolała go dotkliwie. W pokojach willi pełno było policji. Straż pożarna gasiła niewielki pożar, jaki powstał po wybuchu. Światła latarek policyjnych krzyżowały się ze sobą.

Grady podążył na miejsce katastrofy.

Gabinet zrujnowany był doszczętnie. W suficie eksplozja wyrwała wielką dziurę, zrywając dach. Przez dziurę tę patrzyła chłodna noc błyskami gwiazd.

Czterech policjantów podnosiło spod gruzu wielki, ciężki przedmiot.

Detektyw podszedł do nich.

--- Nie żyje --- rzekli, wskazując na ciało starego służącego. Cała pierś otwarta. Zginął na miejscu.

Grady pochylił głowę, pomyślał ze zgrozą czym byłby w tej chwili, gdyby był, jak zamierzał, wszedł pierwszy do gabinetu i zapalił światło.

Detektyw podążył do pokoju, gdzie z obandażowaną już głową, siedział w fotelu Wilbury. Wierny wilczur nie odstępował go.

Pułkownik Rangoon był już na miejscu.

Wilbury wyciągnął rękę do Grady'ego.

--- Dziękuję panu --- rzekł. --- Jak się pan czuje?

--- Doskonale, chociaż kości mnie bolą okrutnie i zgubiłem monokl.

--- Co to było?

Maszyna piekielna. W złej firmie, mister Wilbury, daje pan naprawiać radioaparaty. Naprawiają tam radio, ale psują ludzi.

--- Jak to?

--- O, to bardzo proste. Ów posłaniec, który zdjął antenę, założył na strychu, w suficie gabinetu, maszynę piekielną, którą połączył z przewodami elektrycznymi. Gdy Patryk, robiąc światło, włączył prąd, nastąpiła eksplozja. *Ślepy John* jest mistrzem w sprzętaniu ludzi, ale dzisiaj miał pecha!

--- A Patryk?

--- Patryk nie żyje. Zginął na miejscu!

Minister przymknął oczy.

--- Biedny Patryk --- rzekł --- przewidział swój zgon.

W tej chwili w bibliotece rozległ się niecierpliwy głos dzwonka.

--- Telefon! --- zawołał zdziwiony detektyw.
Dziwnym trafem połączenie telefoniczne nie zostało przez wybuch zerwane.
Grady podbiegł do telefonu. Policjant oddał mu słuchawkę.
--- Tu mówi generał Reutt --- usłyszał głos w telefonie. --- Czy jest minister Wilbury?
--- Przed chwilą wybuchła w willi maszyna piekielna --- poinformował zimno detektyw.
--- Mister Wilbury jest ranny.
--- Nic o tym nie wiedziałem --- zabrzmiał znów głos generała. --- Mieszkam na
przeciwległym krańcu miasta. Kto mówi?
--- Mac Grady.
Chwila ciszy w telefonie. Po czym znów głos Reutta:
--- Proszę wyrazić mister Wilbury'emu moją radość z powodu szczęśliwego ocalenia. Mam
do pana jeszcze prośbę. Oto sprawa, w której dzwoniłem. Dziś, a raczej wczoraj rano, będąc u
mister Wilbury'ego zostawiłem u niego portfel. Chciałem prosić o odesłanie mi go o ósmej rano.
--- Zapytam mister Wilbury'ego i wydam polecenia.
Mac Grady odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek.
--- Pół do pierwszej. Co za oryginał. O tej godzinie przypomniał sobie o portfelu.
Mac Grady powtórzył rozmowę z Reuttem Wilbury'emu.
Sekretarz stanu uczynił niecierpliwy ruch ręką:
--- Tak. Zostawił. Jest w środkowej, niezamkniętej szufladzie. Niech pan da któremu z
agentów, by doręczył rano.
Mac Grady odszukał z łatwością portfel, w zniszczonym i połamanym biurku.
Był sam w pokoju. Obejrzał portfel z wierzchu i ruszył ramionami. Myśl jednak jakaś nie
dawała mu spokoju.
--- Muszę wszystko widzieć i wszystko wiedzieć --- szepnął do siebie.
Otworzył portfel i naraz fotografia jakaś wypadła na biurko. Grady podjął ją i zbliżył do
latarki.
Zdziwienie zaparło mu dech w piersiach.
Była to fotografia Alicji Irving...
Z kartkowego zdjęcia patrzyła na niego ta sama twarz kobieca, która przed miesiącem na
Olympicu zainteresowała go tak bardzo. Te same bujne włosy, te same oczy, oczy kobiety i
dziecka zarazem, te same kuszące, cudnie wykrojone usta.
Detektyw po czole przesunął ręką:
--- Czy ja śnię? --- wyszeptał.
W tej chwili wszedł do gabinetu O'Connel, który przybył by zbadać rozmiary katastrofy i
osobiście zająć się śledztwem. Za nim szedł Rangoon i inspektor Moran.
Sekretarz stanu do spraw wewnętrznych przystanął przy detektywie, oglądając
zniszczenia.
Detektyw przesunął po czole ręką:
--- Przepraszam, mister O'Connel --- zagadnął Mac Grady. --- Z portfela generała Reutta,
który mam mu odesłać, wypadła ta, oto, fotografia. Czy nie mógłby mnie pan objaśnić kto to
jest?
I wręczył O'Connelowi fotografię.
Ów spojrzął na zdjęcie i uśmiechnął się, po czym zwrócił fotografię detektywowi.
--- Śliczna dziewczyna. Niech pan żałuje, że jej pan nie zna. To jest fotografia córki
generała Reutta.
Mac Grady zadrżał.

⁽¹⁾ Alfred Redl (1864-1913) -- austriacki oficer, który pracował dla kontrwywiadu monarchii Austro-Węgierskiej. Od 1903 r. szpiegował dla Rosji. Nazwano go jednym z największych zdrajców w historii, gdyż jego działania przyczyniły się do śmierci blisko pół miliona współrodaków.

ROZDZIAŁ XXIII

Mac Grady powrócił z Washingtonu do Nowego Jorku pod ogromnym wrażeniem odkrycia, którego dokonał. Odkrycie to streszczało się w wiadomości, iż Alicja Irving i córka Reutta to jedna i ta sama osoba.

Lubo zasłona tajemnicy została częściowo odsłonięta, Mac Grady gubił się w domysłach. Dlaczego córka generała Reutta podróżowała na *Olympicu* pod fałszywym nazwiskiem Alicji Irving? Dlaczego podała mu fałszywy adres w Nowym Jorku? Czy ona wreszcie -- Mac Grady nie chciał, nie mógł w to wierzyć -- wykraść dokumenty Carside'a i doręczyła ambasadzie niemieckiej?

Detektyw bił się z myślami i w duchu postanowił zająć się jak najgorliwiej osobą panny Reutt, teraz gdy o Wilbury'ego nie musiał się troszczyć. Minister bowiem za poradą lekarzy musiał się udać, po silnym nerwowym wstrząśnięciu i odniesionych kontuzjach, na parotygodniowy wypoczynek. A tego przecież chciał *Ślepy John*.

Jednocześnie jednak Mac Grady'emu niezmierną przykrość sprawiała myśl, iż Alicja Irving, czyli właściwie panna Reutt, może być wyrafinowaną zbrodniarką. Córka generała armii Stanów Zjednoczonych -- szpiegiem i członkiem terrorystycznej bandy? Bo Mac Grady nie wątpił, że tam na pokładzie *Olympica* dosięgły sędziwego Carside'a te same ręce *Ślepego Johna*, które kierowały w Stanach terrorystyczną organizacją. Córka generała Reutta -- szpiegiem. Czy Reutt wiedział o tym? Czy był również wmieszany w tę sprawę. Odrzucił tę myśl natychmiast, tłumacząc ją swą osobistą niechęcią do generała Reutta.

Mac Grady wiedział już od Otockiego dość dużo, nie tyle jednak, by móc przystąpić do likwidacji szajki.

--- Moja sieć ma jeszcze za wielkie oczy, chwycę szczupaki, a płotki się wymkną --- mruczał do siebie. --- Muszę mieć w rękach całą organizację.

Rozmyślenia przerwało mu pukanie do drzwi numeru. Wszedł wysoki mężczyzna i skłonił się Grady'emu. Wysoki i chudy, miał klasyczną łysinę i długą czarną brodę: --- Czego pan sobie życzy? --- zapytał Mac Grady, sięgając mimowolnie po rewolwer do kieszeni.

Pułkownik Rangoon byłby zadowolony z trafności swego spostrzeżenia. Mac Grady bowiem miał drugi rewolwer, obok tego, który oddał oficerowi dyżurnemu w ministerstwie wojny.

Przybyły zaśmiał się i jednym energicznym ruchem zerwał fałszywą brodę.

--- Łysiny nie będę odlepił --- rzekł. --- Zbyt wiele czasu zabrałaby ponowna charakteryzacja.

Detektyw, zaśmiał się.

--- Otocky --- zawołał, ściskając dłoń agenta. --- Co pan przynosi nowego?

--- Przyszedłem po nowe instrukcje i celem zdania raportu.

--- Jak idzie sprawa?

--- Doskonale. Niedługo będziemy ich mieli, o ile nie przejrzą naszych kart.

--- A więc?

--- Mister Grady, czy zna pan nazwiska urzędników ambasady niemieckiej, która z chwilą wypowiedzenia wojny opuściła Stany?

Detektyw skinął głową.

--- Znam.

--- Attaché wojskowym był w niej porucznik Rudolf von Hartrott.

--- Tak. Przypominam sobie.

--- Otóż... Porucznik Hartrott nie opuścił Stanów z chwilą wybuchu wojny!

Mac Grady przystanął zdziwiony.

--- Jak?...

Kilka ogniów w rozumowaniu Grady'ego, ogniów, które nie miały spoidła -- połączyło się w silny łańcuch spokojną odpowiedzią Polaka.

--- Porucznik Hartrott przebywa dotąd w samym sercu Nowego Jorku. Stoi na czele sprzysiężenia.

--- Ta wiadomość warta jest kopalnią złota. Czy wie pan, gdzie przebywa porucznik Hartrott, gdzie ukrywa się zazwyczaj?

--- Tego właśnie nie wiem.

--- Byłżeby on *Ślepym Johnem*?

Otockci pokręcił głową.

--- Nie. Nie jest nim ani on, ani Kellerman. To jest ktoś stojący poza organizacją i kierujący nią przez swego zaufanego.

Mac Grady zamyślił się znowu:

--- Badałeś księgi Kellermana? Co dzieje się w banku?

Nie odkryłem dotąd niczego specjalnie podejrzanego, prócz tego, że Kellerman operuje zbyt wielkimi sumami na swe osobiste potrzeby i...

--- I...

--- Drzwi jego gabinetu nawet w godzinach urzędowych są szczelnie zamknięte. Poza tym...

Agent uśmiechnął się:

--- Kellerman poszedł za pana radą i dał wyremontować swe maszyny do pisania.

Mac Grady powziął nagłą decyzję.

--- Mister Otocky --- rzekł --- Bank Amerykańsko-Kanadyjski kryje w sobie coś więcej nad zdradę Kellermana. Ja muszę ten bank sam zrewidować.

--- To łatwo powiedzieć, ale jak to zrobić?

--- Za trzy czy cztery dni włamią się do gmachu banku nieznani sprawcy.

--- A! Rozumiem. W banku jednak mieszka dozorca. To będzie rzecz trudna. Poza tym bank ma elektryczne urządzenie alarmowe.

--- Doskonale. Dozorca jest żonaty?

--- Nie. Jest kawalerem.

--- Nic łatwiejszego jak niespodziewane aresztowanie go pod najbliższym zarzutem.

Zwolni się go po dwudziestu czterech godzinach. Co zaś do urządzenia alarmowego, będzie ono dnia tego kompletnie popsute.

--- Czego będzie pan szukał w gmachu banku?

Listy sprzysiężonych. Przeczuję, że jest ona tam, a nie gdzie indziej. Ktoś, u diabła, musi mieć listę tysiąca spiskowców.

--- Czy będę panu towarzyszył? --- zapytał Otockci.

--- Naturalnie. Zna pan rozkład biur lepiej ode mnie. Kellerman będzie pierwszym, któremu nałożymy kajdanki.

--- Spłoszymy resztę szajki.

--- Pomyślę jeszcze o tym. Ewentualnie zrobimy to tak, by nikt nie wiedział, iż Kellerman został aresztowany. Czy pan ma jeszcze coś ciekawego dla mnie?

--- Mam może rzecz najciekawszą. Wśród tych, którzy stoją na czele szajki jest jedna kobieta.

Detektyw cofnął się o krok. W łańcuchu, który miał skuć zbrodniarzy, przybyło nowe

ogniwo.

--- Kobieta? --- zapytał nieco zmienionym głosem.

--- Tak. Kobieta. Kobieta, zdaje się młoda i ładna. Czy słyszał pan kiedykolwiek o *Szkarłatnej miss*? O *Miss o szkarłatnym spojrzeniu*, jak ją nazywają spiskowcy!

Mac Grady pokręcił głową:

--- Nie, nie słyszałem nigdy --- rzekł. --- Ale zdaje się, że będę mógł pana objaśnić, kto jest tą kobietą.

--- Pan?

--- Tak. Jest to kobieta lat około dwudziestu pięciu, ma puszyste piękne włosy wpadające w kolor miedziany i nie mniej piękne niebieskie oczy. Oczy te mają jednak jedną wadę. Są nią silnie zaczerwienione powieki i dlatego właśnie kobietę tę zwą *Miss o szkarłatnym spojrzeniu*.

Otocki wykrzyknął ze zdziwienia.

--- Zna ją pan? Pan ją zna, mister Grady?

--- Znam ją, na moje nieszczęście --- odparł detektyw, tracąc zwyczajny mu spokój Anglika.. --- Kobieta ta wygląda na anioła, a jest urodzonym szatanem. Powiem panu jej nazwisko... *Miss o szkarłatnym spojrzeniu* to miss...

Głośne pukanie do drzwi przerwało Mac Grady'emu. Wszedł boy hotelowy i wręczył mu mały kartonik. Był to bilet wizytowy.

--- Ta pani --- rzekł boy --- chce mówić z panem i czeka na dole, w hallu.

Detektyw podniósł do oczu kartonik i odczytał głośno: --- ...Alicja Irving.

ROZDZIAŁ XXIV

Mac Grady przybladł i zmiął w dłoni bilet wizytowy. Zwrócił się do Otockiego: Życie powiedziało za mnie to, czego dokończyć nie zdołałem.

Po czym zwrócił się do chłopca:

--- Poproś ę panią do mnie!

Gdy drzwi zamknęły się za chłopcem, Otockie spytał:

--- Więc miss Alicja Irving?...

Grady skinął ręką:

--- Tak, to jest *Miss o szkarłatnym spojrzeniu*. Musi się pan teraz oddalić. Tędy, wyjściem przez sypialnię. Jutro dostanie pan ode mnie instrukcje. Niech pan ma oczy szeroko otwarte.

Good bye!

Mac Grady wyprowadził Otockiego, który nie zdradzał zresztą żadnej chęci spotkania się ze *Szkarłatną miss*, po czym powrócił do saloniku.

Drzwi numeru hotelowego uchyliły się z wolna i Alicja Irving weszła do pokoju.

Mac Grady objął ją jednym, szybkim rzutem oka. Tak, to była ona -- jego znajoma z *Olympica*, kobieta, której fotografię znalazł w portfelu generała Reutta.

Ubrana była w kosztowny płaszcz, bramowany futrem. Spod małego modnego kapelusika wyglądały miedziano-blond włosy.

Ta, która podawała się za Alicję Irving, zatrzymała się w drzwiach. Spojrzenie jej spotkało się ze spokojnym spojrzeniem detektywa, który postąpił ku niej. Spojrzenia te spotkały się, jak na zielonym suknie spotykają się kule bilardowe. Miss Alicja Irving spuściła oczy pod siłą spojrzenia Anglika.

--- Czy pan przypomina mnie sobie? --- spytała.

Grady pochylił głowę w ukłonie:

--- Ja nigdy niczego nie zapominam, miss Irving --- brzmiała odpowiedź. --- Proszę, niech pani siada.

--- Gorąco tu, u pana --- ozwała się. --- Czy pozwoli pan, iż zdejmę ten płaszcz, bowiem sprawa, w której przyszłam, wymaga nieco czasu.

Oddała płaszcz i kapelusz Mac Grady'emu i pozostała w wieczorowej sukni bez rękawów, głęboko wyciętej na plecach.

Nie krępując się, podeszła do lustra, by poprawić włosy.

--- Nie widzieliśmy się tak dawno, Mac Grady. Czy nie próbował mnie pan odszukać w Nowym Jorku?

--- Owszem. Próbowałem. Na Long Island jednak, pod adresem, który podała mi pani, nie mogłem pani odnaleźć.

--- Nie mieszkałam tam nigdy. Musiałam wtedy, pan rozumie, **musiałam** podać panu fikcyjny adres.

Mac Grady zwrócił się ku niej żywo:

--- Czy musiała pani również wykraść papiery Carside'a, czy musiała pani schować do mojej walizki i wykraść ją później, czy musiała pani?...

Alicja Irving ściągnęła strzałki brwi nad niebieskimi oczyma. W głosie jej dźwięczało zimne opanowanie: --- Więc wie pan o tym, Mac Grady. Tak, to ja to zrobiłam. Ja wykradłam papiery Carside'a, a raczej odebrałam je od Dreamera, ja ukryłam je w pana walizce. Widzę, że wie pan o mnie wiele rzeczy. Czy wie pan jeszcze coś więcej?

--- Nie myślę dalej grać z panią w ciuciubabkę. Nie znam tylko dotąd celu, w jakim

przybyła pani do mnie. Czy *Sprzysiężenie Johna* rozsyłające swe zlecenia na firmowym papierze o chemicznych znakach dało pani jakieś specjalne zlecenie? Czy pani ma może polecenie sprzątnięcia mnie? Niech pani mówi szybko, Alicjo Irving, a raczej Zuzanno Reutt.

--- Co pan powiedział?!

Mac Grady, nie spuszczać jej z oka, dostrzegł nagle bladłość dziewczyny. Powtórzył: --- Słucham panią, Zuzanno Reutt.

Oddychała ciężko. Cios Mac Grady'ego był dobrze wymierzony.

--- Skąd pan wie, że jestem córką generała Reutta?

--- Wiem o tym od dawna. Wiem więcej, niż pani przypuszcza, wiem, iż papiery, które tak sprytnie dowiozła pani na łód amerykański doręczone zostały attaché wojskowemu ambasady niemieckiej w Washingtonie, porucznikowi Rudolfowi von Hartrotowi, który od dawna był pani kochankiem...

--- To kłamstwo! Hartrott nie był nigdy moim kochankiem. Ani on, ani nikt!

--- Nie wchodzę w szczegóły. Dodam tylko, iż wiem o roli, jaką pani gra obecnie w szajce apaszów i zbrodniarzy, bandzie, która nosi nazwę *Sprzymierzenia Ślepego Johna*. Dlatego dziwię się, że pani tu przyszła. Jeden mój ruch w kierunku telefonu, słów parę, a zostanie pani uwięziona. Czy wątpi pani o tym?

Podniosła się blada:

--- Nie, o tym nie wątpię. Przyszłam bez broni i może to pan uczynić w każdej chwili. Ale nie robi pan tego, Mac Grady?

--- Dlaczego nie miałbym zrobić?

Miss Alicja wyjęła z papierośnicy papierosa i zapaliła go uważnie. Starala się zapanować nad sobą: --- Nie robi pan tego, bo jest pan dżentelmenem, który nie wyda w ręce sprawiedliwości kobiety, która jest jego gościem. Nie zrobisz tego wreszcie, Jerzy, bo... bo... kocham cię!

Słowa te wypowiedziane cichym spokojnym głosem padły jak cięcie szabli.

Mac Grady, poruszony do głębi, podniósł się z fotela i wyprostował na całą swą wysokość, po czym ponownie opadł na fotel.

--- Pani kpi sobie ze mnie --- wyjąkał.

Zuzanna Reutt pokręciła z powagą głową.

--- Ani kpię sobie, Jerzy, ani też nie mam zamiaru grać podstępnej komedii wobec pana. Uważam po prostu, iż przyszedł czas, kiedy powinniśmy porozmawiać ze sobą, porozumieć się lub nie, i ten, a nie inny, jest cel mojej wizyty. Niech mnie pan wysłucha, Mac Grady!

Mac Grady utkwiał swój wzrok w dziewczynie.

Siedziała teraz naprzeciw niego, nieco pobladła, owiana chmurką dymu z papierosa, którego zapaliła, by zapanować nad swymi nerwami. Detektywa uderzyła raz jeszcze jej niezwykłą piękność, która niewątpliwie wzrosła jeszcze od czasu, kiedy ją widział po raz ostatni na pokładzie *Olympica*. Wielkie niebieskie oczy patrzyły na Mac Grady'ego łagodnie. Zdawało mu się, iż w oczach tych, otoczonych zaczerwienioną obwódka powiek, dostrzega wilgoć łez. Rękę miała drobną, białe ramiona klasycznej okrągłości. Owa *Miss o szkarłatnym spojrzeniu* była kobietą czarującej piękności.

--- Niech pani mówi, miss Reutt! --- ozwał się miękko.

--- Tak, Mac Grady! --- zaczęła cicho --- ja jestem ową *Szkarlatną miss*, ową *Miss o szkarłatnym spojrzeniu* --- powiodła palcem po oczach --- jak mnie nazywają w sprzysiężeniu. Jestem też nie Alicją Irving, lecz jedyną córką generała Reutta, który nic nie wie --- podkreśliła to słowo --- o roli, jaką od dłuższego czasu odgrywam. Gdyby wiedział, cios to byłby dla niego ogromny, jest bowiem dobrym patriotą amerykańskim. Inaczej sprawa wygląda ze mną. Nie

wiem, czy wie pan o tym, iż żona generała Reutta, a moja matka, była Niemką. Generał Reutt poznał ją przed laty jako młody oficer, pełniąc służbę przy ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Berlinie. Było to jeszcze przed wojną światową. Sam zresztą generał Reutt ma w swoich żyłach domieszkę niemieckiej krwi. Jestem jedynaczką i matka moja, dziś już nieżyjąca, całe swe życie poświęciła memu wychowaniu. Była Niemką i mimo małżeństwa z oficerem wojsk Unii, mimo szeregu lat spędzonych w społeczeństwie amerykańskim, matka moja została Niemką do końca swego życia. Mnie wychowała na Niemkę. Do dziesięciu lat moim domowym językiem był język niemiecki. Wpoila we mnie przekonanie, że Niemcy są największym narodem świata, iż wszystko co niemieckie jest najlepsze, największe, najwspanialsze. Wreszcie, iż pierwszym przykazaniem Niemca jest -- być Niemcem. Wychowała mnie na Niemkę i jestem nią, mister Grady. Jestem nią i dumna jestem z tego.

Chcę panu wyznać wszystko. Na rok przed obecną wojną poznałam porucznika Rudolfa von Hartrotta. Był to attaché ambasady niemieckiej w Washingtonie. Podobał mi się wtedy bardzo -- za namową jego podjęłam się pracy szpiegowskiej na rzecz Niemiec. Nie uważałam tego za hańbę. Każda praca dla ojczyzny jest zaszczytna --- mówił mi porucznik von Hartrott. Ja zaś uważałam i dziś uważam, że ojczyzną moją są Niemcy.

Sprawa tajnych dokumentów, które zdobył i wiozł do Stanów Carside, było mą pierwszą wielką sprawą. Jak pan wie wywiązałam się z mego zadania doskonale. Miałam zlecenie nie żałować ludzi ani środków do zdobycia dokumentów wiezionych przez komandora. Zrobiłam to. Carside'a zabił Dreamer, który był od dawna na żołdzie niemieckiego wywiadu. Pastor Middleton pomógł mi usunąć niewygodnego i tępego sprawcę zbrodni.

Miss Zuzanna Reutt przerwała swe ponure opowiadanie. Mac Grady uderzył ręką w stół i twarz jego przybrała wyraz zadowolenia.

--- Pastor Middleton! Pastor Middleton! --- powtórzył. --- Ten, który oskarżył Dreamera?

--- Ten sam.

--- Teraz mam już wszystko --- wyszeptał detektyw.

--- Co pan ma, mister Grady?

--- Wiem już skąd znana mi była twarz Kellermana.

--- ???

--- Kellerman występował na *Olympicu* jako pastor Middleton, prawda?

Bystre oczy detektywa wpiły się w oczy dziewczyny. Wylękła patrzyła na niego. Ten człowiek wiedział tak dużo i przyznawał się wobec niej. Odpowiedziała skinieniem głowy i pytaniem: --- Pan wie, że Kellerman?...

--- Wiem. Ale to drobiazg, nieprawdaż? Niech pani mówi dalej, oczywiście, jeżeli pani chce mówić.

--- Dokumenty przeniosłam na ląd. Dostarczyłam je, jak pan odgadł, von Hartrottowi. Jedno tylko mam do sprostowania raz jeszcze. Nigdy nie byłam kochanką Hartrotta, chociaż był czas, że czułam do niego coś więcej nad sympatię. Von Hartrott kochał mnie, lecz w zdobyciu mnie przeszkodził mu pan, Jerzy.

Detektyw milcząco opuścił głowę.

--- Cóż więcej mam panu powiedzieć, mister Grady. Wybuchła wojna, zawiązało się stowarzyszenie, zakonspirowane pod nazwą organizacji *Ślepego Johna*. Nie taję zupełnie tego, że oddałam sprawie Niemiec i Japonii pewne usługi. Nie mogę powiedzieć za wiele. Mówię przecież z człowiekiem, który prowadzi akcję przeciw nam. Powiem panu tylko jedno. Ja dokonałam zamachu bombowego na urząd pocztowy przy Sixth Avenue. A mało brakowało, by nie został on dokonany. Gdyby nie wyszedł pan wtedy przed gmach, gdzie urząd się mieści, nie mogłabym zostawić maszyny piekielnej w budce telefonicznej... Z obawy o życie pana.

Powtarzam panu raz jeszcze to, co powiedziałam na początku. Kocham pana, Jerzy. Do dziś dnia mam uczucie przykrości, gdy pomyślę o całej tej historii z dokumentami. Widziałam pana, swego czasu, faktycznie w kasynie, w sali gry, w San Remo, i na *Olympicu* poznałam pana natychmiast. Niestety od czasu tego znajduję się w ciągłej rozterce duchowej. Walcząc przeciw panu, walczę przeciw człowiekowi, którego kocham. Stając po stronie pana, stanęłabym do walki z moją ojczyzną, dla której przywiązanie wrosło w moją duszę.

Uważa mnie pan może za zbrodniarkę, Mac Grady, i sądzi bardzo surowo. Ja to, co zrobiłam, uważam za swój obowiązek wobec Niemiec....

Miss o szkarlatnym spojrzeniu skończyła mówić i spojrzała na Grady'ego.

Detektyw milczał przez długą chwilę. Porządkował swe myśli, w których panował chaos. Dziewczyna czekała cierpliwie.

--- Miss Reutt! --- ozwał się wreszcie Grady. --- To co myślę o pani, to jest moja sprawa i nie będę z panią o tym mówił. Nie będę też pani tłumaczył, że patriotyzm źle pojęty staje się zbrodnią. Przyszła pani tutaj niewołana przeze mnie. Przyszła pani, by powiedzieć, by potwierdzić mi wiele rzeczy, które mogą być w przyszłości wykorzystywane przeciwko pani. Poza tym wyznała mi pani, że pani mnie kocha. Muszę odpowiedzieć pani pytaniem. Po co przyszła pani tutaj, miss Reutt? Jaki jest cel tej "spowiedzi" i jaki cel tych miłosnych wyznań?

--- Przyszłam, by uratować pana. Jest pan silny, jest pan genialny. Policja i władze Stanów Zjednoczonych stoją do usług pana. Ale szajka *Słpego Johna*, jak pan pogardliwie nazywa sprzysiężenie, jest silniejsza od pana i kilka razy okazała się od pana silniejszą. Pan uratował życie Wilbury'emu, a nam zależało bardzo, by życie to istnieć przestało. Gniew i zemsta sprzysiężenia zwraca się przeciwko panu. Staje się pan dla sprzysiężenia niebezpieczny.

--- Rozumiem. Co dalej?

--- Już nie jeden raz broniłam, ochraniałam pana z całych sił. Bo nieraz już podnosiły się głosy, by pana usunąć. A ja, ja wiem coś o tym, jak my niewygodnych usuwamy. Ale teraz wiem, że pana obronić nie zdołam, a ponieważ pana kocham, przyszłam prosić pana...

Miss Reutt pochyliła się ku Mac Grady'emu. Owiał go zapach mocnych perfum. Biło od niej ciepło młodego, kobiecego ciała. Zniżyła głos prawie do błagalnego tonu: --- Mac Grady! Niech pan rzuci tę sprawę! Oto, o co przyszłam prosić w imię mojej naprawdę wielkiej miłości. Nie jest pan Amerykaninem. Dalekie są panu interesy i sprawy tego kraju. Niech pan je zostawi swemu losowi. Pan jest przecież Anglikiem. Czy zapomniał pan, iż Ameryka jest na morzu najgroźniejszą rywalką Anglii? Dlaczego chce pan przybliżyć Ameryce laur zwycięstwa? Jerzy! Niech się pan nie gniewa, że tak mówię. Jerzy! Niech pan wyjedzie! Wszystko przygotowałam. Jeżeli się pan zdecyduje, dziś o północy może pan być już daleko. W spokojnej, pięknej Kanadzie. W zamian za to, Mac Grady...

--- Ach, więc jest nagroda --- ozwał się Grady szyderczo.

--- W zamian za to --- ciągnęła, nie zważając na jego uwagę --- dam panu najwięcej, co dać mogę. Dam panu siebie. Wszak kocha mnie pan, Mac Grady? Prawda? Wiem, że pan mnie kocha. Jeżeli pan zechce, wyjadę z panem. Inni beze mnie dokończą zaczętego dzieła. Niech pan posłucha, Grady. Czyż nie jestem piękna. Nikt nie całował ust moich. Ty, Jerzy będziesz mnie całował pierwszy. Otoczę cię największą miłością, jaką może kobieta otoczyć mężczyznę. Kocham pana i pan mnie też kocha, więc wyjeżdżamy. Dobrze?

Ujęła swą drobną rączką jego męską rękę.

Krew waliła młotem w skroniach detektywa. Nie zdawał sobie dotąd wcale sprawy, co do swych uczuć do rzekomej Alicji Irving. Jedno było pewne, że myślał o niej od chwili opuszczenia *Olympica* znacznie częściej, niż to było jego zamiarem. Faktem było, iż jej obecność oddziaływała na niego potężnie. Miał koło siebie kobietę, w pełnej krasie rozkwitu, kobietę

młodą i piękną, która przysłała mu ofiarować swą miłość -- za cenę wyjazdu ze Stanów Zjednoczonych i porzucenia rozpoczętego zadania.

Uwolnił swą rękę z jej uścisku i potarł siwiejące skronie.

--- Miss Zuzanno --- ozwał się powoli, starając się opanować swe nerwy --- czy wie pani, czego pani ode mnie żąda?

--- Wiem. Żądam by pan ratował siebie i daję panu za to moją miłość.

Grady ochłonął:

--- Zapewne. Miłość pani to dar bezcenny. Ale to daremny trud, miss Reutt. Ja nie wyjadę. Nie wyjadę choćbym miał zginąć.

--- Dlaczego?

--- Dlatego, że człowiek honoru nie cofa się w pół drogi. Dlatego, że dałem słowo ludziom, którzy mnie szanują, iż sprzysiężenie wykryję i chcę, by ci ludzie nie stracili do mnie szacunku.

Chciała mu przerwać, ponowić swą prośbę, odeprzeć argument argumentem. Lecz on uczynił stanowczy gest ręką.

--- Szkoda słów, miss Zuzanno, odłóżmy na plan dalszy nasz osobisty stosunek do siebie. Nie czas teraz o tym mówić. Miss Reutt, to ja raczej powinienem się zwrócić do pani. Zwrócić się do pani z prośbą, by porzuciła pani to gniazdo zbrodniarzy, jakim jest szajka *Ślepego Johna*. Pani deklamuje o patriotyzmie, o walce. To piękne słowa, ale prawo do używania tych słów, mają ci, którzy walczą wręcz, walczą twarzą w twarz. *Ślepy John* działa poza wojennym frontem. Wśród sprzysiężenia są obywatele Stanów -- Japończycy i Niemcy -- są ludzie, którym Ameryka dała przytułek, dała chleb, pracę i dach nad głową. Ludzie ci dzisiaj wbijają nóż w plecy walczącego państwa. To nie patriotyzm, to zbrodnia. Niech pani policzy niewinne ofiary, jakie padły dzięki waszej działalności. Niech pani zastanowi się wreszcie nad sobą. Proszę się nie ludzić. Szajka terrorystów będzie wykryta. Wykryta co do jednego człowieka. I członkowie jej będą ukarani. Niech pani pomyśli, co wtedy czeka panią. Co czeka ojca, który tak wysokie zajmuje stanowisko. Niech pani żałuje siebie, miss Reutt. Siebie, nie mnie. Nie chciałbym, by zasiadła pani na ławie oskarżonych.

Słuchała bez tchu, po czym podniosła na niego swoje jasne oczy: --- Więc nie da się pan ubłagać, mister Grady? Nie opuści pan Stanów?

--- Owszem. Opuzczę je.

--- Kiedy?

--- To zależy już tylko od pani.

--- Ode mnie? Jestem gotowa w każdej chwili. Kiedy pan będzie gotów?

--- W dwie godziny po wręczeniu mi przez panią listy spiskowców.

Porwała się z miejsca.

--- O! To niegodziwe. Żąda pan zdrady ode mnie?

--- Nic podobnego. Żądam tylko, chcę tylko rehabilitacji pani.

--- To oburzające.

--- Jak kto uważa. Czy nie było oburzające żądanie pani, bym złamał słowo dane prezydentowi Stanów?

Milcząco podeszła do krzesła, na którym złożył jej płaszcz i poczęła się ubierać.

Chciał jej pomóc, lecz powstrzymała go ruchem ręki.

W płaszczu już, z kapeluszem w ręku, zwróciła się do Grady'ego: --- Mac Grady. Niech pan pamięta, iż ofiarowywałam panu miłość, pan ją odrzucił.

--- Uwarunkowałem rozmowę o tym od ekspiacji ze strony pani.

--- To zupełnie to samo! Czy wie pan, co czyni kobieta, której miłością się pogardzi?

Kobieta taka, jak ja...

--- Nie wiem, miss Reutt.

--- Kobieta taka mści się! Niech się pan strzeże, mister Grady!

Detektyw skinął głową. Jął mówić wolno i dobitnie, akcentując każde słowo: --- Ja uczynię co innego, miss Reutt! Gdy już przystąpię do likwidacji szajki *Ślepego Johna*, zrobię wszystko, by uratować panią. Będzie pani powiadomiona o grożącym jej niebezpieczeństwie, tak by miała pani trzy godziny czasu do ucieczki. Życzę pani szczęścia, miss Reutt!

Nie odpowiedziała ani słowem. Twarz jej przybrała wyraz chłodnej obojętności.

--- Do widzenia, miss Reutt! --- ozwał się detektyw, uchylając drzwi.

Lecz nie usłyszał odpowiedzi.

Skoro miss Zuzanna Reutt wyszła, Grady zamknął starannie drzwi i wrócił do pokoju.

Unosił się tu lekki zapach perfum *Miss o szkarłatnym spojrzeniu*. Na popielniczce leżał zgasły niedopałek papierosa *Old Gold*.

To było wszystko, co dowodziło Grady'emu, iż nie śnił, iż *Szkarłatna miss* odwiedziła go faktycznie.

Detektyw przez długą chwilę spoglądał na ów niedopałek, p czym go ujął w palce i delikatnie, jak gdyby piastował relikwię, schował go do szuflady biurka.

*

W parę godzin potem, człowiek, którego nazywano bratem *Błyskawicą*, a który sprzysiężeniu ogromne oddawał usługi, powiadomił von Hartrotta za pośrednictwem Kellermana, iż *Miss o szkarłatnym spojrzeniu* odwiedziła tego wieczoru Mac Grady'ego w nieznanym bliżej celach.

Wiadomość ta zarówno u Hartrotta jak i u Kellermana wywołała uczucie przestachu.

ROZDZIAŁ XXV

Mac Grady miał zupełną rację, mówiąc miss Zuzannie Reutt, iż pętla wokół zbrodniczej szajki *Ślepego Johna* będzie się zaciskać z dniem każdym, iż każdy dzień zbliżać go będzie do ostatecznej rozgrywki z wewnętrznym wrogiem Stanów Zjednoczonych.

Jakoż pętla ta zaciągała się powoli. Najdotkliwszym ciosem, jaki mógł szajkę dotknąć, było wprowadzenie w życie rozporządzenia prezydenta Unii znoszącego tajemnicę listową i tajność rozmów telefonicznych. Przywódcom sprzysiężenia uniemożliwiono komunikowanie się z braćmi, rozsianymi po całym państwie, za pomocą korespondencji listowej, za pomocą owych listów z nagłówkami wypisywanymi sympatycznym atramentem. We wszystkich urzędach pocztowych na terenie Stanów Zjednoczonych otwierane były wszelkie przesyłki listowe i skrzętnie i uważnie czytane. Wszelkie listy podejrzane, listy pisane szyfrem, wędrowały do biur policyjnych, gdzie były poddawane ścisłej ekspertyzie.

Wprowadzenie podsłuchów telefonicznych nie pozwalało również na porozumiewanie się z braćmi.

Był to wielki cios dla sprężystości organizacyjnej sprzysiężenia. Największym jednak ciosem -- spowodowanym przez Mac Grady'ego -- było najściślejsze zamknięcie granicy kanadyjskiej. W Kanadzie bowiem mieściło się centrum wywiadu szpiegowskiego Niemiec. Wywiad ten udzielał *Sprzysiężeniu Ślepego Johna* informacji i instrukcji. Przez jak najściślejsze zamknięcie granicy amerykańsko-kanadyjskiej wszelka możliwość porozumiewania się z wywiadem niemieckim w Kanadzie została unicestwiona i sprzysiężenie zostało pozostawione samo sobie.

Ostatnie wiadomości odebrane przez Kellermana były dlań nad wyraz pocieszające. Flota powietrzna niemiecka, złożona z sześciu potwornych superzeppelinów typu *Lewiatan*, była gotowa do drogi przez Atlantyk do Stanów Zjednoczonych i czekała jedynie na rozkazy, by wyruszyć do amerykańskich brzegów i zbombardować Nowy Jork, Boston i Filadelfię śmiertcionośnymi pociskami z thanatoidem. Równocześnie flota japońska dokonać miała zbombardowania wybrzeży amerykańskich, forsując linię blokady amerykańskiej.

Wszystko to składało się na decyzję przywódców sprzysiężenia dokonania przez sprzysiężenie decydującego posunięcia, które miało najwyższym prerażeniem napełnić rząd i obywateli Stanów Zjednoczonych.

Należało się śpieszyć, bowiem niemieckie niszczyciele powietrzne mogły się lada dzień pojawić nad Nowym Jorkiem, uderzenie zaś szajki poprzedzać miało bezpośrednio powietrzny atak niemiecki na metropolię Stanów.

Zanim jednak miało nastąpić owo piorunujące uderzenie szajki, Kellerman i Hartrott postanowili unieszkodliwić człowieka, który już zanadto zaczął być następować im na pięty.

Człowiekiem tym był Mac Grady.

Kellerman był zbyt sprytnym i szczwanym lisem, by nie zrozumieć, iż Mac Grady dawno przejrzał go na wskroś i jeżeli oszczędzał go dotąd, to tylko dlatego, że uważał iż nie jest jeszcze pora chwycić go w policyjne kleszcze. Któż mógł jednak wiedzieć, kiedy Mac Grady uzna, iż pora ta nadeszła? Kellerman żył od chwili odwiedzin, jakie złożył mu Grady w banku, w nieustannej trwodze. Wiedział już teraz, iż sprawa otwarcia sobie w banku konta oraz rachunku była ze strony Mac Grady'ego pozorem, bowiem dotąd detektyw nie pobrał z banku Kellermana ani centa i najmniejsza nawet suma nie wpłynęła na jego rachunek.

Trwogę Kellermana podwoiła wieść przyniesiona mu przez brata *Błyskawicę*. Treścią jej były tajemne odwiedziny *Miss o szkarłatnym spojrzeniu* u Mac Grady'ego. Bankier uznał, iż

sytuacja staje się zbyt poważna, by można było pozwolić Grady'emu na dalsze działanie, porozumiał się tedy z Hartrottem co do usunięcia detektywa, poleciwszy wpiern bratu *Błyskawicy* roztoczenie nad dziewczyną ścisłej opieki.

Von Hartrott przerażony był nie mniej od Maxa Kellermana. On wiedział to, czego nie wiedział bankier. Wiedział, iż Miss Reutt kocha Grady'ego. Wiedział to i odczuwał intuicją mężczyzny, którego miłość odrzucono i pogardzono nią. Do przerażenia przyłączyła się wściekłość i chęć zemsty nad szczęśliwym rywalem. A jeżeli miss Reutt wydała Grady'emu wszystkie tajemnice sprzysiężenia? Kobieta, która kocha, zdolna jest do wszystkiego, a Zuzanna niewątpliwie kochała tego przekłętą Grady'ego. Jeżeli tak było, jeżeli miss Reutt zdradziła...

Porucznik von Hartrott dumny był ze świetnej przeszłości swojej rodziny. Była to rodzina, która dała Niemcom wielu dzielnych oficerów. Dziad jego, major Eryk von Hartrott, w 1871 roku wkraczał z wojskami niemieckimi do okrytego hańbą klęski sedańskiej Paryża. Ojciec zginął śmiercią bohaterską na polach Marny w 1918 roku. Jeżeli o czym marzył porucznik Rudolf von Hartrott, to o sławnej śmierci dla dobra swej niemieckiej ojczyzny.

Lecz jeżeli schwycą go tu teraz -- jako szpiega, jako zbrodniarza prowadzącego terrorystyczną robotę -- czeka go niechlubna śmierć, śmierć na szubienicy albo elektrycznym krześle. I porucznik von Hartrott bał się nie śmierci, lecz jej hańbiącej formy i na samą myśl o tej możliwości łapał się za głowę i rzucając się po swej kryjówece, wołał do siebie: --- Po co zgodziłem się na tę robotę, czemu, chociaż dla Niemiec me życie poświęcam, nie mogę się tym chlubić?

Lecz wtedy przychodziło mu na myśl, że został w Stanach dla miss Reutt, dla miss Zuzanny, którą naprawdę kochał głęboko. Na myśl zaś, iż ta jego ukochana kobieta była u jego rywala po to, by dać mu swe oczy, usta -- może całą siebie -- porywała go rozpacz i, wyobrażając sobie ich pieszczoty, cierpiał tak, iż pragnął, by już raz wypełniło się przeznaczenie, choćby nawet nim miało być elektryczne krzesło lub stryczek.

Mimo tej duchowej męki nie tracił jednak hartu i wespół z Kellermanem omawiali wyczerpująco sprawę unieszkodliwienia Grady'ego. *Ślepy John* zatwierdził ich plan i już po trzech dniach wszystko było przygotowane, by gracz nad gracze wpadł w sidła sprzysiężenia.

*

Zegary nowojorskie wskazywały godzinę ósmą wieczór, gdy sir J. G. Batteman, naczelny redaktor wielkiego dziennika *World*, podniósł głowę znad biurka i, pomyślawszy przez chwilę, nacisnął jeden z białych guzików, których trzy rzędy widniały na podłużnej czarnej, ebonitowej płytce.

J. G. Batteman nacisnął czwarty guziczek drugiego rzędu miarowo, trzy razy, co miało znaczyć, iż reporter Nabuchodonozor Chac ma się niezwłocznie stawić przed oblicze swego szefa.

Wezwanie zwykłego reportera do naczelnego redaktora było rzeczą dość rzadką. Zazwyczaj wszystkie sprawy z pracownikami tej kategorii załatwiał szef biura reporterów. Toteż wezwanie do "samego" sir J. G. Battemana oznaczało dwie rzeczy: albo natychmiastową dymisję, albo wyróżnienie połączone z podwyżką gaży. Nic więc dziwnego, iż Nabuchodonozor Chac, gdy na jego biurku rozległ się dzwonek, przybladł nieco i ścigany docinkami kolegów podążył drobnym kroczeniem na korytarz, skąd winda miała go zawieźć na czterdzieste drugie

piętro drapacza chmur, gdzie urzędował naczelny redaktor *Worlda*.

Z racji dziwnego imienia mister Chaca nie należy sądzić, iż był to człowiek już stary i wyposażony w długą siwą brodę, człowiek podobny do historycznego króla Nabuchodonozora. Nic podobnego. Mister Nabuchodonozor Chac był miłym, skromnym młodzieńcem, przeważnie wesołym, a zawsze gładko ogolonym, który od krótkiego czasu pracował w *Worldzie* i którego największym marzeniem było stanie się wybitnym dziennikarzem nowojorskim.

Gdy sympatyczny młodzieniec wszedł, a raczej wsunął się do gabinetu groźnego redaktora Battemana, ów nie podniósł nań wcale oczu, lecz dalej studiował jakiś dziennik, nie podnosząc dalej oczu znad pisma, J. G. Batteman wskazał młodzieńcowi miejsce. Mister Chac zajął je, zatrzymując oddech w piersiach, by nie przeszkadzać w pracy szefowi.

Po dłuższej chwili sir Batteman złożył gazetę i spojrzął na reportera.

--- Tak dalej być nie może! --- ozwał się nagle basowym głosem i pięść jego, podniesiona groźnie, opadła ciężko na biurko.

Dymisja! --- pomyślał nieszczęsny Chac i skulił się na krzeselku.

--- Tak dalej być nie może! - powtórzył sir Batteman --- *USA News* i *New York Times* biorą nad nami górę.

--- W czym, panie szefie? --- zapytał nieśmiało reporter.

Batteman, po raz pierwszy spojrzął na niego.

--- W czym... hm... hm... W tej sprawie *Ślepego Johna*. Musimy naszym czytelnikom dać coś, po czym by wydawcy *USA News* umarli i popękali ze złości.

Naczelny redaktor *Worlda* myślał przez chwilę.

--- Pan się nazywa Chac, hm... hm?... Nieprawdaż? --- ozwał się znów do reportera.

--- Tak, mister Batteman! Nabuchodonozor Chac.

--- Nabuchodonozor Chac! Nabuchodonozor! Hm! Hm! To imię dość nieszczególne, jeśli wolno mi zauważyć! Ale i z tym imieniem, hm... hm... można być dobrym dziennikarzem!

Mister Chac w milczeniu pochylił głowę.

--- A więc mister Nabuchodonozorze Chac! --- ozwał się znów redaktor, wznosząc oczy ku niebu, jakby tam szukał natchnienia. --- Hm! Hm! Szef pańskiego działu dobrze mi mówił o panu. Otóż chcę panu dać możliwość odznaczenia się. Jeżeli się pan dobrze popisie, podniosę panu pensję o dużo dolarów, hm... hm, bardzo dużo dolarów, jeżeli mi wolno zauważyć.

Zwrot *jeżeli wolno mi zauważyć* był ulubionym powiedzeniem mister Battemana, który używał go przy każdej okazji.

--- Otóż, mister Chac! Trzeba, żeby pan zrobił jeszcze dzisiaj wywiad z tym Mac Gradym. Wie pan! Mieszka w hotelu *Metropolitan*, jeżeli pozwoli pan sobie zauważyć, na Amsterdam Avenue. Chcę mieć ten wywiad na dziesiątą trzydzieści wieczór! Za dwie i pół godziny. Pójdzie do pierwszego rannego wydania. Gdyby go pan me zastał teraz w hotelu, przyniesie pan rękopis jutro o dwunastej w południe! Hm! Hm! A drugi wywiad, mister Chac, zrobi pan...

Sir Batteman uśmiechnął się:

--- Z którymś z przywódców szajki *Ślepego Johna*! Hm! To dobry pomysł, jeżeli mi wolno zauważyć.

Nabuchodonozor Chac podskoczył na krześle:

--- Z kimś... z szajki *Ślepego Johna*!

--- Tak! --- odparł Batteman --- to będzie sensacja! Mac Intosha z *USA News* krew zaleje na miejscu!

--- Ależ to niemożliwe! Gdzie ja znajdę...

Batteman ramiona wznosił w górę:

--- Nie ma niemożliwych rzeczy dla dziennikarza! Hm! Hm! Jeżeli wywiad będzie sfalszowany, podniosę panu pensję tylko o dziesięć dolarów tygodniowo! Jeżeli będzie autentyczny... hm... hm... możemy mówić nawet o pięćdziesięciu dolarach tygodniowo i o studolarowej premii, jeżeli mi wolno zauważyć! Hm! Daję na to tydzień czasu, zważywszy, że rzecz jest trudniejsza!

J. G. Batteman odprawił nieszczęsnego reportera ruchem ręki, po czym nacisnął czerwony guzik na drugiej płytce. Było to wezwanie kierownika oddziału maszyn.

*

Mister Nabuchodonozor Chac opuścił redakcję *Worlda* z sercem przejętym rozpaczą. To czego żądał od niego sir Batteman, wydało mu się niepodobieństwem. Policja całych Stanów, ba, wszystkie prywatne biura detektywów pracowały bezskutecznie dotąd nad wykryciem szajki *Ślepego Johna*, a on, skromny reporter -- Nabuchodonozor Chac -- miałby uzyskać wywiad z przywódcą szajki... Czy może Batteman kpił sobie z niego? Nie! Mówił to zupełnie poważnie.

--- Niezawodnie chce się mnie pozbyć --- zakonkludował reporter --- i dlatego wymyślił mi zadanie, na którym muszę sobie połamać zęby.

Był wieczór wyjątkowo ciepły, jeden z ostatnich ciepłych wieczorów jesiennych. Chac dopiero w taksówce, która wiozła go do Grady'ego, spostrzegł, iż nie tylko nie wziął zarzutki, ale w zmartwieniu swoim zapomniał kapelusza. Zbierało się przy tym na deszcz i ciężkie chmury wypływać zaczęły na niebo nowojorskie. Chac był jednak tak dalece pogrążony w swych myślach, iż machnął jedynie fatalistycznie ręką, co miało oznaczać: *Czy będzie deszcz padać, czy nie, skompromituję się jednakowo!*

Szczęśliwym trafem Chac zastał Mac Grady'ego w hotelu. Grady nie lubił na ogół wywiadów dziennikarskich i uchylał się od nich zazwyczaj, tego dnia jednak nie miał nic nowego do roboty i nudził się po trosze, a pamiętny ostrzeżeń i gróźb miss Reutt nie wychodził zbyt często z hotelu. T też Grady wyjątkowo chętnie przyjął reportera, w czym grała również chęć powiadomienia członków sprzysiężenia z łamów *Worlda*, iż on, Grady, pewny jest bardzo bliskiej pomyślnej rozgrywki z szajką *Ślepego Johna*.

Młody reporter nie posiadał się z radości, że tak gładko poszła mu pierwsza część zadania, poleconego przez J. G. Battemana, lubo Mac Grady wiele spraw zbyć musiał powściągliwymi ogólnikami, nie mogąc zbyt swych kart odkrywać.

Po skończonym wywiadzie mister Nabuchodonozor Chac schował notatki do kieszeni i ozwał się z westchnieniem do Mac Grady'ego:

--- Dziękuję panu bardzo! Z tym drugim wywiadem nie pójdzie mi tak łatwo! Grady, tego interview i pan nie potrafiłby wykonać!

--- Kiedy ma odbyć ów trudny interview?

--- W najbliższym czasie! Ale przysięgam panu, Mac Grady, tego interview i pan nie potrafiłby wykonać!

--- Z kimże ma być ów trudny interview?

Chac ruszył rozpaczliwie ręką:

--- Mister Batteman polecił mi zrobić wywiad z jednym z przywódców *Ślepego Johna*...

Grady roześmiał się serdecznie:

--- To rzecz naprawdę niełatwa! Niestety! --- dodał, wstając --- nic w tym panu pomóc nie mogę! O, co to? Deszcz?

Jakoż faktycznie z chmur, które zebrały się nad miastem, lunęły naraz potoki wody. Wicher, który się zerwał, wzmógł jeszcze ulewę. Nawałnica srożyła się nad miastem.

Nabuchodonozor Chac podszedł do okna i patrzył przez chwilę na potoki deszczu, który pluskał na murach i brukach po czym spojrzął po sobie.

--- A to pech! --- zawołał, patrząc z kolei na zegarek --- za trzy kwadranse mam mister Battemanowi dostarczyć opracowany tekst wywiadu z panem, a tutaj leje jak z cebra, ja zaś jestem w samym ubraniu! Ani płaszcza, ani kapelusza!

Grady uśmiechnął się ponownie:

--- Zaprosiłbym pana na partię szachów, ale widzę że panu się śpieszy. Nie wychodzę nigdzie dziś wieczór, pożyczę więc panu mego płaszcza i kapelusza! Proszę, niech się pan nie krępuje --- dodał, widząc przeczący gest reportera --- zależy mi, by ten wywiad ukazał się jutro w rannym wydaniu!

Nabuchodonozor nie wahał się dłużej. Włożył płaszcz Grady'ego. Był trochę za wielki, lecz na to nie było rady. Na głowę nacisnął miękki kapelusz.

--- Dziękuję serdecznie, mister Grady! Odeślę panu to wszystko jeszcze dzisiaj wieczór!

Gdy reporter opuścił hotel, ulewa trwała w całej pełni. Nabuchodonozor Chac nacisnął kapelusz na oczy, postawił kołnierz płaszcza i jął brnąć po ociekającym wodą bruku, dążąc do najbliższego postoju dorożek samochodowych.

Nie widział, zajęty tą czynnością, jak od muru hotelowego budynku oderwał się cień jakiś i w ślad za nim począł dążyć.

Reporter dotarł wreszcie do postoju taksówek. Na Amsterdam Avenue było prawie pusto, auta tylko przemykały raz po raz. Ulewa przerwała na czas swego trwania żywy ruch uliczny. Reklamy handlowe rozbłyskały w regularnych odstępach czasu przez potoki padającego deszczu. Na skinienie ręki reportera podjechała skwapliwie jedna z taksówek.

Nabuchodonozor Chac nie widział znowu, jak idąca za nim postać skuliła się pod murem.

Wsiadł do taksówki i zatrzasnąwszy drzwiczki, rzucił adres:

--- Redakcja *Worlda*...

Równocześnie usłyszał przeciągły gwizd. Drzwi taksówki otworzyły się nagle z obu stron, błysnęły czarne lufy rewolwerów, które nakazały reporterowi milczenie i spokój.

Dwaj mężczyźni usadowili się obok niego. Taksówka ruszyła nagle z szaloną szybkością i pomknęła wśród deszczu opustoszałymi ulicami. Napastnicy zapuścili firanki u okien taksówki.

Równocześnie wpółmarły z trwogi mister Nabuhodonozor Chac usłyszał spokojny, szyderyczy głos:

--- Good evening, mister Grady! A więc nareszcie mamy pana!

ROZDZIAŁ XXVI

Jeden z napastników, mimo iż firanki samochodu zostały zasunięte, wtoczył porwanemu kapelusz na twarz, by nic nie mógł widzieć i orientować się w kierunku jazdy, drugi stwierdził równocześnie, czy porwany nie posiada broni przy sobie, po czym obaj zapewnili swą ofiarę, że przy próbie najmniejszego oporu przestrelą mu czaszkę i pozostawili go potem w spokoju, pozwalając ofierze oddawać się swym niewesołym myślom.

Auto mknęło wciąż z taką samą ogromną szybkością, skręcając z jednej ulicy w drugą. Nabuchodonozor Chac od chwili porwania nie odezwał się zresztą ani słowem.

Z początku był śmiertelnie przerażony, czemu nie trzeba się dziwić, bo mało ludzi w tej sytuacji pozwoliłoby sobie na nucenie szlagierów rewiiowych. W miarę jednak, jak jazda przedłużała się, Chac, dusząc się pod naciśniętym na nos kapeluszem, począł rozważać sytuację. Nie był tchórzem i gdy oszołomienie minęło, począł odczuwać pewne zaciekawienie właściwe dziennikarzowi.

Porwano go! To nie ulega wątpliwości! Dlaczego go jednak porwano. Usłyszał, jak zbiry dwukrotnie zwrócili się do niego, jako do Mac Grady'ego. A więc miano porwać Grady'ego i to była omyłka! Wykonawcy planu porwania Grady'ego zmyleni zostali niewątpliwie płaszczem i kapeluszem, które mu detektyw pożyczył.

Dobrze się stało! --- pomyślał reporter. --- Nic mi nie zrobią, a Grady ocalał.

Od chwili bowiem, gdy zrozumiał, że porwano go zamiast detektywa, stało się dla niego jasnym, iż sprawcami porwania są sprzysiężeni *Ślepego Johna*.

Nie dostarczę dziś Battemanowi wywiadu z Gradym --- myślał Chac. --- Ale kto wie, może przywozę mu wywiad z samym *Ślepym Johnem*...

I reporter uznał, że sprzyja mu szczęście, mimo że dwu drabów trzymało go za ręce i zimne lufy rewolwerów dotykały jego czaszki, grożąc śmiercią przy najmniejszej próbie oporu.

Tymczasem auto mknęło naprzód. Jazda trwała bardzo długo. Chac starał się zorientować w jakim kierunku jadą i jał liczyć ile razy auto skręcało na prawo, a ile na lewo, prędko jednak pomylił się i dał spokój.

Ciekawym, co się stanie --- pomyślał --- gdy przekonają się, że nie jestem Gradym? --- I doprawdy sam nie zdawał sobie sprawy, czy w pytaniu tym zawierało się więcej trwogi, czy też podnieconej, niezwykłością wypadku, ciekawości.

Wreszcie samochód stanął. Konwojenci reportera ujęli go pod ręce i raz jeszcze pod grozą śmierci zabraniając odchylenia kapelusza lub próby ucieczki, powlekli go do jakiejś bramy. Następnie polecono mu drapać się po jakichś starych drewnianych schodach.

Nabuchodonozor Chac potknął się kilka razy, co wywołało parę stuknięć i przekleństw konwojentów.

Weszli na koniec do pokoju oświetlonego mdłym światłem gazowym.

W pokoju tym znajdowało się kilka osób, które, znać, oczekiwały z napięciem wyniku ekspedycji.

--- Jest! --- ozwał się krótko jeden ze sprawców porwania.

--- Dobrze! --- odparł szorstki męski głos. --- Zdejmijcie mu ten kapelusz z głowy.

Rozkaz spełniono. Reportera olśniło na krótką chwilę światło, po czym ujrzał, iż znajduje się w niewielkim pokoju, który przypominał jakby laboratorium chemiczne. Mnóstwo słoików i słoï z napisami. Butelki, retorty, wagi...

Przy stole siedziało trzech mężczyzn. W jednym z nich, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, poznał reporter bankiera Kellermana, którego widział był już raz w życiu, w czasie swej

dziennikarskiej kariery. Obok niego siedział młody postawny mężczyzna. Trzeci z obecnych był Japończykiem, siwiejącym już, w wielkich rogowych okularach, które przysłaniały znaczną część twarzy. Japończyk ten ubrany był po europejsku.

W pokoju kręcił się jeszcze jeden Japończyk w długim kimonie.

Lecz Nabuchodonozor Chac przez krótki tylko moment mógł czynić te spostrzeżenia, bowiem przez ułamek sekundy trwające milczenie przerwał nagle zdumiony głos Kellermana:

--- To nie jest Mac Grady!

--- Co to jest! U diabła! Przecież to nie jest Mac Grady. --- zawołał, zrywając się z miejsca, porucznik von Hartrott, on to bowiem był młodym mężczyzną, siedzącym obok Kellermana.

Dwu drabów podeszło do dziennikarza i dopiero teraz poznało swą omyłkę.

--- Jak Boga mego! --- odezwał się jeden z nich z prostacka. --- Ten sam płaszcz, ten sam kapelusz, a facjata inna.

--- All devils! --- zaklął krótko drugi. --- Nabraliśmy się!

Siwy Japończyk pierwszy zorientował się w sytuacji:

--- Odejdźcie, bracia --- odezwał się do niefortunnych sprawców porwania Chaca --- zaczekajcie w dolnej izbie dalszych rozkazów. Ty zaś zostań, Ishimuro! --- zwrócił się do młodego Japończyka.

Odejdźcie bracia! --- powtórzył w myśli radośnie reporter --- a więc sprzysiężeni noszą nazwę braci!

Kellerman zwrócił się tymczasem, do niego:

--- Kto pan jest i dlaczego ma pan na sobie płaszcz Mac Grady'ego? --- zapytał ostro.

Chacowi sprawiała niewysłowioną rozkosz konsternacja obecnych, których uważał za czołowe osobistości spisku.

Odpowiedział słodko:

--- To ja raczej powinienem was, moi panowie, zapytać po co, wbrew woli mojej, porwaliście mnie tutaj! Wierzę, że stało się to również wbrew waszym zamiarom, chcieliście bowiem zawrzeć bliższą znajomość z Mac Gradyem!

--- Ale kto pan jest właściwie? --- zapytał spokojnym, równym głosem doktor Hayakawa.

--- Jestem reporterem *Worlda*. Robiłem wywiad z Mac Gradyem. Ponieważ śpieszyłem się do redakcji, a zaczął padać ulewny deszcz, Mac Grady był tak dobry, iż pożyczył mi swego płaszcza i kapelusza. Nazywam się Nabuchodonozor Chac!

--- Nabuchodonozor --- zaśmiał się Hartrott --- miło mi poznać człowieka o tak pięknym historycznym imieniu.⁽¹⁾

Zwrócił się do Kellermana:

--- To oczywista omyłka! Brat Grot i brat Czarny spisali się fatalnie. Cóż zrobimy z tym Nabuchodonozorem Chakiem?

Kellerman wzruszył ramionami:

--- Głupia historia mister Chac, przykro nam bardzo, ale musimy pana tu zatrzymać! Pan rozumie, że gdybyśmy pana teraz zwolnili...

Dziennikarz skinął głową:

--- Oczywiście! Za dwie godziny mielibyście panowie całą nowojorską policję na karku!

--- Otóż to, sam pan widzi, że nie możemy puścić pana wolno.

Kellerman zwrócił się do młodego Japończyka:

--- Ishimura! --- rzekł --- zajmiesz się oto tym człowiekiem. Czy pan ma jakie życzenia --- zwrócił się do Chaca.

--- Co czeka mnie właściwie --- wyjąkał dziennikarz.

--- Nic strasznego --- zostanie pan naszym więźniem!
--- Jak długo?
--- Nie wiem. Póki ten budynek będzie nam potrzebny. Może dziesięć dni, może miesiąc. Jeżeli będzie się pan zachowywał spokojnie, wolno panu będzie pomagać doktorowi Hayakawie w jego pracach.
--- Ależ ja mam robotę...
--- Panie! --- ozwał się kpiąco Hartrott. --- Cóż znaczy pańska pisanina wobec naszych celów.
--- Więc dobrze! Czy mogę prosić panów o dwie rzeczy.
--- Wolno panu prosić o wszystko, oczywiście w rozumnych granicach.
--- A więc chciałem prosić o wręczenie stenogramu z moim wywiadem redakcji *Worlda* z paroma słowami usprawiedliwienia oraz o odesłanie Mac Grady'emu tego kapelusza i płaszcza. Kellerman odebrał stenogram z rąk reportera i wręczył doktorowi Hayakawie.
--- Niech brat ocenzuruje.
Chac nakreślił tymczasem na kartce papieru list do redaktora Battemana.

Proszę nie niepokoić się o mnie i nie starać się dowiedzieć, gdzie jestem. Spełniam drugą część pańskiego polecenia. Być może zdobędę dla pana tak dalece pożądany wywiad.

Nab. Chac

Kellerman odczytał i skinął głową, po czym włożył list i stenogram do koperty i zaadresował do redakcji *Worlda*. --- Oto życzenie pana spełnione. Czy chce pan czego jeszcze? Dziennikarz zaryzykował:
--- Czy który z panów nie udzieliłby mi wywiadu --- odezwał się --- oczywiście bez podania swego nazwiska.
Przywódcy sprzysiężenia roześmieli się.
--- Nie przestaje pan być nawet teraz reporterem --- rzekł Hartrott. --- Pogadamy o tym, gdy będzie pan grzeczny. Doktorze Hayakawa, teraz damy na sen naszemu bohaterowi. Siwy Japończyk w rogowych okularach podszedł do stołu i wypełnił szprykę do zastrzyków gęstym, białawym płynem.
--- Niech pan odwinie rękaw koszuli! --- rzekł łagodnie do reportera. --- To nic strasznego! Mały dożylny zastrzyk *mortuiny*, po którym będzie pan spał kilkanaście godzin.
Wbił Chacowi igłę na przegubie łokcia i nacisnął tłoczek. Po iniekcji reporter usiadł przy stole. Rozmawiał jeszcze z obecnymi, lecz narkotyk działał piorunująco i wkrótce twarze Kellermana, Hayakawy, Hartrotta i Ishimury poczęły zasnuwać się mgłą i zapadł w ciężki głęboki sen.
W dwie godziny potem jakiś człowiek doręczył redakcji *Worlda* list od Nabuchodonozora Chaca. W liście tym był stenogram wywiadu z Mac Grady. Równocześnie portier hotelu *Metropolitan* odebrał paczkę, która przeznaczona była dla Mac Grady'ego, a zawierała płaszcz i kapelusz, które reporter pożyczył od detektywa.

⁽¹⁾ Nabuchodonozor -- imię noszone przez kilku władców babilońskich.

ROZDZIAŁ XXVII

I znowu był ponury jesienny wieczór, który tak szybko przechodzi w noc. I znowu do opustoszałego rzekomo domu w portowej dzielnicy -- a było to na drugi dzień po uwięzieniu w nim Nabuchodonozora Chaca -- przemykały się ciemne postacie, szybko, niepozornie i tajemniczo.

Bracia schodzili się znów na naradę.

Narada tym razem była szczególnej wagi i nie chodziło tu bynajmniej o sąd nad zdrajcą lub o dobranie do walczącego grona nowego brata w miejsce tego, który poległ, spełniając zadania związku *Ślepego Johna*.

Narada była szczególniejszej wagi. Nadejść bowiem miały już niedługo wypadki kulminacyjne, które w myśl marzeń Kellermana, Hartrotta, Zuzanny Reut, Hayakawy i tego wielkiego nieznanego, który nazywał się *Ślepym Johnem*, uwieńczyć miały aureolą zwycięstwa dotychczasową działalność sprzysiężenia.

Braci było dużo. *Ślepy John* bowiem z całego terenu Stanów Zjednoczonych wezwał przewodniczących trójek bojowych sprzysiężenia, celem wydania rozkazów na ową największą chwilę.

Sala posiedzeń była, jak zawsze, mroczna, okiennice pozamykane szczelnie. Bracia przybyli w komplecie. Było ich trzystu trzydziestu trzech, ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych, od Dakoty po Florydę, od Massachussets po

Kalifornię.

Przybyli, tak jak im polecono, w maskach, które zajmowały pół twarzy i rysów braci nie pozwalały dojrzeć wzajemnie.

Ślepy John jednej tylko obawiał się rzeczy. Obawiał się zdrady i dlatego w tym kierunku przedsiębrano zawsze jak najdalej idące środki ostrożności.

Dnia tego przywódcy sprzysiężenia przybyli bardzo wcześnie. Za prezydialnym stołem zasiedli doktor Hayakawa, który jeden nie nosił maski, lecz oczy za ogromnymi ukrywał okularami, *Miss o szkarłatnym spojrzeniu*, brat Pierwszy i brat Krezus.

Pod mianem brata Pierwszego ukrywał się Rudolf von Hartrott, bratem Krezusem był człowiek, który finansował całe sprzysiężenie -- bankier Max Kellerman.

Brat Pierwszy zagaił obrady, przewodniczył bowiem dnia tego.

--- Bojowcy Sprzysiężenia *Ślepego Johna*! --- ozwał się donośnym miłym swym głosem, obejmując wzrokiem zbitą ciżbę braci. --- Wezwani zostaliście, do stawienia się tutaj z polecenia najwyższej władzy organizacji; wezwał was tutaj *Ślepy John* -- praca bowiem sprzysiężenia zdaje się dobiegać końca i odebrać macie, jako dowódcy naszych trójek bojowych, ostatnie instrukcje. Donoszono nam ze stron wielu, iż gdzieniegdzie w szeregach braci zakradł się wąz zwątpienia. Rozgłaszano podobno wśród was kłamliwe wieści, iż *Ślepy John*, ten *Ślepy John*, którego z was nikt nie widział, który z daleka nam i wam rozkazuje -- iż ten *Ślepy John* jest wymysłem naszym po to uczynionym, byśmy mogli dla naszych rozkazów większy sobie posłuch u was zapewnić.

Nadchodzi decydująca chwila. Od waszego hartu zależy, by w tej decydującej chwili Stany jak największą poniosły porażkę. Nie może być wśród was wątpiących! Dlatego to *Ślepy John*, który naprawdę istnieje i jest silny i potężny, ukaże się zaraz przed wami, sam do was przemówi, sam wyda polecenia!

Von Hartrott usiadł, na sali zaś, jak w ulu brzęczenie, uczynił się gwar wśród zebranych. Bracia spiskowi poruszeni byli wiadomością zwiastowaną im przez brata Pierwszego. *Ślepy John*, owa mityczna dla nich postać, miała się znaleźć za chwilę między nimi, miała przemówić

do nich!

Gwar ten ustąpił jednak rychło ciszy głębokiej. Brat Krezus wstał i udał się do małego przyległego pokoiku. Za chwilę ukazał się znów, wskazując komuś drogę. Oczy -- trzysta trzydzieści trzy pary oczu -- zwróciły się w tę stronę. Za Kellermanem wszedł i podszedł do stołu -- wielki nieznan.

Ślepy John -- wódz organizacji.

Był to człowiek ogromnego wzrostu, ubrany w szare marynarkowe ubranie. Siwiejące włosy były krótko przystrzyżone.

Na twarzach braci pod maskami, odbił się wyraz rozczarowania. *Ślepy John*, jak i oni miał na twarzy maskę, która oblicza widzieć nie pozwalała.

Lecz wnet przestali na to zważać. *Ślepy John* zaczął mówić. Głos miał wspaniały, głębokim basem grzmiący głos Stentora⁽¹⁾, głos, który, jak dźwięk dzwonu, rozlegał się po akustycznej sali.

Ślepy John mówił. Dziękował braciom, Niemcom i Japończykom, za trud śmiercią grożący, jakiego się podjęli dla dobra swych krajów. Pozdrowiał ich w imieniu rządów Niemiec i Japonii. Rządy te liczyły, że w momencie decydującej wojennej rozgrywki, która nastąpić miała -- sprzysiężenie zada cios potężny znieawidzonej Ameryce.

Ślepy John mówił. Mówił o dalekich Niemczech, które były, są i będą ogniskiem nauki i geniuszu wszelkiego. O Niemczech, gdzie życie społeczne i rodzinne jest wzorem. O Niemczech, którym Bóg dał wielką misję panowania nad światem, w imię jego dobra i szczęścia. Mówił o cywilizacji niemieckiej -- najwyższej cywilizacji na ziemi. A potem mówił o Japonii. O kraju, gdzie wiecznym śniegiem okryty jest wyniosły szczyt Fudżijamy, o kraju, gdzie wiosną kwitną sady białych wiśni, o kraju, gdzie żyją słodkie czarnowłose gejsze, *muśme*⁽²⁾ do cudownych motyli podobne. Mówił o Japończykach, nazywając ich Niemcami wschodu, Germanami żółtej rasy. Mówił, iż mają do spełnienia tę samą misję wśród rasy mongolskiej, jaka przypadła Niemcom wśród rasy białej. A wreszcie, na końcu, ów gracz doskonały, parę słów poświęcił Ameryce -- krajowi, gdzie brudny kwitnie materializm, krajowi, gdzie tygrysy dolara siedzą przed kiesami pełnymi złota. Mówił o Ameryce, kraju brutalnego materializmu, gdzie idealizm wszelki szychem był tylko odświętnym.

Porwał słuchaczy siłą temperamentu i swadą. Choć miał włos siwiejący, mówił tonem młodzieńca. Gdy skończył okrzykiem *Biada Ameryce!*, bracia porwani zapałem odpowiedzieli okrzykiem:

--- Biada Ameryce!

Następnie *Ślepy John* od hymnu przeszedł do prostej opowieści.

Pomimo wszelkich starań ze strony amerykańskich władz, otrzymał *Ślepy John* nowe wiadomości.

Przywiózł je, dobrze zapłacony, marynarz angielskiego okrętu handlowego. Wiadomości te głosiły, iż superzeppelin niemiecki w dniu 13 października w nocy znaleźć się miały u amerykańskich wybrzeży, wioząc śmiertcionośne bomby thanatoidowe. Równocześnie okręty japońskiej floty wielkiego morza dokonać miały próby sforsowania amerykańskiej blokady i dokonać bombardowania amerykańskich wybrzeży. Chodziło więc o to, by w dniu poprzedzającym atak superzeppelinów sprzysiężenie dokonało wielkiej akcji dywersyjnej, która by wzbudziła bezgraniczną panikę w całych Stanach. Przedtem jeszcze trzeba było dokonać niezmiernie trudnego zadania. Admiralicja Stanów Zjednoczonych kończyła bardzo pomyślne próby z zastosowaniem lewisitu do dalekonośnych pocisków morskich. Zastosowanie pocisków armatnich z lewisitem w walce na morzu zwiększałoby ogromnie szanse zwycięstwa Stanów Zjednoczonych. Trudnym tedy zadaniem, jakie przed owym decydującym ciosem miało być

dokonane -- miało być wysadzenie w powietrze albo podpalenie wielkiej fabryki lewisitu -- jedynej, jaką miały Stany Zjednoczone. Fabryka ta mieściła się w stanie Texas, z dala od Jefferson City i tworzyła osobny okręg zwany *Lewisitown*. Bracia, którzy mieli się podjąć zniszczenia *Lewisitown*, nie mogli mieć nadziei na wyjście cało z tej sprawy.

Na koniec *Ślepy John* wyjaśnił, co ma być owym decydującym ciosem, ową straszną akcją dywersyjną.

--- W dniu 13 października o godzinie dwunastej w południe, w biały dzień --- mówił spokojnie wódz sprzysiężenia --- na terenie Stanów Zjednoczonych wyleci w powietrze tyle dworców kolejowych, ilu was jest tu bracia na sali. Wylecą w powietrze trzysta trzydzieści trzy dworce!

Mimo że było to powiedziane zupełnie swobodnie, tak jak gdyby *Ślepy John* mówił o rzeczach potocznych -- potworność i ogrom tego zadania wstrząsnęły obecnymi. Nie było jednak czasu do namysłu.

Ślepy John wydobyl jakiś arkusz z kieszeni i ozwał się głosem nawykłym do rozkazywania:

--- Odczytam wam nazwy miast, gdzie na dworce kolejowe mają być poczynione zamachy. Każdy z was wie, na mocy dawnych instrukcji, w którym z miast ma działać.

Podniósł papier do otworów maski, był bowiem krótkowidzem widocznie, i wśród głębokiej ciszy zebranych ją czytać nieco monotennie:

--- Nowy Jork, Filadelfia, Trenton, Jersey, Baltimore, Saint Louis, Rochester...

Żółte światło świec i gazowych lamp rzucało niesamowite cienie na ściany olbrzymiej sali. Na dworze rozpluskał się drobny deszcz jesienny. W ciszy złowrogo dźwięczały nazwy miast odczytywane miarowo, nieco monotennie, przez tego, który rzucił rękawicę potężne Stanów Zjednoczonych.

--- Detroit, Boston, Pittsburg, Chicago, Cleveland...

Gromada zebranych braci słuchała w kamiennym milczeniu. Nazwy padały jak uderzenia biczem.

--- San Francisco, Los Angeles, Richmond, Washington, Plymouth...

Odczytanie trzystu trzydziestu trzech nazw trwało bardzo długo. Wreszcie *Ślepy John* skończył. Złożył papier, z którego odczytywał nazwy miast, gdzie 13 października w południe rozleć się miał huk detonacji piroksylinowych⁽³⁾ bomb, po czym ozwał się:

--- Nikomu nie daję specjalnych poleceń. Każdy musi działać zależnie od lokalnych warunków i każdy pamiętać musi o zwycięstwie. Po zakończeniu zebrania brat Krezus wypłaci każdemu z was, bracia, po pięćset dolarów na wydatki związane z waszą akcją. A teraz druga sprawa. *Lewisitown* musi być zniszczone. Pożarem, wybuchem, czym kto chce, ale zniszczone być musi. I to jak najprędzej! Ci jednak, którzy podejmą się tego zadania niech nie mają nadziei wyjść obronną ręką z tej sprawy. Wiecie wszyscy, co to jest *Lewisitown*! Nie wyznaczam nikogo, proszę, by dwaj bracia wystąpili na ochotnika. Przypominam jednak raz jeszcze -- ofiarą, jakiej od nich żądamy, będzie zapewne ofiara życia

Wśród głuchej ciszy wystąpiło sześciu braci na ochotnika.

Ślepy John nachylił się ku bratu Pierwszemu i ku *Miss o szkarłatnym spojrzeniu* i przez chwilę naradzał się szeptem.

--- Dziękuję wam bracia za zapal i poświęcenie --- rzekł wreszcie --- nie sześciu, a dwu braci ma się udać do *Lewisitown*. Wybierzemy spośród was brata Grota i brata Błyskawicę. Zgłoszą się jutro po instrukcje do brata Pierwszego. Szmer uznania powitał ten wybór.

--- Biada Ameryce! --- zawołali obaj wybrańcy, podnosząc ręce w górę.

--- Biada Ameryce! --- powtórzyli chórem wszyscy bracia.

Zebranie zbliżało się ku końcowi.

⁽¹⁾ Stentor -- herold w wojsku greckim pod Troją, słynny z potężnego głosu; bohater *Iliady* Homera.

⁽²⁾ *muśme* (jap.) -- młoda dziewczyna.

⁽³⁾ piroksylna (nitroceluloza; bawełna strzelnicza) -- materiał wybuchowy.

ROZDZIAŁ XXVIII

W odległości dziesięciu kilometrów od Jefferson City w stanie Texas, w odludnej dzikiej okolicy, wznosiło się dziwne miasto.

Miasto, jeżeli w ogóle miastem można było nazwać ów dziwny kompleks czworograniastych budynków, budynków większych i mniejszych, budynków świecących z dala czerwienią nietynkowanej cegły.

Ów kompleks budynków otoczony był wysokim murem i jedyna tylko wiodła do niego brama.

Na blankach tych murów nieustannie czuwały warty. Patrole wojskowe nieustannie krążyły wokół murów.

Ludzie, którzy chcieli się dostać w obręb tego dziwnego miasta, przekonywali się, że daleko łatwiej dostać się do Białego Domu i zobaczyć się z prezydentem Smithem -- niż przekroczyć najeżoną bagnetami bramę.

Do miasta tego rzadko kto przybywał. Jedynie trzy razy w tygodniu, w nocy, przybywały z Jefferson City automobile ciężarowe, przywożąc prowiant dla mieszkańców tej dziwnej osady i zabierając w zamian jakieś niesamowite ciężkie przedmioty, które nader starannie pakowano.

Owo niesamowite miasto było to Lewisitetown. Ciężkie, dziwacznej kształtu przedmioty, które samochody przybyłe z Jefferson City zabierały, były to bomby i pociski napełnione lewisitem.

Lewisitetown, mieszczące w sobie fabryki chemiczne wyrabiające ów straszliwy gaz, było istotną fortecą.

Robotnicy, którzy podejmowali się tam pracy, musieli być kawalerami i składali przyrzeczenie, iż nie będą próbowali opuścić osady, dopóki nie skończy się wojna. Takie same przyrzeczenia składać musieli urzędnicy i inżynierowie fabryk chemicznych. Lewisit przygotowywano w ulepszonej formie, według nowej formuły chemicznej, która miała i musiała zostać tajemnicą do końca wojny z Niemcami i Japonią.

O ile jednak trudno było dostać się w mury Lewisitetown, o tyle niemożliwą rzeczą było wyjść z niego.

Dla tego, kto wszedł w tym czasie w mury kompleksu fabryk zwanych Lewisitetown, istniała tylko jedna droga wyjścia, drogą tą była śmierć. W Lewisitetown obowiązywały, w razie zdrady lub niesubordynacji, sądy wojskowe, których wyroki zatwierdzał gubernator miasta, pułkownik Lee.

Dnia 9 października wysiadło na dworcu w Jefferson City dwu ludzi, którzy natychmiast wypytywać się poczęli o drogę do Lewisitetown. Zawiadowca stacji, do którego się skierowali, skinął głową na znak, że już wie, o co chodzi.

--- Panowie do Lewisitetown? Już wiem! To pewne na miejsce owych dwu robotników, którzy zmarli w ubiegłym tygodniu na skutek zatrucia?

Przybyli skinęli głowami. Odziani byli w bluzy robotnicze i prezentowali się dobrze. W rękach nieśli małe walizeczki.

--- Tak, właśnie po to tam zdążamy! Przybywamy z samego New Yorku!

Urzędnik pokiwał głową.

--- Kawał drogi, nieprawdaż! A w Lewisitetown praca ciężka i prawie że niewola!

Jeden z przybyłych uśmiechnął się.

--- Praca nam zwyczajna! --- rzekł. --- Przez szereg lat pracowałem w kopalniach w Pittsburgu. Hej! Praca tu nie będzie cięższa, a żyć trzeba!

Drugi robotnik potakiwał w milczeniu.

--- Samiśmy na świecie, to nam i wszystko jedno! --- wycedził wreszcie.

Zawiaadowca stacji wskazał im drogę, radząc, by wzięli samochód.

--- Nie trzeba! --- odrzekli, ruszając ramionami. --- Piękny dzień! Warto się przejść trochę!

I poszli. Przez drogę rozmawiali o tym i owym. Dopiero gdy wyszli daleko za miasto, niższy ozwał się:

--- Nie pierwszyżna mi, a przecież się denerwuję! Co będzie, gdy się nie uda?

Wyższy rzucił niedopałek papierosa:

--- Co się ma nie udać! --- rzekł. --- Papiery mamy w porządku. *Ślepy John* dostarczył nam takich, że i diabeł nie pozna, że to fałszywe. Byle się dostać do środka!

Mówiący urwał i zamyślił się:

--- Ale to śmierć pewna! --- rzekł. --- Jeżeli nie zginiemy przy wybuchu, rozstrzelają nas, jak amen w pacierzu!

Brat Grot uśmiechnął się. Na jego suchej, niemiłej twarzy osiadł wyraz fanatyzmu.

--- Co mi tam! --- odparł. --- Nikogo nie mam na świecie! Pomyślcie, bracie Błyskawico, nikogo. To i co moje życie znaczy, skoro fabryczkę jankesom pošlę trochę w powietrze! Ha! Ha! Śmiał się nieprzyjemnie i tak obleśnie, że ów drugi wzdrygnął się.

--- Pamiętam, w Ohio, w Junction City --- mówił dalej brat Grot --- wprowadziliśmy dwa ekspresy na jeden tor. Zderzyły się na samiuteńkim dworcu. Pięćdziesięciu jankesów pošło sobie do wieczności, a stu trzydziestu było mocno poharatanych! Dobra była robota, czysta! Was jeszcze wtedy u nas nie było!

Brat Błyskawica przypomniał sobie straszliwą katastrofę w Junction City, która pociągnęła za sobą ogromne ofiary. Spojrzał z odrazą na swego towarzysza. Ten człowiek był wielokrotnym mordercą.

Od tej chwili nie mówili nic przez całą drogę. Dopiero gdy przed nimi wyrosły czerwone budynki Lewisetown, brat Grot wskazał je ręką.

--- Oto nasz cel! --- rzekł krótko.

Gdy podeszli ku budynkom, oderwał się od murów osady patrol wojskowy i podążył naprzeciw.

Podoficer grzecznie, ale stanowczo, zwrócił się do nich z zapytaniem, w jakim celu zbliżają się do murów *miasta gazów*.

Sprzysiężeni okazali papiery, po przejrzeniu których podoficer uśmiechnął się uprzejmie.

--- A, to panowie Farther i O'Lawry! Nasi nowi pracownicy w miejsce Stetsona i Cromarty'ego. Bardzo dobrze! Proszę za mną!

Patrol otoczył dwu robotników i skierował się z nimi ku bramie wiodącej do zabudowań fabrycznych.

U wejścia podoficer złożył jakiś meldunek porucznikowi, który wyrósł przed nimi nagle jak z pod ziemi.

Przeprowadzono obu nowych robotników do małego blokhauzu, gdzie dokonano gruntownej rewizji ich rzeczy oraz zawartości kieszeni.

Po tej ceremonii polecono im przebrać się w strój mocno przypominający ubiór więzienny. Brat Grot z ogromnym niezadowoleniem stwierdził, iż ubranie to nie miało wcale kieszeni.

Następnie dwaj żołnierze z sierżantem zaprowadzili Farthera i O'Lawry'ego do gabinetu gubernatora, pułkownika Lee.

Stary, siwy wojak podniósł głowę znad biurka i przenikliwym wzrokiem objął obu

nowoprzybyłych. Skrupulatnie przejrzał papiery, które i tak przedtem przeglądał był adiutant. Ekspertyza ta wypadła dobrze.

--- Czy wiecie --- zwrócił się do robotników --- że nie możecie obecnie opuścić już okręgu fabryk chemicznych do chwili zawieszenia broni?

--- Wiemy! --- odparli.

--- Gotowi jesteście złożyć przyrzeczenie na wierność Stanom Zjednoczonym, które ja tutaj reprezentuję?

--- Tak, panie pułkowniku!

--- Powtarzajcie więc za mną...

Lecz zaledwie pułkownik wypowiedział pierwsze słowa roty przysięgi, drzwi otworzyły się nagle i wszedł przez nie młody oficer z kartką papieru w ręce.

Pułkownik Lee uczynił gest zniecierpliwienia, lecz wyraz twarzy młodego porucznika był tak dziwny, iż zapytał:

--- Co się stało, Macpherson?

--- Telefonogram z Washingtonu!

Pułkownik przebiegł oczami treść, dopiero co odebranej depeszy telefonicznej i nie zmieniając tonu głosu, ozwał się do nowoprzybyłych:

--- Panowie pójdziecie przed sąd wojenny!

Równocześnie w rękę adiutanta i porucznika. Macphersona błysnęły rewolwery.

--- Pod sąd wojenny? --- zapytał zwolna *Grot*.

--- Tak! Pod sąd wojenny! Oto treść depeszy z Washingtonu.

Pułkownik Lee odczytał:

--- *Uwaga! Robotnicy Farther i O'Lawry zostali uprowadzeni w tajemniczy sposób. Spodziewać się należy zamachu!*

--- Ręce do góry! --- rozkazał Macpherson.

Brat *Grot* podniósł ciężko powieki. Dopiero teraz zrozumiał, iż wszystko jest stracone, iż zadania zleconego przez *Ślepego Johna* nie wypełni, iż misternie zbudowany plan zamachu zawiódł.

Spojrzał na brata *Błyskawicę*. Towarzysz jego stał wyprostowany, podnosząc ręce na wezwanie.

Śmierć! Śmierć! --- zamajaczyło mu w głowie.

I naraz -- a trwało to ułamek sekundy -- skupił się w sobie, kark wcisnął w ramiona, pochylił głowę, jak to czyni rozwścieczony byk, chcąc nabić na rogi pikadora z koniem.

--- Ręce do góry! --- powtórzył groźnie Macpherson, celując w niego, podczas gdy pułkownik Lee oparty rękoma o biurko stał nieporuszony jak groźny Bóg zemsty i kary.

Brat *Grot* unióśł nieco ręce w górę i nagle, ujawszy stojące o krok od niego krzesło, runął jak burza na Macphersona.

Adiutant strzelił, lecz w zdenerwowaniu zadrżała mu ręka. Tymczasem brat *Grot*, widząc, iż zginie i chcąc drogo sprzedać swe życie, obaliwszy Macphersona jał szaleć po całym gabinecie. Otworzyły się drzwi. Rozległy się szybkie kroki nadbiegających.

W zamieszaniu, jakie powstało, padło kilka strzałów i nie wiadomo od którego z nich brat *Grot* padł bezwładnie na ziemię.

Na drugi dzień prasa Stanów Zjednoczonych doniosła krótko, iż wykryto i aresztowano w Lewisitown zamachowców, którzy mieli za zadanie zniszczyć fabrykę lewisitu. Szczegółów wykrycia zbrodniarzy dzienniki nie podawały, poprzestając jedynie na stwierdzeniu, iż jeden z nich zginął zastrzelony za czynny opór, jaki stawiał w chwili aresztowania, drugi wyrokiem sądu wojennego został na śmierć skazany.

ROZDZIAŁ XXIX

Dyrektor Banku Amerykańsko-Kanadyjskiego podpisał kilka przyniesionych mu z sekretariatu listów, sięgnął po szklankę zawierającą herbatę z koniakiem, jego ulubiony napój, po czym zwrócił się do woźnego, który od chwil kilku stał nieporuszenie z kartą wizytową na tacy.

Max Kellerman ujął w rękę tę kartę, przeczytał i naraz wzdrygnął się jakby od ukąszenia żmii.

--- Mac Grady! --- wyszeptał. --- Czego on chce?

--- Tak, to ten Anglik, który był już raz tutaj --- odparł stary sługa.

--- Czy on jest sam? Zupełnie sam? --- zapytał, opanowując drżenie głosu.

--- Sam, panie dyrektorze! --- odpowiedział woźny, dziwiąc się nieco temu pytaniu.

Kellerman westchnął ciężko.

--- Proś go więc!

Gdy zaś woźny znikł, ozwał się szeptem do siebie.

--- Dzięki Bogu, przyszedł jeszcze bez policji!

Na twarzy bankiera odbiła się zimna zawziętość, która jednak ustąpiła miejsca uprzejmemu uśmiechowi, gdy tylko Mac Grady w drzwiach się ukazał.

--- A, mister Grady! --- ozwał się swobodnie, podchodząc do niego. --- Dawno już nie widziałem pana!

--- Ja pana również! --- odparł uprzejmie detektyw, dystyngowanym ruchem zdejmując z ręki rękawiczkę.

Ubrany był w nowiuteńki garnitur i jaśniał elegancją, w czym stanowił kontrast z bankierem, który ubierał się dość niedbale.

--- Przejeżdżałem przez Wall Street --- ciągnął dalej Mac Grady --- i skusiło mnie by wstąpić do pana.

Bankier przeklął w duszy tę siłę, która skusiła detektywa do odwiedzin.

--- Wie pan --- mówił dalej detektyw, dziwnie rozmowny wbrew swemu zwyczajowi --- iż asystowałem dziś rano niezmiernie przykrej ceremonii.

--- Przykrej ceremonii?

Mac Grady rozejrzał się badawczo po pokoju i rozsiadł się w wygodnym fotelu.

--- Tak! Gubernator stanu zaprosił mnie, bym asystował przy wykonaniu wyroku śmierci. Tracono Nicka Forstera, tego, co to zamordował dziennikarza Helquista! To krzesło elektryczne to rzecz okropna. Czy widział pan kiedy, jak tracą człowieka?

Bankier drgnął i podniósł ciężkie powieki na Grady'ego.

--- Nigdy nie byłem przy czymś podobnym! Nerwy moje są zbyt słabe!

Mac Grady zniżył głos:

--- Jeżeli nerwy świadków odmawiają posłuszeństwa, cóż musi się dzieć z delikwentem! Jestem zasadniczym przeciwnikiem kary śmierci i dlatego badam te sprawy. Napisałem nawet o tym przed paru laty broszurę wydaną przez Nelson Library w Londynie. Uważam, że każdy skazaniec powinien być ułaskawiony, choć obecnie zaczynam wątpić w słuszność moich przekonań.

Kellerman ujął w rękę grube cygaro i jął je obcinać z uwagą. Czuł, że wizyta Mac Grady'ego nie oznacza nic dobrego i przeczuwał, że detektyw chce nadać określony kierunek rozmowie. Postanowił mieć się na baczności.

--- Zniesienie kary śmierci --- rzekł --- to piękna idea. Czemuż miałby pan zmieniać swe zapatrywania w tej sprawie.

--- Bowiem nabrałem przeświadczenia, iż są ludzie, którzy na karę śmierci zasługują!

--- ??

--- Członkowie szajki *Ślepego Johna* --- ozwał się twardo Grady.

Cygaro, które obcinał bankier, wyslizgnęło mu się z ręki i upadło na biurko. Kellerman próbował się uśmiechnąć: --- Co za niezgrabiasz ze mnie! Zgadzam się z panem, Mac Grady, ci ludzie to wielcy zbrodniarze!

--- Czemu pan tedy daje tym zbrodniarzom pracę!

--- Ja? pracę?

Grady uśmiechnął się słodko:

--- Oczywiście, nie wie pan o tym z pewnością. Mowa tu o jakimś Nadlu. Wszakże pracował taki u pana. Zdaje się w wydziale buchalterii!

Małe kropelki potu wystąpiły na czoło bankiera:

--- Człowiek ten pracował u mnie faktycznie, ale zupełnie się nie nadawał. Dlatego stracił posadę.

--- Mówiłem też od razu, iż pan o tym nie wiedział, że Nadel jest członkiem sprzysiężenia! Znam pana od tak dawna, iż powinienem był domyślić się tego od razu!

Detektyw prowadził atak całą parą, nie spuszczać przy tym oczu z Kellermana, jak wąż pyton z oczu swej ofiary.

Kellerman nic nie odpowiedział na słowa Grady'ego. Miał wrażenie, że jakiś potworny pająk otacza go więzami nierozzerwalnej pajęczyny.

--- Bo widzi pan --- przemówił znów Grady --- w życiu to jest tak. Spotykamy kogoś i mówimy sobie: ja już tę twarz gdzieś widziałem! Ale gdzie? I nie możemy sobie przypomnieć, lubo umysł nasz męczy się tą zagadką. A wreszcie pewnego pięknego dnia, gdy o tym wcale już nie myślimy -- bęc! Przypominamy sobie, gdzieśmy widzieli danego człowieka i co więcej przypominamy sobie, że winniśmy mu dług wdzięczności.

Bankier pracował gorączkowo myślą. Nie mógł zorientować się, skąd cios padnie, choć wiedział, że należy go oczekiwać.

--- Widziałem pana pierwszy raz, wychodząc z przyjęcia u prezydenta! --- zastrzegł się.

Grady ściągnął brwi w namyśle:

--- Otóż to! I ja myślałem tak samo! Dopiero dzisiaj, wracając z tej egzekucji przypomniałem sobie. Widzieliśmy się po raz pierwszy znacznie wcześniej.

Twarz bankiera zadrgała.

--- Pan myli się, Mac Grady! Ja nic takiego sobie nie przypominam!

--- A jednak tak było! Widzieliśmy się na pokładzie *Olympica*. Tylko nazywał się pan wówczas pastor Middleton i nosił strój duchownego.

--- Ja? Pan... się myli...

Mac Grady uczynił szybki przeczący ruch ręką:

--- Wykluczone! Stop, mister Kellerman! Niech się pan nie tłumaczy. Kwestia ubioru, czy nazwiska jest kwestią obojętną. Nie suknia zdobi człowieka, lecz człowiek suknię! Wiem, że gdybym tu przyszedł do pana w stroju bramina, nie wzięłby mi pan tego ze zła!

--- Ja wcale nie byłem na *Olympicu*.

Detektyw pokiwał głową, jak człowiek, któremu opowiadają jakąś nieprawdopodobną historię.

--- Czyżby pan już zapomniał, mister Kellerman. Mam wobec pana dług wdzięczności, bowiem pan swym zeznaniem na *Olympicu* pomógł mi znaleźć mordercę Carside'a. Pan przecież widział Dreamera w korytarzu okrętowym wiodącym do kajuty komandora!

--- Nie widziałem żadnego Dreamera!

Twarz Grady'ego stała się surowa:

--- A! Nie widział pan Dreamera! Gotów jestem uwierzyć, że Dreamer zginął niewinnie, że pan fałszywie świadczył przeciw niemu! Musiałbym w takim razie zrobić doniesienie...

--- Dreamer zabił Carside'a!

Detektyw rozłożył ręce:

--- Jeżeli pan twierdzi, że nie był pan na *Olympicu*, że nie znał pan Dreamera, skąd może pan wiedzieć, że Dreamer zabił naprawdę?

Oblicze bankiera było szare, jak popiół cygara, które palił. Ten przeklęty Anglik pakował go w co raz większą matnię.

Nastąpiło chwilowe milczenie, coś na kształt przerwy między dwoma ruchami meczu bokserskiego. Zapaśnicy nabierali sił. Detektyw gotował się do nowego nokautu.

--- Mister Kellerman, czy zna pan generała Reutta? --- zapytał nagle.

Bankier pokiwał przecząco głową:

--- Nie znam go zupełnie!

--- To ciekawe! Zna pan jednak na pewno jakąś Alicję Irving!

--- O tyle, że ma konto w naszym banku.

--- Wiem! Numer 81725! Piękny numer! Powiem tedy panu niespodziankę. Alicja Irving...

--- ??...

--- Jest córką generała Reutta!... Szkoda, że znając córkę, nie zna pan ojca. Bardzo godny człowiek!

Bankier dotknął palcami szyi. Był nieco apoplektyczny, kołnierzyk zaś dusił go niesłychanie. Wstał, podszedł do okna i uchylił je: --- Duszno tu w pokoju! --- wykrztusił.

Po czym z nagłym wybuchem zwrócił się do Mac Grady'ego:

--- Czego pan chce ode mnie? --- zawołał. --- Przychodzi pan do mnie nieproszony, zadaje mi pan, nie wiem dlaczego, podchwytliwe, krzyżowe pytania, jak sędzia w czasie przesłuchania. I czyni pan to u mnie, w moim gabinecie!

--- Czy woli pan, by pytał pana o to sędzia?

Kellerman umilkł przerażony, detektyw zaś wstał i szybko podszedł do niego: --- Niech pan się uspokoi --- rzekł dobitnie --- i zrozumie, że działam dla pańskiego dobra.

--- Dla mego dobra?

--- Tak! Czy wie pan, co pana czeka? To, co Nicka Forstera! Niestety prąd o dwóch tysiącach wolt nie zabija czasem od razu!

Kellerman opadł ciężko na fotel. Nie mógł wymówić słowa.

--- Odkryjmy wreszcie karty! --- mówił dalej Grady. --- Jest pan Niemcem, to jedna prawda. Jest pan członkiem sprzysiężenia. To prawda druga. --- Kellerman uczynił przeczący gest. --- Chcę pana tylko uratować. I dlatego przyszedłem dać panu radę. Niech pan ucieka! Niech pan ucieka natychmiast, bo za dni kilka może być za późno. Jest pan starym człowiekiem! Żal mi pana! Przymknę oczy na tę ucieczkę.

Max Kellerman oddychał ciężko. Była chwila, kiedy cała jego siła woli rozprężyła się w tej piekielnej grze. Już, już był gotów ulec Grady'emu i przyjąć propozycję ucieczki, lecz naraz zrozumiał, że okazanie najmniejszej chęci usunięcia się będzie dowodem jego winy, przyznaniem się do uczestnictwa w spisku. Równocześnie przypomniał sobie, że 13 października zbliża się szybkimi krokami.

Całym przeogromnym wysiłkiem opanował rozedrgane nerwy i spojrzał na Grady'ego.

--- Nie, ja tu zostanę! --- wyszeptał pobladłymi ustami. --- Czego chce pan ode mnie, Mac Grady? Jestem niewinny, zupełnie niewinny!

Detektyw ruszył ramionami:

--- Uczyniłem swoje! --- rzekł. --- Jeżeli pan faktycznie jest niewinny, to niech pan zostanie! Doprawdy nie wiem, po co tu przyszedłem. Ta egzekucja zdenerwowała mnie trochę! Good bye, mister Kellerman!

I Mac Grady opuścił gabinet bankiera. W hotelu *Metropolitan* czekał go list od Otockiego. Agent donosił, iż miastu Lewisitown grozi niebezpieczeństwo, któremu trzeba zapobiec. Ponieważ Otockie nie mógł zobaczyć się z Grady, zmuszony do natychmiastowego wyjazdu prosił o ścisłe spełnienie planu, którego opis załączał. Donosił jeszcze, iż ma wiadomości niesłychanej wagi, które zakomunikuje po powrocie.

Detektyw spełnił skrupulatnie wszystko, o co Otockie go prosił, minął jednak dzień jeden i drugi, a Otockie nie przybywał.

Trzynasty października zbliżał się co raz bardziej. Ale Mac Grady ani rząd Stanów nie wiedzieli, co groziło Unii w dniu owym.

ROZDZIAŁ XXX

Mac Grady zerwał się od stołu i podbiegł ku drzwiom.

--- Dzięki Bogu! Jest pan nareszcie!

Przed nim stał Otocki, zakurzony i brudny, ze śladami ogromnego zmęczenia na pociągłej twarzy.

--- Nie mogłem wrócić wcześniej! Na Arkansas wysadzono dwa mosty. Byłem w Teksasie.

--- Lewisetown uratowane! Zrobiłem wszystko, o co panu chodziło. Depesza z Washingtonu nadeszła na czas?

--- W samą porę! Ale o tym później, Mac Grady! Dzisiaj mamy 12 października, nieprawdaż?

Otocki zadał pytanie owo tonem tak natarczywym, że Mac Grady spojrział na niego zdziwiony.

--- Tak, dzisiaj jest czwartek, 12 października. I cóż z tego?

--- A więc jutro...

--- Co jutro?

--- Jutro trzysta trzydzieści trzy dworce na terenie całego państwa zostaną zniszczone przez spiskowców.

Mac Grady zbladł.

--- Co pan mówi! --- zawołał. --- Czy jest pan przy zdrowych zmysłach?

--- Jestem tylko szalenie zmęczony i proszę pana o parę szklanek mocnej, czarnej kawy. Mówię to, o czym wiem niezbitcie. Jutro o godzinie dwunastej w południe w trzystu trzydziestu trzech miastach Stanów na dworcach kolejowych wybuchną bomby z dynamitem i piroksyliną. Sprawa Lewisetown była najpilniejsza, nie przewidziałem mego trzydziestosześciodzinnego spóźnienia. Mamy dwadzieścia sześć godzin, by zdobyć listę spiskowców i dokonać aresztowań!

--- Tak! Mamy dwadzieścia sześć godzin!

--- Jutro wieczór --- dodał Otocki --- superzeppeliny niemieckie znajdą się nad Nowym Jorkiem.

Mac Grady namyślał się przez chwilę:

--- Czy nie wie pan jeszcze, gdzie ukrywa się Hartrott?

--- Nie mam pojęcia. Konspiruje się znakomicie. Wiem tylko o domu w portowej dzielnicy.

--- Tamten dom zrewidujemy jutro rano. Teraz trzeba mi listy spiskowców.

--- Mam odciski wszystkich zamków banku Kellermana.

--- Banku Kellermana? Doskonale! Byłem u niego parę dni temu. Staralem się namówić go do ucieczki, by zaaresztować go na jakiejś małej stacyjce. Obyłoby się bez hałasu. W prasie ogłosilibyśmy o ucieczce dyrektora banku i nadużyciach i rząd miałby prawo bank zasekwestrować.

--- I Kellerman?

--- Najadł się strachu, ale został. Pozostaje więc tylko włamanie. I to dziś w nocy. W ten sposób bez hałasu będziemy mogli zdobyć listę sprzysiężonych.

--- Więc pan wierzy, że jest ona gdzieś w banku Kellermana?

--- Jestem tego pewny. Mówi mi intuicja, że znajdziemy tam wiele ciekawych rzeczy!

Niech pan doprowadzi się do porządku, ja zapowiem nasz przyjazd do gubernatora.

Nie minął kwadrans, gdy Mac Grady z Otockim mknęli ulicami Nowego Jorku, dążąc do

pałacu gubernatora, do Albany.

Na ulicach panował niezwykły ruch. Czytano jakieś olbrzymie afisze, które rozlepiano właśnie. Gromadziły się przed nimi tłumy.

Mac Grady polecił zatrzymać auto i pospieszył dowiedzieć się, co było treścią owego obwieszczenia.

Było to obwieszczenie prezydenta Stanów i rządu. Głosiło ono, iż ambasada amerykańska w Londynie zaalarmowała rząd Stanów kablogramem donoszącym o locie superzeppelinów niemieckich ku amerykańskim brzegom. Superzeppelin, w liczbie sześciu, minęły Anglię, przelatując koło wyspy Wight w dniu 11 października rano, wobec czego w godzinach wieczornych dnia 13 października należało oczekiwać ich nad Nowym Jorkiem i innymi miastami leżącymi gęsto na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Rząd Unii zobowiązywał się wobec społeczeństwa, iż sił wszelkich dołoży, by superzeppelin zniszczyć jeszcze nad oceanem i nie dopuścić do zbombardowania Nowego Jorku, Bostonu, Plymouth, Filadelfii i innych miast, jednakże zalecał konieczne środki ostrożności. Od godziny szóstej wieczór w Nowym Jorku i wszystkich miastach nadmorskich pogaszone miały być światła, ani jeden mieszkaniec nie śmiał znaleźć się na ulicy. Zamknięte miały być o tej godzinie sklepy, nieczynne tego wieczoru teatry, kina, wszelkie widowiska oraz wszelkie restauracje, dancingi i miejsca rozrywkowe. Czuwać jedynie miały specjalne pogotowia ratownicze i przeciwpożarowe. Odezwa rządu wzywała do zupełnego spokoju i przetrwania *tej ostatniej ciężkiej próby*, jak głosiła odezwa.

Mac Grady przeczytał, po czym wrócił do auta i powtórzył treść odezwy Otockiemu, który zmęczony nie opuścił samochodu.

--- A więc to już! --- zawołał Otock. --- Część tego, co wiem, zaczyna się już sprawdzać --- oby nie sprawdziła się reszta.

I w czasie dalszej jazdy do pałacu gubernatora opowiedział Grady'emu dokładnie to wszystko, czego nie mógł mu donieść listownie.

*

Narada u prezydenta Stanów uległa chwilowej przerwie. Ministra Wilbury'ego, który przed paroma dniami właśnie wrócił z urlopu i w najgorszym dla Stanów momencie znów objął urządowanie, wezwano do telefonu z Albany.

Telefował gubernator Nowego Jorku, w słowach pełnych trwogi komunikując Wilbury'emu to wszystko, co Mac Grady mu oznajmił. Następnie podszedł do telefonu detektyw i w stanowczych słowach wyłożył ministrowi swój plan działania. Żądał nieograniczonych pełnomocnictw na przeciąg dwudziestu czterech godzin oraz skoordynowania z jego działalnością działalności policji amerykańskiej na terenie nowojorskiego stanu.

Sekretarz stanu dla spraw wojny polecił Grady'emu zaczekać przy aparacie, po czym odbył krótką konferencję z prezydentem Smithem, O'Connelem i generałem Jamesem Hudsonem, generalissimusem armii amerykańskiej.

Wynik konferencji był pomyślny dla Mac Grady'ego. Uratowanie Wilbury'ego i ocalenie Lewisitown wróciło mu pełne zaufanie rządu Stanów Zjednoczonych.

Po udzieleniu Mac Grady'emu tej odpowiedzi i wydaniu gubernatorowi stanu instrukcji, narada gabinetowa rozpoczęła się na nowo i trwała jeszcze długie trzy godziny.

Wreszcie plan działania został ustalony.

Wilbury wstał, złożył papiery, schował je do teczki i wraz z generałem Hudsonem, pułkownikiem Mac Adoo, szefem departamentu lotnictwa wojskowego, oraz kontradmirałem Craigiem udał się do gmachu ministerstwa wojny zaopatrzonego we wszelkie potrzebne pełnomocnictwa.

Po przybyciu tam, Wilbury wezwał natychmiast do siebie szefa swego gabinetu i w obecności wyżej wymienionych podyktował rozkazy:

--- Telefonogram do Lakehurst --- rzucał szybko słowa, jak zwykle, gdy był w toku pracy:

Eskadry lotnicze III, V, VI, XI, XII i XVIII z rozkazu rządu Stanów Zjednoczonych wyruszą dnia 13 października o godzinie 6:55 rano nad ocean Atlantycki. Dowództwo nad eskadrami obejmuje szef dywizjonu II, generał Charles Lindbergh. Zadanie: odnalezienie i zniszczenie nad oceanem eskadry sześciu superzeppelinów niemieckich dążących ku brzegom amerykańskim. W żadnym wypadku nie dopuścić do bombardowania wybrzeży amerykańskich. Każdy samolot zaopatrzone być musi w radiostację. Ponieważ nieprzyjaciel zna, najprawdopodobniej, szyfr A45, o godzinie dwunastej w nocy porucznik Horan z sekretariatu stanu do spraw wojny doręczy generałowi Lindberghowi szyfr nowy, z którego kluczem zapoznać należy obserwatorów na 10 minut przed startem. Od chwili startu samolotom wolno się porozumiewać tylko za pomocą nowego klucza. Podpisano: Wilbury, sekretarz stanu; pułkownik Mac Adoo, szef departamentu lotnictwa.

--- Gotowe! --- ozwał się sekretarz, stenografując szybko.

--- Dobrze! Nadać kluczem F3. Drugi rozkaz.

Do dowództwa portu lotniczego w Lakehurst.

Z rozkazu rządu Stanów Zjednoczonych eskadra IV uda się natychmiast do Plymouth, podporządkowując się rozkazom dowódcy eskadry morskiej awiomatek. Cel: ochrona awiomatek⁽¹⁾: "Saratoga", "Yorktown", "Lexington" i "Los Angeles". W żadnym wypadku nie dopuścić do ich zniszczenia. Podpisano: Wilbury, sekretarz stanu; kontradmirał Craig, szef wschodniej bazy operacyjnej.

--- Gotowe! --- powtórzył urzędnik, podnosząc oczy znad papieru.

Wilbury uśmiechnął się z zadowoleniem. Mimo tuszy był człowiekiem rzutkim i energicznym, lubił sprawną i szybką pracę.

--- Szyfr X22. Niech pan pisze następny rozkaz:

Do zastępcy szefa wschodniej morskiej bazy operacyjnej w Plymouth. Porte--avions⁽²⁾: "Saratoga", "Yorktown", "Lexington" i "Los Angeles" wyruszą bezzwłocznie pod rozkazami komandora Ayrtona-Northa na pełne morze. Cel: współdziałanie z eskadrami generała Lindbergha, które o godzinie 6:55 dnia 13 października opuszczają Lakehurst. Udzielać wszelkiej pomocy. Dla osłony wysyła się z Lakehurst IV eskadrę, którą poddaje się pod rozkazy komandora Ayrtona-Northa. Wszystkie jednostki bojowe pozostające w portach bazy wschodniej -- w pełnym

pogotowiu bojowym. Szczegółowe rozkazy przywiezie kontradmirał Craig. Podpisano: Wilbury, sekretarz stanu; kontradmirał Craig, szef wschodniej bazy operacyjnej.

--- Gotowe!

--- Szyfr jak poprzednio. Jeszcze jedna depesza, szyfr X23:

Lotnisko cywilne. Nowy York. Long Island.

Z polecenia rządu Stanów Zjednoczonych jeden samolot komunikacyjny oddaje się do wyłącznej dyspozycji Jerzego Mac Grady'ego, detektywa prywatnego, hotel "Metropolitan", Nowy York. Od chwili otrzymania tego rozkazu samolot musi być gotów do natychmiastowego startu. Podpisano: Wilbury, sekretarz stanu.

--- Gotowe!

Wilbury skinął głową:

--- Skończyłem, mister Polter! Proszę to wpisać w księgi rozkazów i skierować do biura szyfrów!

Sekretarz oddalił się.

Minister spojrział z uśmiechem na generała Hudsona, pułkownika Mac Adoo i kontradmirała Craiga.

--- Będziemy ich mieli! --- rzekł, używając mimo woli słów, jakich w czasie wojny światowej użył generalissimus armii francuskiej Joffre, pod adresem Niemców. --- Będziemy ich mieli! Do widzenia panowie! Pan wyjeżdża, admirał Craig, życzę panu powodzenia!

Oficerowie wyprężyli się w służbowym ukłonie.

*

Mac Grady wrócił wielce zadowolony od gubernatora nowojorskiego stanu. Na konferencji z szefem policji politycznej stanu, inspektorem Bremorem, ustalił jak najściślej plan działania. W pół godziny po tej rozmowie policja amerykańska aresztowała dwóch woźnych Banku Amerykańsko-Kanadyjskiego pod zarzutem pokątnej sprzedaży alkoholu osobom wojskowym, co w czasie wojny najsurowiej było zakazane. Obaj ci woźni zamieszkiwali w gmachu banku, pełniąc nad nim dozór. Kellerman interweniował w sprawie aresztowanych, odpowiedziano mu jednak, iż sprawa zostanie załatwiona dopiero dnia następnego i dopiero po wstępnych przesłuchaniach u sędziego dystryktowego może być mowa o zwolnieniu ich za kaucją. Na uwagę Kellermana, iż bank zostanie w nocy bez dozoru, dyżurny komisarz odpowiedział szorstko dyrektorowi instytucji, iż policja amerykańska stoi na wysokości swego zadania i bank jest i będzie dobrze strzeżony. Brzmiało to dla Kellermana nieco dwuznacznie, dlatego też już nie pytał o nic więcej.

Otockiego nie było jeszcze w hotelu. Udał się po odbiór kluczy banku, które, według poczynionych przez niego odcisków woskowych, miały być wykonane. Miano mu przy tym dostarczyć wszelkich narzędzi potrzebnych nieodzownie zawodowym włamywaczom. Wśród

nich miało nie braknąć nawet cylindra z acetylenem do prucia kas ogniotrwałych.

Poza tym Otockiego miał załatwić jeszcze jedną sprawę. Na prośbę Grady'ego miał stwierdzić czy miss Zuzanna Reutt przebywa w Nowym Jorku albo gdzie się udała.

Mac Grady postanowił bowiem w chwili stanowczej dopomóc *Miss o szkarłatnym spojrzeniu* do ucieczki i dać jej na nią obiecane trzy godziny czasu.

Detektyw z trwogą myślał o dniu 13 października. Zaangażowany był w ową trudną grę jego autorytet i -- do czego Grady przyznać się przed sobą nie chciał -- w równej mierze jego uczucie. Mac Grady zdawał sobie dobrze sprawę z sytuacji -- wiedział, iż, gdy zniszczy sprzysiężenie *Ślepego Johna*, między nim a *Szkarłatną miss* stanie zaporą nie do przełamania, nawet gdyby miss Reutt zdołała uniknąć sądów amerykańskich, których strony groziła jej bezwzględnie kara śmierci. Niewykrycie, z drugiej strony, na czas sprzysiężenia równałoby się kompletnej kompromitacji detektywa. W tej ciężkiej sytuacji, po długiej walce Grady postanowił pójść na kompromis ze swym sumieniem. Sprzysiężenie *Ślepego Johna* zgnieść wraz z jego szefem, miss Reutt zaś uratować życie.

Mac Grady starał się jak najmniej myśleć o tych sprawach. Czekala go noc, a po niej dzień pełen trudów. Trzeba było w ciągu osiemnastu godzin, jakie dzieliły go jeszcze od godziny pierwszej w południe dnia 13 października, zdobyć za wszelką cenę listę sprzysiężonych. Mac Grady posiadał bowiem w swym ręku niezbita dowody wskazujące na to, iż przed wprowadzeniem najściślejszej cenzury i ekspertyzy listów, władze kierownicze spisku porozumiewały się z członkami sprzysiężenia drogą listową i w tym właśnie celu papier listowy przez nie używany nosił sympatycznym atramentem wypisaną nazwę sprzysiężenia. Musiało więc istnieć jakieś biuro, jakaś centrala spisku, gdzie zbiegały się wszelkie nici, skąd wychodziły rozkazy, gdzie wreszcie musiała się znajdować lista imienna owych tysiąca "braci", którzy ufni w swą siłę i bezkarność rzucali raz po raz rękawicę całemu olbrzymiemu państwu. Tę właśnie listę należało zdobyć. Ale to była tylko część zadania. Wobec piekielnego sprytu, jakiego dowody dało *Sprzysiężenie Ślepego Johna* w czasie swej działalności, Mac Grady uważał za bardzo problematyczny środek zapobiegawczy, otoczenie dworców kolejowych w Stanach Zjednoczonych kordonami wojsk. Zresztą wylecieć miały w powietrze, ulec zniszczeniu 333 dworce na terenie państwa, a z ogólnej ich liczby Otockiego zapamiętał ich sobie zaledwie sześćdziesiąt -- z czego część znaczną stanowiły dworce w stolicach stanów. Lista owych skazanych na zagładę dworców kolejowych również gdzieś istnieć musiała. Mac Grady pragnął po zdobyciu listy spiskowców, wysłać do wszystkich miast nakazy aresztowania. Na to wszystko miał zaledwie kilkanaście godzin.

Mimo wszelkich wysiłków Mac Grady nie mógł otrząsnąć się z uczucia zdenerwowania i książka, którą kupił, by zabić czas oczekiwania Otockiego, nie zajmowała go wcale.

Wreszcie zjawił się Otockiego. Był jak zawsze wesół i pogodny. Stojąc dotąd w cieniu tej sprawy, mimo że bardzo czynny, nie narażał się na kompromitację w razie niepowodzenia, w razie zaś powodzenia był pewien, że uczciwy Mac Grady tę część zasługi, którą agent przysporzył, bez wahania publicznie mu przyzna.

Otockiego pokazał detektywowi z uśmiechem zadowolenia pęk kluczy, które otworzyć im miały podwoje Banku Amerykańsko-Kanadyjskiego. Następnie zaczął wydobywać z walizki wytrychy, dłuta i inne narzędzia złodziejskiego fachu.

--- Podoba mi się ta cała historia --- rzekł. --- W dziejach kryminalistyki będzie to, zdaje się, pierwsze włamanie z udziałem policji.

Ale Grady myślał w tej chwili zgoła o czymś innym:

--- Był pan na Riverside? --- zapytał żywo.

--- Byłem --- odparł Otockiego --- i pytałem się o pannę Reutt. Nie ma jej w Nowym Jorku.

Wyjechała do Washingtonu, do ojca.

--- Może to i lepiej! --- wyszeptał Grady.

--- Co pan mówi? --- zapytał Otocki.

--- Ach, nic! Mówię, że skoro tak jest, to wszystko w porządku! Dziękuję panu bardzo.

Otocki zamyslił się:

--- Właściwie nie wiem, jaki związek ma owa miss Reutt z naszą sprawą.

Agent nie przypuszczał nawet, iż miss Reutt może być ową *Miss o szkarlatnym spojrzeniu* i nie miał pojęcia, iż Zuzanna Reutt i Alicja Irving to jedna i ta sama osoba.

Detektyw uśmiechnął się:

--- Dowie się pan o tym jutro! Mam osobiste powody, by dziś jeszcze milczeć o tym!

Polak skinął głową na znak zgody.

--- Musimy działać niezwykle ostrożnie --- ozwał się detektyw. Nie chciałbym, by Kellerman znalazł jutro najmniejszy ślad naszej wizyty. Nie chcę go płoszyć przed godziną dwunastą w południe!

Była dopiero godzina ósma wieczór. Do akcji nie można było w żaden sposób przystąpić przed godziną jedenastą w nocy. Minuty płynęły niesłuchanie powoli dla obu. Omówili szczegółowo wyprawę i z upragnieniem czekali jedenastej godziny. Jakby sprzyjając ich planom, zapadła noc ciemna i pochmurna i jał padać drobny jesienny deszczyk. Chłód późnej jesieni przejmował przechodniów do szpiku kości.

Otocki bardziej niecierpliwy od flegmatycznego zazwyczaj Anglika, położył przed sobą zegarek i śledził jego wskazówki.

Mac Grady w milczeniu wychylał filiżankę po filiżance mocnej czarnej kawy.

Wreszcie Otocki wstał.

--- Za dziesięć jedenasta, Mac Grady --- ozwał się --- trzeba już iść!

Detektyw podniósł się żywo. Myślał o miss Reutt i na dźwięk słów Otockiego drgnął jak złapany na gorącym uczynku.

Włożyli płaszcze impregnowane, chroniące przed deszczem, ujęli cylinder z acetylenem, walizkę z narzędziami i ślepymi latarkami i zjechali windą do hallu hotelowego.

W hallu hotelowym jakiś człowiek obłocony i ociekający wodą, w podartym i poszarpanym ubraniu, z twarzą podrapaną i pokaleczonymi rękami staczał istną walkę z portierem i boyem, którzy w obawie o całość wspianiałych dywanów hotelu *Metropolitan* bronili mu bohatercko wstępu do hotelu.

Ujrzawszy Mac Grady'ego człowiek ów pchnął mocno chłopca hotelowego, wyrwał się z rąk portiera i podbiegł do detektywa, znacząc plamami błota niepokalane dywany.

--- Mac Grady! --- zawołał. --- To ja właśnie śpieszę do pana.

Detektyw spojrział przenikliwie na oberwańca i zdumiał się niezmiernie, poznawszy z kim ma do czynienia.

Był to Nabuchodonozor Chac, reporter nowojorskiego *Worlda*.

⁽¹⁾ awiomatki -- lotniskowce.

⁽²⁾ *Porte--avions* (fr.) -- lotniskowce.

ROZDZIAŁ XXXI

Nabuchodonozor Chac, po owej iniekcji, jaką dał mu w dniu uwięzienia doktor Hayakawa, obudził się dopiero w południe dnia następnego, z głową ciężką i silną reakcją nerwową, jaka objawia się zawsze, gdy silny narkotyczny środek działać przestanie.

Zrazu leżał w bezruchu, pogrążony w półśnie, nie mogąc zdać sobie sprawy, co się z nim dzieje, gdzie się właściwie znajduje. Wkrótce jednak powracać zaczęła przytłumiona narkotykiem świadomość i Nabuchodonozor Chac usiadł nagle, przetarł oczy i zaczął się wkoło rozglądać.

W jednej chwili przypomniał sobie wszystkie wypadki wczorajszego wieczoru. Rozmowę z redaktorem J. G. Battemanem, wywiad z Mac Grady'm, uprowadzenie w samochodzie i wreszcie rozmowę z przywódcami spisku *Ślepego Johna*.

Miejsce, w którym się obecnie znajdował, musiało być nie czymś innym jak jednym z lochów znajdujących się w budynku, w którym go uwięziono. Loch ów był mały -- siedem kroków wzdłuż, sześć kroków wszerz i znajdował się pod powierzchnią ziemi. U góry mrocznej piwnicy, jakby przeznaczonej na więzienną celę, znajdowało się w ścianie przeciwległej drzwiom okienko zamknięte kratą. Przez okienko dochodziło skąpe światło i świeże powietrze, dochodził jednak także jakiś dziwny szum, jakby szum wolno toczącej się wody.

Ściany celi były brudne i obdrapane, ohydnie lepkie i wilgotne. Drzwi drewniane, wzmocnione żelaznymi sztabami, były zamknięte od zewnątrz.

Nabuchodonozor porwał się z pryczy, na której spoczywał pod dosyć eleganckim, w stosunku do tego wszystkiego, kocem i stwierdził szybko, iż obok tego "łóżka" apartament jego posiada za dalsze umeblowanie jedynie mały stolik i drewniane niskie krzesło. W jednym kącie stał dzbanek wody, stary i poszczerbiony.

Reporter wzruszył ramionami. Wszystko to przypominało jakiś dawny romans Aleksandra Dumasa. Więzienie było obrzydliwe, sytuacja nie do pozazdroszczenia, a jednak dziennikarz nie przejmował się tym zbytnio. Przeciwnie, z pewnym zaciekawieniem oczekiwał dalszego ciągu tej przygody, obliczając z góry, o ile czcigodny J. G. Batteman podwyższy mu gażę za barwny opis przygód reportera *Worlda*. Bo o tym, że cało wyjdzie z tej przygody, niefrasobliwy Nabuchodonozor Chac wcale nie wątpił.

Oczyrna dusza widział już, jak mali kolporterzy *Worlda* wybiegają z biur ekspedycji z paczkami numerów *Worlda*, świeżymi jeszcze, mokrymi od farby drukarskiej. Widział, jak sprzedają rozchwytywane ogromne płachty gazety, wykrzykując niezmordowanie naczelne tytuły: *Najnowsze wydanie "Worlda"*, *Reporter "Worlda" w mocy szajki "Ślepego Johna"*, *Co reporter Nabuchodonozor Chac opowiada o strasznych dniach swej niewoli!*

Jednakowoż wyższa pensja, sława i sensacyjne tytuły *Worlda*, to były w danej chwili jedynie marzenia -- rzeczywistością zaś była brudna, ociekająca wilgocią cęla, rzeczywistością były drzwi zamykające drogę do wolności, rzeczywistością były kraty w oknie, którym nieśmiało zaglądał dzień do lochu.

Mister Chac usiadł z powrotem na swym tapczanie i podrapał się w głowę. Dopiero teraz pojął jakie głupstwo pisał odsyłając Grady'emu płaszcz i kapelusz i powiadamiając redakcję *Worlda*, iż wszystko jest w porządku.

Gdyby nie zrobił tego, gdyby nie dał znaku życia o sobie, redakcja zaniepokoiłaby się rychło jego nieobecnością. Zadzwoniono by niechybnie do Mac Grady'ego, zapytując, czy reporter był u niego, i po otrzymaniu potwierdzającej odpowiedzi, niewątpliwie zainteresowano

by Mac Grady'ego sprawą tajemniczego jego zniknięcia. A być też może sprytny detektyw zorientowałby się natychmiast, iż Nabuchodonozor Chac padł ofiarą *Ślepego Johna* i teraz już zapewne szukano by go.

W tym stanie rzeczy, jaki się wytworzył, detektyw odzyskał z powrotem swój płaszcz i kapelusz i miał o Chacu jak najlepsze wyobrażenie, mister J. G. Batteman otrzymał żądany wywiad i też miał o nim wyobrażenie dobre -- podczas gdy on, Nabuchodonozor Chac, mimo tej doskonałej opinii, znajdował się w silnych łapach szajki terrorystów, o czym nikt nie wiedział.

--- To są następstwa, gdy człowiek jest uczciwy i oddaje pożyczone rzeczy! --- wyszeptał do siebie reporter z oburzeniem, po czym podszedł do dzbanka z wodą i obmył się starannie.

Zimna woda orzeźwiła go, ale zarazem przyszło mu na myśl, iż jest już z pewnością popołudnie, on zaś znajduje się dotąd bez śniadania.

Jął wsłuchiwać się, czy nie usłyszy jakichś zbliżających się kroków -- ale wokół panowała głęboka cisza, słyszał jedynie własny oddech i szmer poza kratami okna.

Nabuchodonozor Chac zniecierpliwiony jął walić pięściami w drzwi, ale i to nie dało pożądanego skutku. Nikt się nie zjawiał.

Nie zamorzą mnie tu przecież głodem! --- pomyślał reporter już w znacznie gorszym humorze.

Rzucił się na posłanie i starał się zasnąć w oczekiwaniu nadejścia kogoś, lecz podrażnione wrażeniami nerwy nie pozwalały na to.

Biegła godzina za godziną, coraz gęstszy mrok jął słać się po celi, gdy nagle zupełnie wyraźnie rozległy się kroki w korytarzu.

Dziennikarz podniósł się z tapczanu.

Za chwilę rozległ się zgrzyt odsuwanych rygli, drzwi otworzyły się i ukazała się w nich drobna postać Japończyka.

Był to Ishimura.

W rękę trzymał latarkę elektryczną, w drugiej ręce koszyk dość dużych rozmiarów.

--- Niecierpliwił się pan zapewne --- ozwał się Japończyk, nienaganną angielszczyzną. --- Nie zapomnieliśmy o panu, lecz były ważne sprawy do załatwienia. Od jutra będę pana odwiedzał regularnie.

Postawił koszyk w celi, zabrał dzbanek i znikł. Po chwili wrócił, niosąc świeżą wodę. Nabuchodonozor zapytał o światło. Japończyk odpowiedział krótko, że w koszyku znajdzie świece i zapalki.

Gdy Ishimura się oddalił, reporter przekonał się, że koszyk zawiera zimne mięso, pół flaszki wina i inne produkty spożywcze, zabrał się tedy ochoczo do jedzenia, stwierdzając, że z każdym kęsem wraca mu przedsiębiorczość i chęć do życia.

Przy tej okazji, poszukując scyzoryka w kieszeniach ubrania stwierdził, że odebrano mu wszelkie rzeczy ostre, pozostawiając nietknięty portfel i zegarek.

Następne trzy dni niewoli upłynęły w nużącej monotonii. Każdego dnia o jednej porze, trzy razy dziennie, zjawiał się Japończyk, który przynosił mu jedzenie. O ile cela była ohydna, o tyle na jakość i ilość jedzenia wybredny Nabuchodonozor Chac nie miał powodu się skarżyć.

Wreszcie czwartego dnia rano zjawił się niespodziewanie Ishimura.

--- Niech się pan ubierze i idzie za mną! --- ozwał się. --- Doktor Hayakawa chce się widzieć z panem.

Reporter domyślił się, że doktor Hayakawa, to ów starszy Japończyk, o wielkich, czarnych, rogowych okularach.

Po krętych schodach udał się wraz z Japończykiem na górę starego domu.

Pokój, do którego wprowadził go Ishimura, był tym samym, w którym znalazł się w dniu

swego uwięzienia.

Było to laboratorium chemiczne. Tylko, że tym razem, doktor Hayakawa ubrany był w długi biały płaszcz i drobnym kroczeniem dreptał po pokoju, sięgając po tę lub ową probówkę czy słoik z napisem japońskim, który to napis dla niego jednego był tylko zrozumiały.

Ujrzawszy Ishimurę i reportera, doktor Hayakawa zwrócił się do tego ostatniego, dając równocześnie młodemu Japończykowi znak, że może się oddalić.

--- Zważywszy, iż zachowuje się pan spokojnie w swoim więzieniu i że padł pan ofiarą omyłki --- rzekł --- wezwałem pana tutaj, nie chcąc, by pan się nudził.

Chac podziękował w krótkich słowach i jał się wokół rozglądać ciekawie.

--- To jest moja pracownia --- ozwał się znów Hayakawa, widząc ów wzrok ciekawy. --- Uczyniłem już tutaj niejedno ciekawe odkrycie. Jednego z nich miał pan sposobność doświadczyć na sobie.

--- ??

--- Ów zastrzyk, który panu dałem, to mój wynalazek, mortuina! Najsilniejszy narkotyk, jaki dotąd zna świat. W małych ilościach podnieca, daje myślom niesłychaną jasność. W wielkich ilościach działa usypiająco, a usypia nawet na wieki.

Doktor Hayakawa wyjął z szuflady stołu małe pudełeczko i otworzył je. Zawierało ono małe białe kulki wielkości grochu.

--- Proszę, niech pan połknie jedną! --- rzekł, czyniąc jednocześnie to samo. --- Nawet człowiek śmiertelnie zmęczony pracą, czuje się po takiej dozie mortuiny rześkim i wypoczętym.

Nabuchodonozor Chac zażył i po chwili uczył, jak krew poczyna żywiej krążyć mu w żyłach, pierś oddychać swobodnie. Oczy zabłyśły mu ogniem.

Doktor Hayakawa tymczasem zajął się swymi doświadczeniami, zostawiając dziennikarzowi swobodę. Nabuchodonozor Chac zaczął bacznie rozglądać się po stołach i nagle drgnął.

Wśród probówek, flaszek i rozmaitych przyrządów, które najwidoczniej służyły do sekcji doświadczalnej zwierząt, ujrzał małą ostrą piłęczkę.

Obejrzał się. Doktor Hayakawa siedział z okiem wlepionym w szkiełko mikroskopu. Szybkim ruchem reporter chwycił piłęczkę spośród narzędzi i bezszelestnie schował ją do kieszeni marynarki.

Gdy doktor Hayakawa w chwilę potem spojrzął na Chaca, ów z ogromną uwagą oglądał pod światło jakąś troskliwie zapieczętowaną probówkę napełnioną gęstym żółtym płynem.

--- Niech pan to położy natychmiast! --- usłyszał poważny głos Hayakawy. --- Niech pan uważa, by nie zbić tego! Ładna by była historia!

Chac położył probówkę na miejsce i zwrócił się do doktora.

--- Czy probówka ta zawiera jakąś truciznę?

Doktor Hayakawa zdjął z wolna rogowe okulary. Ukazała się twarz bez wyrazu, z oparzelizną pod jednym okiem. Nabuchodonozora Chaca zainteresowały szczególnie oczy tego człowieka. Przyzwyczajony był do tego, że oczy każdego człowieka wyrażały coś, że coś mówiły temu, który w nie patrzył. Czarne oczy doktora Hayakawy nie wyrażały nic. Były to oczy spokojne i jakby umarłe. Oczy bez żadnego wyrazu.

Po chwili milczenia doktor Hayakawa dał odpowiedź na pytanie reportera.

--- Gorzej niż trucizna, bo miliardy zabójczych bakterii! To *Cerebritis*!

Nabuchodonozor Chac zainteresował się tą sprawą:

--- *Cerebritis*?

Hayakawa uśmiechnął się.

--- Zostanie pan tu tak długo, jak my tu będziemy! --- ozwał się. --- Gdy pan odzyska

wolność, my będziemy wszyscy daleko. Dlaczego miałbym nie odpowiedzieć panu na jego pytanie. Tu w tych próbkach --- wskazał ręką --- mieszczą się wszystkie bakterie zaraźliwych chorób. W tej są zarazki dżumy, tu cholery, tu tyfusu plamistego. Tu wreszcie odkryte przeze mnie bakterie śpiączki. Ta jednak próbka, którą miał pan w ręce zawiera najstraszliwsze bakterie. Życie poświęciłem, by je wytworzyć. I udało mi się poprawić naturę. *Cerebritis* są najstraszliwszymi bakteriami, jakie istnieją na świecie.

Doktor Hayakawa przerwał na chwilę i zamyślił się.

--- Nie będę panu opowiadał jakimi naukowymi drogami doszedłem do ich odkrycia. To obojętne dla laika. Ilość bakterii, jaką zawiera ta próbka, wystarczyłaby do wytopienia ludności Nowego Jorku, San Francisco i Washingtonu razem wziętych. Bakterie *Cerebritis* po dostaniu się do organizmu ludzkiego atakują mózg -- stąd ich nazwa. W następstwie choroby mózgowej, jaka się rozwija u zarażonego, chory wariuje i umiera w ataku szału.

Dziennikarz spojrział przerażony.

--- I poświęcił pan życie dla odkrycia i przetworzenia tych bakterii? Po co pan to uczynił?

--- Dla zastosowania tych bakterii, jeśli nie w tej, to w przyszłej wojnie.

Nabuchodonozor Chac cofnął się o krok.

--- Jak to?

--- W bardzo prosty sposób --- odrzekł swobodnie Japończyk z zimnym uśmiechem. ---

Czy pan rozumie, jaką przewagę posiadanie tego wynalazku da japońskiemu cesarstwu? Wystarczy kilka takich próbek, by zniszczyć najliczniejszą armię nieprzyjacielską, by wywołać przerażającą w rozmiarach i przejawach epidemię wśród ludności cywilnej nieprzyjacielskiego kraju. W tej próbce, tu w tym pokoju, mieści się tysiąc razy tysiąc razy śmierć zaklęta w niewidzialne gołym okiem drobnoustroje!

Reporter pociągnął ręką po czoło:

--- Pan jest wielkim zbrodniarzem, doktorze!

Japończyk nie obraził się.

--- Nie ma zbrodni tam, gdzie chodzi o ideę.

--- Więc pan widzi ideę w śmierci tysięcy ludzi?

--- Nie! Ale przez ich śmierć urzeczywistnić się może panowanie Żółtych nad światem.

Już dosyć długo biały człowiek, biała rasa przewodziła całemu globowi ziemskiemu, nie pytając, czy inne rasy godzą się na tę hegemonię, czy nie? Zmonopolizowaliście wszystko! Cywilizację, kulturę, sztukę i naukę! Zmonopolizowaliście w swych rękach pracę innych ras dla waszej potęgi. Zagarnęliście handel i przemysł całego świata. Wymyśliliście sobie kolonie i pod hasłem zapewnienia sobie rynków zbytu i rynków produkcji, wzięliście się do podbijania wszystkich części świata, wszystkich ras, wszystkich narodów. Hola, panowie! I my, Żółci, mamy w historii świata też coś do powiedzenia! I my mamy coś do zrobienia na świecie. I my chcemy nad światem panować. Was przeżarła już wasza cywilizacja. Degenerujecie się, wymieracie! My -- Żółci, pogardzeni wyspiarze, wstępujemy na widowieńską scenę. Ludy Azji i archipelagów Oceanii burzą się, niezadługo pójdą chętnie za nami. Obecna wojna nie jest jeszcze tą wojną ras. Ta wojna dopiero przyjdzie! Będzie ona sądem nad białą rasą! Nie wiem, czy ja jej dożyję, ale pozostawię Japonii w spadku dar wspaniały. Choć mnie już dawno nie będzie, *Cerebritis* doktora Hayakawy walnie pomoże żółtej rasie do osiągnięcia zwycięstwa!

Japończyk skończył mówić i swe czarne oczy fanatyka, oczy bez wyrazu, skierował na amerykańskiego reportera.

Ów zaś powtórzył głucho:

--- Pan jest wielkim, bardzo wielkim zbrodniarzem, doktorze!

*

Drżąc ze wzruszenia powrócił Nabuchodonozor Chac do swego lochu, dotykając raz po raz kieszeni marynarki, by upewnić się, czy tak łatwo i niespodziewanie zdobyta piłeczka istnieje faktycznie i znajduje się na swoim miejscu.

W przedsiębiorczej głowie reportera amerykańskiego, z chwilą gdy tylko zdobył ową piłeczkę i wysłuchał wywodów doktora Hayakawy o *Cerebritis* -- powstała nowa myśl.

Myślą tą było: uciec, udać się do Mac Grady'ego i podzielić się z nim wiadomościami o tym, co słyszał od Japończyka.

Cerebritis mogło spowodować obłąd i śmierć milionów ludzi! *Cerebritis* groziło jego ojczyźnie!

Reszta dnia spłynęła Chacowi w niepokoju i trwodze, w oczekiwaniu wieczoru. Drżał, iż dr Hayakawa spostrzeże brak piłeczki, iż urządzi rewizję jego celi, przetrząsną loch i jego ubranie, odbiorą mu jedyną nadzieję ratunku!

Może już jutro doktor Hayakawa zmieni plan i otworzy probówkę z zakłętymi w niej bakteriami *Cerebritis* -- może już jutro ludzie zaczną wymierać w Nowym Jorku z objawami pomieszania zmysłów! A więc jutro, on, Nabuchodonozor Chac, musi być wolny!

Wieczór nadszedł i Japończyk przyniósł reporterowi zwykłą porcję jedzenia i świecę, po czym, nie mówiąc ani słowa, zaryglował drzwi z powrotem.

--- Nie zauważył nic! --- westchnął Chac.

Szybko uwinął się z kolacją, potem przystawił do ściany stół, na stole postawił zydela i wdrapawszy się na rusztowanie, dosięgnął okienka.

Wyjrzał przez nie i natychmiast zrozumiał dlaczego słyszał szum wody. Dom dotykał swą tylną ścianą kanału portowego, stojąc tuż nad wodą. Po obu stronach kanału stały wielkie budynki bez okien -- składy zboża i innych materiałów eksportowych. Chaca ucieszył ten widok, był bowiem znakomitym pływakiem i woda była jego żywiołem. Obejrzał uważnie kratę zamykającą okno. Była gruba, lecz nieco zardzewiała ze starości. Najbardziej jednak ucieszyło reportera, iż wbrew swym początkowym obawom, okno było dość szerokie by szczupły młody człowiek, jakim był właśnie Nabuchodonozor Chac, mógł się przez nie przecisnąć.

Z zachowaniem wszelkiej ostrożności, cicho i zrazu nieśmiało i niewprawnie, reporter wziął się do piłowania. By piłeczka nie sprawiała zbyt wiele hałasu i zgrzytu z braku oliwy pocierał ją -- tłuszczem z szynki, którą mu przyniesiono na kolację.

Przez kilka godzin piłował bez wytchnienia, zrazu co chwila przerywając swą pracę z obawy, czy nie usłyszy na korytarzu kroków Ishimury.

Ale Ishimura nie zjawiał się, krata zaś ustępowała łatwiej, niż Chac mógł tego w najśmielszych pragnąć marzeniach.

Około północy krata była przepiłowana, trzymała się tylko w dwu miejscach.

Reporter zaprzestał pracy. Stół i zydela postawił na swoje miejsce i schowawszy piłeczkę jak mógł najlepiej, śmiertelnie znużony legł na swym posłaniu.

Na drugi dzień rano, chcąc zatrzeć wszelkie podejrzenia u Ishimury, zapytał, czy nie mógłby spędzić paru godzin w pracowni doktora Hayakawy.

Japończyk odparł, iż jest to niemożliwe, doktor Hayakawa ma bowiem do załatwienia ważne sprawy i nie ma czasu nim się zajmować.

--- Jutro, 13 października, będą nad Nowym Jorkiem superzeppelin niemieckie! ---

wyrzucił z siebie, odchodząc, Ishimura, jakby chcąc się z kimś podzielić tą tak bardzo ważną wiadomością...

W południe raz jeszcze reporter dokonał ekspertyzy planu ucieczki. Na kanale ruchu nie było prawie zupełnie. Było zresztą zupełnie pewne, iż ten ruch, który był w ciągu dnia, osłabnie w godzinach wieczornych, a ponieważ mrok zapadał już wcześniej. Chac na godzinę ucieczki obrał godzinę ósmą wieczór.

Godziny tej nie mógł się doczekać.

Teraz, skoro już krata była prawie w zupełności przepiłowana, należało ją tylko szarpnąć mocno i wyślizgnąć się przez okienko do chłodnej, lecz brudnej i smrodliwej wody kanału. Reszta była jasna i prosta, bowiem Chac pływał jak ryba.

W godzinach popołudniowych reporter podpiłował jeszcze kratę, po czym niepotrzebną już piłeczkę wrzucił przez kratę do kanału, by w razie spostrzeżenia jej zguby i rewizji nie znaleziono jej w celi, wreszcie z drżącym sercem oczekiwał nadejścia godziny ósmej wieczór.

Wreszcie upragniony termin ten nadszedł.

Nabuchodonozor Chac przystawił znowu stół pod okno, na nim ustawił zydell i wspiął się na rusztowanie.

W tej chwili usłyszał nagle kroki w korytarzu.

Nabuchodonozor Chac ujął kratę i szarpnął nią silnie.

Wykrzywiła się, lecz nie ustępowała.

Kroki rozległy się już tuż-tuż pod drzwiami.

Zrozpaczony Nabuchodonozor Chac szarpnął po raz drugi, natężając wszystkie swe siły.

Krata ustąpiła i pozostała mu w rękach.

W tej chwili zazgrzytały rygle.

Ishimura przybył o godzinę wcześniej niż zwykle.

Reporter wysunął się przez okienko i pogrążył w wody kanału.

Ishimura, wszedłszy do celi, zastał ją pustą. Kraty u okna nie było. Japończyk momentalnie zrozumiał i poskoczył ku oknu.

Wdrapał się na okno i oczy szczura pogrążył w seledyn nocy. Biały człowiek nie dojrzałby nic w półmroku, jaki panował, i w dalekim świetle portowych nabieżników.

Ale Japończyk dojrzał w wodach kanału wynurzającą się głowę człowieka.

Dobyl błyskawicznie rewolweru i oddał siedem szybkich strzałów w miejsce, gdzie głowę ową dojrzał.

Odpowiedział strzałom krótki okrzyk -- tam, z wód kanału -- i głowa zniknęła momentalnie.

Ishimura patrzył na wodę czas jakiś, ale ponieważ plusk żaden nie dochodził jego uszu, a owa głowa nie wyłoniła się już więcej, zabrał koszyk z jedzeniem, który był przyniósł i uspokojony, z półuśmiechem na twarzy, pośpieszył powiadomić doktora Hayakawę, iż reporter Chac, w czasie gdy próbował ucieczki, padł od kul jego browninga i spoczywa obecnie na dnie portowego kanału.

ROZDZIAŁ XXXII

Nabuchodonozor Chac nie zginął od kul Ishimury. Nie został nawet ranny. Ów okrzyk, który doszedł uszu Japończyka, wprawdzie wydał Nabuchodonozor, ale była to tylko finta sprytnego reportera, by sprawić wrażenie, iż został raniony.

W rzeczywistości dziennikarz dał głębokiego nurka w wodę i wypłynął daleko od miejsca, które Ishimura zasypał kulami swego browninga.

Dalszy ciąg jego przygód był prosty. Nabuchodonozor Chac opuścił zbawcze wody kanału, przeszedł parę ulic, zwracając powszechną uwagę swym niezwyklej wyglądem, po czym wsiadł do pierwszej napotkanej taksówki i polecił się zawieść do redakcji *Worlda*.

Tam uzyskał bez większych trudności rozmowę z sir J. G. Battemanem i w krótkich urywanych zdaniach opowiedział mu swe przygody, po czym zakomunikował, iż natychmiast śpieszy do Grady'ego, by go o wszystkim powiadomić. Ale sir J. G. Batteman, którego oblicze promieniowało niezwyklej zadowoleniem pochwycił go za rękę.

--- Dokąd to, dokąd młodzieńcze, jeśli mi wolno zauważyć?

--- Zawiadomić Mac Grady'ego i policję.

--- Zaraz! Zaraz! Najpierw pana sfotografuję i podyktuje pan swe przeżycia. Damy w jutrzejszym południowym wydaniu! *Cerebritis* -- co za cudowne słowo! Jeżeli prawdą jest, co pan mówi -- jest pan cudownym reporterem, ale jeżeli pan to sobie wymyślił..

Sir Batteman machnął ręką:

--- Czy tak, czy tak, podwyższam panu pensję!

Nie było rady. Reporter podyktował w pierw swe przygody przywołanej stenotypistce, po czym został sfotografowany, tak jak był.

Dopiero wtedy pozwolił mu J. G. Batteman opuścić redakcję *Worlda* -- przestrzegając go, by nie opuszczał Mac Grady'ego i informował *Worlda* o wszystkich pracach słynnego detektywa.

*

Mac Grady, skoro poznał Nabuchodonozora Chaca, ku wielkiemu zgorszeniu portiera wrócił się z nim do swych apartamentów i odbył z nim krótką rozmowę.

--- Jest pan dzielny człowiekiem, mister Chac! --- ozwał się na zakończenie --- nic nie wiedziałem o tym *Cerebritis*...

Detektyw urwał. Nie zaszkodzi trochę rozgłosu w tak ważnej sprawie --- pomyślał sobie, po czym, spełniając najgorętsze życzenie reportera, ozwał się:

--- Jutro prawdopodobnie zlikwiduję szajkę *Ślepego Johna*. Jeśli pan chce może pan być świadkiem moich prac nad ujęciem zbrodniarzy. Niech pan pójdzie się przebrać i o pierwszej w nocy oczekuje mnie na lotnisku cywilnym na Long Island.

Tak to Nabuchodonozor Chac ze skromnego reportera wyrastał na znanego dziennikarza, dzięki szczęśliwemu splotowi okoliczności.

Drobny, dokuczliwy deszcz nie ustawał ani na chwilę. Gmach Banku Amerykańsko-Kanadyjskiego czerniał olbrzymią bryłą w cieniach nocy, patrząc oczodołami ciemnych nieoświetlonych okien.

Dochodziła północ.

Pod ciężką bramą banku ledwie widocznie majaczyły dwie postacie, otulone w chroniące od deszczu płaszcze, z nasuniętymi na oczy kapeluszami.

Jerzy Mac Grady i Otocky...

Cichy zgrzyt podrobionego znakomicie klucza w wielkim zamku. Brama gmachu otwiera się bezszelestnie i dwa cienie znikają z ulicy, pogrążając się w westybulu gmachu.

Normalnie, gdyby brama banku została otwarta o niewłaściwej porze, gmach cały rozbrzmiewałby tętnieniem elektrycznych dzwonek, sygnały alarmowe dźwięczałyby w pobliskich komisariatach policji, oznajmiając, iż w mury banku dostał się ktoś niepowołany.

Ale tym razem bank był jak człowiek, którego pozbawiono mowy. Nie krzyczał o pomoc, nie zagrział hałasem sygnałów. Milczał, niezdolny, by wołać *Niebezpieczeństwo!*

Na drogocennych boazeriach westybulu ślizgają się smużki światła rzucane przez reflektorki elektrycznych latarek.

Przytłumiony zgrzyt windy, której nocny zakłócono spoczynek.

Na trzecie piętro gmachu! Tam jest gabinet dyrektora Maxa Kellermana, tam trzeba szukać tajemnicy, by dnia następnego trzysta trzydzieści trzy detonacje nie rozległy się na terenie Stanów.

Winda się zatrzymuje. Trzecie piętro!

Grady i Otocky wysiadają. Agent niesie wszystkie potrzebne przyrządy, zazwyczaj narzędzia pracy włamywaczy. W ręku Mac Grady'ego zimne żelazo rewolweru.

*

Znalazłszy się na trzecim piętrze, Mac Grady, nie wahając się przed niczym, kazał zapalić światło.

W hali sekretariatu banku nie było żywej duszy. Wielkie, ciężkie księgi bankowe, niektóre otwarte, inne pozamykane, leżały na pulpitach. Drzwi od gabinetu Kellermana zostały otwarte podrobionymi kluczami.

Mac Grady i Otocky pracowali niezmordowanie i spokojnie.

Wrażenie wielkiej ciszy, jaka panowała w całym banku, udzieliło się im również. Rozmawiali szeptem, rzadko tylko rzucając luźne słowa.

W jednej z szuflad biurka Grady natrafił na list jakiś. Koperta była zalakowana. Adres wypisany ręką Kellermana. Ten adres sprawił, iż detektyw uśmiechnął się i list szybko schował do kieszeni.

Przeglądali każdy kawałek papieru, każdy świstek.

Słychać było jedynie szelest papieru i szybkie oddechy detektywa i Otockiego.

Po dwudziestu minutach takiej pracy Otocky i Grady podnieśli znad szuflad rozczarowane twarze.

Listy spiskowców nie było. W ogóle poza listem Kellermana, który Mac Grady tak starannie schował, w biurku nie było nic co by obciążało Kellermana.

Przetrząsnęli szafę biblioteczną zawierającą szereg dzieł z dziedziny bankowości, sprawozdania i dane statystyczne. Rezultat był prawie żaden.

Na twarzy Otockiego malowała się zacięta złość, Mac Grady usiłował nie dać poznać po sobie uczucia zawodu, które rosło z każdą minutą.

--- Nie ma rady --- wyszeptał Grady. --- Niech pan pójdzie po cylinder z acetylenem.

Musimy pruć kasy!

Polak oddalił się cicho. Cylinder z gazem pozostał był w windzie.

Mac Grady podszedł do kas i począł manipulować przy jednej z nich.

Naraz...

Naraz kasa usunęła się lekko w bok, jakby pchnięta przez jakąś potężną, niewidzialną rękę.

Mac Grady cofnął się zdumiony...

W miejscu, gdzie stała kasa, otworzyło się tajne przejście wiodące do małego pokoiku bez okien.

Pokoik był rzęście oświetlony.

Przy małym biurczku, obrócony plecami do Mac Grady'ego, siedział jakiś człowiek.

Człowiek ten ubrany w luźną piżamę pisał coś szybko.

Mac Grady w jednej chwili zorientował się w sytuacji i ściskając rewolwer w ręce, bez sekundy wahania, przekroczył próg kryjówki.

*

Porucznik Rudolf von Hartrott pisał list. Ostatni list do miss Zuzanny Reutt. List ze słowami pożegnania.

Von Hartrott pewny był bowiem, iż ostatnich dni kilka przebywa na terenie Stanów, postanowił bowiem, po dniu 13 października, po napadzie superzeppelinów niemieckich na Nowy Jork, po spełnieniu przez sprzysiężenie *Ślepego Johna* swego kulminacyjnego zadania, opuścić Amerykę i przez neutralny Meksyk podążyć do swej niemieckiej ojczyzny.

Do ucieczki von Hartrotta było już wszystko przygotowane. Były attaché wojskowy ambasady niemieckiej w Washingtonie miał już przygotowane fałszywe papiery tak genialnie podrobione, iż mkt by nie poznał ich oszustwa, miał już gotowy paszport zagraniczny. Myślał z ulgą o chwili, kiedy przekroczy amerykańską granicę, o chwili, kiedy dostanie się do ojczyzny i będzie znowu mógł włożyć mundur porucznika niemieckiej marynarki wojennej. Ale równocześnie do tego poczucia ulgi przyłączało się poczucie bólu. Von Hartrott zostawiał swe serce w Stanach Zjednoczonych. Więc likwidując swe wszystkie w Ameryce sprawy, uwięziony jeszcze na czterdzieści osiem godzin w swej kryjówce w Banku Amerykańsko-Kanadyjskim, porucznik von Hartrott pisał list do córki generała Reutta. List, w którym spowiadał się *Dziewczynie o szkarlatnym spojrzeniu* ze swej pogardzonej miłości, ze swoich tęsknot i zawiedzionych nadziei. List, w którym młoda krew wrzała oburzeniem i chęcią zemsty nad rywalem, detektywem angielskim, który -- prześladując sprzysiężenie *Ślepego Johna* -- wydarł mu zarazem osobiste szczęście.

Pióro porucznika von Hartrotta biegło szybko po papierze. Czoło sfałdowało się namysłem i nawałem ciężkich koszmarnych przeczuc.

Porucznik Rudolf von Hartrott nie słyszał szmerów w gabinecie Kellermana. Gdyby je nawet był słyszał, nie zwróciłby na nie większej uwagi. Kellerman miał zwyczaj zachodzić czasem do banku w nocy i pracować po parę godzin w zupełnej ciszy i spokoju. Nie zwrócił też uwagi na szelest odsuwającej się kasy ogniotrwałej pewny, iż za chwilę usłyszy głos Kellermana.

Ale głosu tego nie usłyszał. Mac Grady wszedł tak cicho do pokoiku, iż Hartrott nie usłyszał nawet jego kroków.

Wreszcie, zdziwiony ciszą, von Hartrott odwrócił się z wolna i spojrzał poza siebie.

Pióro wysunęło mu się z ręki i potoczyło po podłodze.

Zerwał się z miejsca i wyprostował w całej swojej wysokości.

--- Poruczniku von Hartrott --- ozwał się Mac Grady --- ręce do góry! Jest pan aresztowany!

To co nastąpiło potem, trwało tylko krótkie sekundy. Von Hartrott poznał w obcym Mac Grady'ego. Nienawiść Niemca, któremu detektyw ustawicznie wchodził w drogę, połączyła się z nienawiścią mężczyzny do szczęśliwego rywala. Myśli przelatywały jak wicher pod czaszką porucznika. Chęć zemsty uderzyła mu do głowy i krwią zalała oczy. Szybkim jak błyskawica ruchem porwał przycisk z biurka i rzucił nim w Mac Grady'ego.

Pocisk dosięgnął detektywa i ugodził go w rękę, która dzierżyła rewolwer. Broń wysunęła się z palców Mac Grady'ego i padła o kilka kroków od niego.

Równocześnie von Hartrott jak młody tygrys rzucił się na detektywa, obalając go na ziemię.

Kasa ogniotrwała, która zamykała wejście do kryjówki Hartrotta, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wróciła na swoje miejsce, zatarasowując pole walki przed Otockim, który nadbiegł był właśnie w tej chwili.

Rozpoczęło się rozpaczliwe zmaganie dwu mężczyzn, tarzających się po ziemi. Mac Grady był bezsprzecznie silniejszy od porucznika, von Hartrott przewyższał go natomiast młodością i zręcznością.

Uwagę obu przykuł rewolwer, który leżał na ziemi. Obaj zdawali sobie sprawę, że zwycięzcą będzie ten, kto broni palnej dosięgnię.

Wreszcie Hartrottowi udało się jedną ręką pochwycić Grady'ego za gardło, drugą dosięgnąć zbawczego rewolweru.

Detektyw pojął, iż jest zgubiony. Nadludzkim wysiłkiem zdołał uchwycić rękę Niemca dzierżącą browning.

Zaczęli go sobie wrywać wzajemnie, dysząc ciężko, z twarzami nabiegłymi krwią.

Naraz...

Suchy trzask wystrzału przeciął ciszę pokoiku i odbił się o jego ściany.

Mac Grady uczuł, iż palce Hartrotta, wpijające się w gardło, zwalniać zaczęły uścisk.

Równocześnie na rękę uczuł ciepło krwi.

Porucznik Rudolf von Hartrott wypuścił rewolwer z ręki. Strzał, który padł w czasie szamotania się z Mac Grady, ugodził Hartrotta w lewą pierś.

Von Hartrott uczuł mdły smak krwi w ustach, cień legł na jego oczach i opadł bezwładnie na ziemię.

--- Zuzanno! Zuzanno! --- szeptały wargi konającego.

Mac Grady, przekonawszy się, iż wszelki ratunek jest już zbyteczny temu, który chwilę jeszcze przedtem był porucznikiem Rudolfem Hartrottem, z ciężkim westchnieniem powstał i schował browning do kieszeni.

Z zewnątrz usłyszał uderzenia o ścianę. To Otockie czynił daremne próby, by pokonać zaporę, jaka wyrosła między nim i Mac Grady.

Detektyw, rozumując słusznie, iż i od wewnątrz pokoiku musiał istnieć jakiś sposób otwarcia drzwi od kryjówki, począł rozglądać się po nim bacznie.

Po bardzo długim szukaniu odkrył czarny, ebonitowy guzik, umieszczony w jednej z tafli posadzki. Ten to guzik nacisnął von Hartrott nogą, rzucając się na Mac Grady'ego.

Detektyw nacisnął butem ów guzik, włączając tym samym prąd elektryczny. Kasa ogniotrwała drgnęła i usunęła się w bok, jak poprzednim razem.

Otocki na dźwięk głosu Grady'ego wszedł do kryjówki Hartrotta.

Bezwładne ciało porucznika zwróciło natychmiast jego uwagę.

--- Nie żyje? --- zapytał.

Mac Grady skinął głową:

--- Nie żyje. Rzucił się na mnie i obalił na ziemię. W szamotaniu rewolwer wypalił. Czy wie pan, kto to jest?

--- Wiem, to porucznik von Hartrott! W sprzysiężeniu nosił imię brata Pierwszego. To był, zdaje się, jedyny szlachetny człowiek wśród nich wszystkich.

--- Nie możemy go tu tak zostawić. Niech pan pomoże mi przenieść ciało na sofę, musi tak zostać do jutra, dopóki nie przybędzie tu inspektor Bremor.

Po dokonaniu tej smutnej czynności Grady i Otocki zaczęli szczegółowe przetrząsanie pokoiku.

Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, iż kryjówka Hartrotta była centralą sprzysiężenia.

--- Szyfry! Mister Grady! Szyfry! --- zawołał naraz Otocki.

Jakoż faktycznie były to szyfry. Mac Grady wziął je i schował do teczki wraz z niedokończonym listem von Hartrotta do miss Zuzanny Reutt.

Daremnie jednak poszukiwali klucza do znalezionych szyfrów. Mac Grady ani Otocki nie wiedzieli, iż Hartrott, będący człowiekiem ogromnych zdolności, umiał na pamięć zawiały klucz szyfru, którym czynił wszelkie notatki odnoszące się do spisku i że ze śmiercią jego klucz ów w ogóle przestał istnieć.

Po skrętnym zabranii wszystkich papierów, jakie znaleziono w pokoju Hartrotta, detektyw i agent Pinkertona opuścili kryjówkę i manipulując przy kasie ogniotrwałej, sprawili, iż ta zamknęła przejście wiodące tam, gdzie spoczywało martwe ciało porucznika niemieckiej marynarki.

Następnie Grady z Otockim doprowadzili do porządku biurko Kellermana i starając się zatrzeć wszelkie ślady swej obecności, opuścili bank tak cicho, jak byli przybyli. Na rogu pobliskiej ulicy oczekiwało ich auto.

Była godzina druga w nocy, gdy Mac Grady, Otocki i Nabuchodonozor Chac, który oczekiwał ich na lotnisku Long Island, opuścili samolotem Nowy Jork.

Samolot ów, rozwijając największą szybkość, skierował się do Washingtonu. Przez cały czas powietrznej podróży Mac Grady ani słowem nie ozwał się do swych przyjaciół.

Dniało już i błądy jesienny świt zaglądać począł do jasno oświetlonego gabinetu ministra Wilbury'ego, który czuwał przez noc całą w gmachu sekretariatu do spraw wojny, przyjmując meldunki, wydając instrukcje i rozkazy.

W gabinecie ministra kilka zaledwie było osób. Wśród nich pułkownik Rangoon, Mac Grady, Otocki i Nabuchodonozor Chac.

Wilbury nerwowym pełnym niecierpliwości krokiem przebiega gabinet. Raz po raz patrzy na zegarek. Godzinę temu oddał dokumenty szyfrowane, przywiezione przez Mac Grady'ego do odcyfrowania. Jakże oni guzdrzą się w tym oddziale szyfrów! I to teraz gdy czas tak nagli...

Mac Grady podchodzi do sekretarza stanu. Pochylony mówi do niego coś szeptem. Wilbury podnosi zdziwione oczy:

--- Dobrze! Jeżeli panu zależy na tym, by generał Reutt nie wiedział...

Minister wznosi w górę ramiona.

--- Nie rozumiem, dlaczego zależy panu na tym tak bardzo!

Detektyw się uśmiecha:

--- Teraz nie mogę nic powiedzieć, mister Wilbury. O godzinie pół do jedenastej poproszę

o pięć minut poufnej rozmowy.

Wilbury kiwa głową na znak zgody. W oczach ma zmęczenie nieprzespanej nocy. Otwierają się cicho drzwi gabinetu. Mister Emerson, szef wydziału szyfrów, staje w drzwiach.

Pułkownik Rangoon podbiega do niego:

--- Czy klucz znaleziony? Szyfry odczytane?

Mister Emerson zaprzecza ruchem głowy.

--- Sprawa jest bardzo ciężka --- odpowiada. --- Prace nad odcyfrowaniem papierów nie posunęły się ani o krok naprzód.

Wilbury wyjmuje zegarek, patrzy na niego może po raz setny tej nocy.

Za pół godziny eskadry pod dowództwem generała Lindbergha opuścić mają Lakehurst.

*

Jakoż Wilbury nie mylił się. *Napoleon przestworzy*, jak nazwano w 1927 roku dwudziestoczteroletniego wówczas Karola Lindbergha⁽¹⁾, gotował się do lotu z oddanymi pod swe dowództwo eskadrami, naprzeciw superzeppelinom niemieckim, wiozącym miastom amerykańskim śmierć ukrytą w pociskach i bombach z thanatoidem.

Po dżdżystej, ciemnej nocy wstawał chłodny, lecz pogodny, dzień jesienny. Generał Lindbergh podniósł się od stołu, na którym leżała ogromna mapa wschodnich wybrzeży oceanu Atlantyckiego. Mimo zbliżającej się czterdziestki nie stracił wyrazu twarzy młodego, uśmiechającego się chłopca, za którym szalały paryżanki.

Generał Lindbergh przywdział ubiór lotniczy i udał się na lotnicze pole.

Wytoczone z hangarów, ustawione rzędami, w promieniach wschodzącego słońca lśniły stalowe ptaki. Uwijał się wokół nich rój werkmistrzów i mechaników, robiąc ostatnie próby motorów, sprawdzając stery i śmigła.

Zwarta gromada pilotów i obserwatorów otoczyła dowódcę eskadr. Każdemu z obserwatorów w zamkniętej kopercie wręczył generał Lindbergh klucz nowego szyfru, jakim w czasie wyprawy miały się porozumiewać eskadry.

Ostatnie rozkazy i polecenia padały rzucane urywkami zdań.

Eskadry po wylocie rozwinąć się miały w olbrzymi wachlarz, wykryć miejsce pobytu superzeppelinów niemieckich oraz ich kierunek, następnie zaś sterowce niemieckie zniszczyć.

Punktualnie o godzinie szóstej minut pięćdziesiąt padł rozkaz:

--- Wsiadać!

Piloci i obserwatorzy jęli zajmować miejsca w samolotach. Pole lotnicze w Lakehurst nappełniło się świstem roztrącających powietrze śmigieł. Silniki maszyn zaczęły warczeć hałaśliwie.

--- Gotów?

--- Gotów!

Mechanicy i werkmistrze odskoczyli od aparatów. Piloci salutowali dowódcę dywizjonu, który doglądał startu eskadr.

--- Jazda!

Aparaty jęły kolejno przecinać pole lotniska i wzbijać się w górę.

Pierwsza wzbijała się eskadra III, po niej samoloty eskadr V, VI, XI i XII, wraz z eskadrą XVIII wzbijał się w przestworza samolot generała Lindbergha.

Wszystkie aeroplany, okrążywszy hangary portu lotniczego w Lakehurst, skierowały się na północny wschód i roztopiły srebro swych skrzydeł w złotych promieniach słońca.

A o tej samej godzinie o wiele, wiele mil od amerykańskich brzegów, nad oceanem Atlantyckim, w mgłach, które pierzchały trwożliwie przed wstającym dniem, kołysało się majestatycznie pod chmurami sześć jakże potwornie wielkich cygar. Były to niemieckie sterowce wojenne, które ufne, iż idą ku sławie i zwycięstwu, dążyły ku swemu przeznaczeniu.

*

W gmachu sekretariatu do spraw wojny w Washingtonie minuty i sekundy rozciągały się w wieki całe. Dochodziła godzina ósma rano, biuro szyfrów pracowało gorączkowo i bez wytchnienia, a przecież dotąd klucz, który by umożliwił odczytanie notatek porucznika von Hartrotta, nie został odnaleziony. Zdawać by się mogło, iż porucznik von Hartrott dopełniał swej zemsty z za grobu i martwy strzegł zazdrośnie swej tajemnicy.

W biurze sekretarza stanu Wilbury'ego nastrój zdenerwowania zwiększał się i rósł z każdą chwilą. Rozmowy umilkły, gdzieniegdzie padało z rzadka rzucone słowo. Mówiono bardzo mało, jakby niepewność najbliższych godzin kazała słowom zamierać na ustach. Wszakże dzień 13 października nadszedł, ów dzień tak brzemienny w wypadki, który, jakby na przekór nastrojowi zebranych, zalał miasta amerykańskie potokami słońca, owiał ciepłym, ożywym wiatrem, jak gdyby kończąca się już jesień chciała ofiarować Stanom Zjednoczonym całą pozostałą swą krasę.

Od fatalnego terminu -- godziny dwunastej w południe -- dzieliły Stany Zjednoczone cztery zaledwie godziny.

O godzinie ósmej rano minister Wilbury, w imieniu rządu Stanów, wyznaczył nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za odczytanie w ciągu godziny szyfrowych notatek porucznika Hartrotta. Eksperci w biurze szyfrów podwoili wysiłki.

Mała czarna wskazówka na zegarku ministra leżącym na zielonym suknie biurka skakała frywolnie po równie małej tarczy, znacząc sekundę za sekundą.

Była godzina ósma minut trzydzieści siedem, gdy drzwi do gabinetu Wilbury'ego otworzyły się znowu.

Był to mister Emerson. Na wąskich wargach urzędnika rysował się uśmiech zadowolenia, gdy wręczał ministrowi kilka kartek zapisanych pismem maszynowym, po czym oddalił się bez słowa.

Mister Wilbury odetchnął z ulgą. Te kartki to była tajemnica wydartą zwłokom Hartrotta. Lista imienna uczestników spisku, z podaniem miejsca ich zamieszkania, obok niej lista miast, w których dworce kolejowe mają paść ofiarą zamachu.

Ministrowi Wilbury'emu wraca wrodzona energia. Poczynają dzwięćdziesiąt dzwonek telefonów, słowa alarmu biegną po telegraficznych drutach.

Jest godzina dziewiąta rano. W ciągu trzech godzin zamachowcy zostaną aresztowani. Na całym terenie Stanów dosięgnie ich ręka sprawiedliwości.

Lecz w pół godziny potem okazuje się, że sprawa nie jest tak prosta. W wielu punktach ręka spisku *Ślepego Johna* -- jakby przewidując niebezpieczeństwo, jakie grozi projektowanym aktom sabotażu -- poprzecinała druty telegraficzne, pozrywała telefoniczne połączenia.

Twarz Wilbury'ego pochmurnieje. Pytająco spogląda na detektywa.

--- Radio! --- mówi spokojnie Mac Grady.

W kwadrans potem wszystkie amerykańskie radiostacje zaczynają wołać na alarm. Na falach radiowych biegną słowa ostrzeżenia zredagowanego szyfrem liczbowym. Do wszystkich gubernatorów stanów, do majorów wszystkich miast. Radiostacje ostrzegają. Wymieniają zagrożone miasta, wymieniają nazwiska spiskowców.

Nadają bez przerwy ów niezwykle, nieprzewidziany program radiowy. Wołają, krzyczą, domagają się, rozkazują.

Będą tak wołać bez przerwy, bez sekundy wytchnienia dla strzelistych anten do godziny dwunastej w południe.

Sekretarz stanu Wilbury przypomina coś sobie. Podnosi głowę znad filiżanki czarnej kawy, którą mu podano i pyta:

--- Zapomniałem o *Ślepym Johnie*. Któż to jest? Kto jest przywódcą spiskowców? Czy Kellerman?

Mac Grady, nie mniej od niego zmęczony, uśmiecha się tajemniczo:

--- O pół do dwunastej pomówimy o tym, mister Wilbury, o pół do dwunastej, nie wcześniej.

Kto jest *Ślepym Johnem*?...

Anteny radiowe biją w niebo falami ostrzeżeń. Wołają, krzyczą, rozkazują.

*

Dyrektor Max Kellerman przybył dnia tego do banku bardzo późno, co zresztą w ostatnich czasach zdarzało mu się często.

Noc ubiegłą spędził bardzo źle, trapiiony koszmarными snami i obawami o najbliższą przyszłość, którą widział w coraz to czarniejszych barwach. W ogóle od czasu ostatniej wizyty Mac Grady'ego nie mógł powrócić do dawnej duchowej równowagi i zdawał sobie coraz wyraźniej sprawę z tego, iż w Stanach Zjednoczonych zaczyna dla niego powietrze być coraz bardziej duszne.

Na wstępie jednak po przybyciu do banku, co stało się o godzinie jedenastej rano, zakomunikowano mu, iż obaj aresztowani woźni bankowi zostali przez policję zwolnieni, ponieważ wina ich nie została im we wstępnym śledztwie dowiedziona. To wpłynęło na polepszenie jego humoru i lepszej już myśli udał się do swego gabinetu.

O tym jednak, by mógł zająć się pracą bankową nawet mowy być nie mogło. Czterdzieści pięć minut zaledwie dzieliło go od wielkiej chwili. Za czterdzieści pięć minut w trzystu trzydziestu miastach Stanów silne detonacje przerazić miały i wzburzyć mieszkańców Stanów Zjednoczonych. To miało być w południe! A wieczór? Wieczorem albo w nocy miały przybyć nad Nowy Jork niemieckie sterowce z drugiej półkuli. Metropolię Nowego Świata czekała zagłada.

Kellerman z zadowoleniem uśmiechnął się na ową myśl. I po cóż tu było się czegokolwiek obawiać. Wszystko pójdzie jak w zegarku. Cóż zdziała Mac Grady przeciwko przeznaczeniu? Kellerman przypomniał sobie jak na *Olympicu*, jako pastor Middleton, kierował ręką Dreamera i postępowaniem miss Reutt. Przypomniał sobie, jak on, jeden z przywódców spisku, za wykrycie tegoż spisku wyznaczył nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, jak prezydent Stanów ścisnął mu rękę ze słowami podziękowania. Przypomniał sobie katastrofy kolejowe i inne akty sabotażu, dokonane przez spisek i uśmiech rozjaśnił znowu

ciężką twarz Niemca.

Wygrane były wszystkie poprzednie stawki, czemuż przegrana miałaby być stawka ostatnia i największa?

Sięgnął ręką do jednej z szuflad biurka i naraz uśmiech znikł z jego twarzy. Zauważył pewien nieład w papierach i jął czegoś szukać nerwowo. Listu, który był napisał w swoim czasie, a którego dotąd nie wysłał, nie było na właściwym miejscu.

Szybko, niezmiennie szybko, jął otwierać wszystkie szuflady biurka i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, iż ktoś przeglądał i przetrząsał mu szuflady biurka. Było to pozornie niemożliwe. Wszakże poprzedniego dnia wieczorem zamknął na klucz swój gabinet, a przed chwilą otworzył go własnoręcznie! A więc nikt nie mógł być w gabinecie! A jednak ktoś był! Czyżby Hartrott? Ale po cóż by Hartrott grzebał w jego papierach?

I nagle ogarnął go znowu niezwykieszalny ogromny niepokój. Uczuł, iż krew zbiega mu z twarzy, iż lodowacieje mu nos i policzki.

Podbiegł do kasy ogniotrwałej i nacisnął odpowiednią dźwignię. Usunęła, się cicho, jak zawsze. Mechanizm działał bez zarzutu.

Kellerman wszedł do kryjówki von Hartrotta, lecz nie bawił w niej długo. Nie upłynęła, minuta, jak opuścił ją i drżący cały, dowlókszy się do biurka, chwycił za słuchawkę telefonu.

*

O godzinie wpół do dwunastej sekretarz stanu Wilbury zgodnie z prośbą Mac Grady'ego odbył z nim konferencję. Konferencja ta trwała bardzo krótko, a gdy po jej zakończeniu Wilbury zawiadzał do siebie pułkownika Rangoona, twarz jego była szara jak popiół.

W chwilę potem do gabinetu ministra wezwani zostali: generał Hudson, pułkownik Mac Adoo oraz dwu starych majorów wojsk amerykańskich, pracujących w ministerstwie. Do gabinetu ministra został również wezwany Otockki.

Gdy wszyscy wezwani zebrali się w gabinecie ministra, Wilbury powiódł po nich wzrokiem, po czym rzekł głucho:

--- Panowie pójdą za mną!

Dziwny orszak wysypał się na korytarz gmachu. Na przodzie szedł Wilbury, blady, z zaciśniętymi wargami, z rysami jakby stężałymi. Uprzejmy zwykle i pogodny minister, tym razem zdawał się nie widzieć ukłonów urzędników i oficerów, których napotykał, nie odpowiadał im wcale.

Za Wilburym szedł Mac Grady z generałem Hudsonem i pułkownikiem Mac Adoo. Za nimi postępował pułkownik Rangoon, dwaj majorzy, nie orientujący się zupełnie o co chodzi, oraz na samym końcu Otockki.

Wilbury minął kilka korytarzy, przebiegł dwa piętra, aż nareszcie zatrzymał się przed drzwiami, na których widniał napis:

Gen. J. H. Reutt

Szef VI Departamentu

Wilbury zawahał się na krótki moment, spojrzął na Mac Grady'ego, po czym bez pukania nacisnął klamkę i wszedł do gabinetu, a za nim Mac Grady i reszta otoczenia ministra.

Generał Reutt, pogrążony był w pracy, a na skrzyp otwieranych drzwi podniósł głowę i skierował na wchodzących swe jedyne oko. Skurcz jakiś przez ułamek sekundy przewinął mu się po twarzy, po czym generał wstał w służbowej postawie.

--- Generale Johnie Herbercie Reutt --- ozwał się Wilbury, głosem, którego tonacji sam się dziwił --- przyszliśmy do pana, by zdał pan rachunek ze swych czynów. Wie pan dobrze, o czym mówię!

Reutt oparł się rękami o biurko.

--- Nie wiem, o czym pan mówi, panie ministrze!

Wilbury zwrócił wzrok na Mac Grady'ego. Detektyw nie mniej wzruszony od ministra, wysunął się naprzód.

--- Generale Reutt! --- przemówił. --- Z upoważnienia ministra Wilbury'ego oskarżam pana o działanie na szkodę Stanów Zjednoczonych, oskarżam pana o zdradę państwa i porozumiewanie się z wrogiem, oskarżam pana o kierowanie wszystkimi aktami sabotażu, jakie wydarzyły się na terenie Stanów od początku wojny, oskarżam pana o spowodowanie śmierci wielu istot niewinnych, oskarżam pana wreszcie, iż jest pan tym, którego sprzysiężenie na terenie Stanów działające -- nazywa *Ślepym Johnem*.

Słowa te padły wśród zebranych, jak uderzenie piorunu. Jedyne generał Reutt pozostał spokojny.

--- Słyszałem oskarżenie --- rzekł sucho --- proszę o dowody.

Mac Grady wyjął list, który był zabrał dnia poprzedniego z biurka Kellermana, pisany ręką Kellermana, i wręczył go jednookiemu generałowi.

Reutt przebiegł list oczyma i pobrał.

Był to list, który pisał Kellerman w trwodze śmiertelnej po ostatnich odwiedzinach Mac Grady'ego. Listu tego nie wysłał Kellerman Reuttowi przez któregoś ze spiskowców, skoro minął go pierwszy paroksyzm trwogi, lecz schował go do szuflady biurka, gdzie znalazł go Grady. Treść listu, w którym Kellerman donosił Reuttowi, iż detektyw wie wszystko i zaklinał Reutta, by Mac Grady'ego usunął za wszelką cenę -- kompromitowała zupełnie generała.

John Herbert Reutt zadrzał po raz pierwszy w życiu.

Zmiał list i rzucił na biurko.

--- Kellerman był zawsze głupcem --- wyszeptał.

W tej chwili wzrok jego padł na Otockiego, który wysunął się nieco naprzód.

--- Błyskawica! --- zawołał, po czym wyszeptał twardo: --- Zdrajca!

Otockiemu twarz splonęła:

--- Nie jestem i nie byłem zdrajcą! --- odparł. --- Tępiąc zbrodniarzy, oddaję usługi ludzkości. Nie jestem też już więcej bratem Błyskawicą. Brat Błyskawica, Nadel i agent Otockie to jedna i ta sama osoba.

Nastąpiła chwila milczenia, chwila strasznej, ciężkiej do zniesienia ciszy.

--- Przyznaje się pan do winy? --- zapytał, znów głucho Wilbury.

Generał Reutt wyprostował swą olbrzymią postać. Z jedyne oka strzeliła mu błyskawica.

--- Przyznaję się i nie cofam się przed swym losem. Zrobiłem to jako Niemiec, jako człowiek, w którego żyłach płynie krew niemiecka. Nie żałuję tego. Jeżeli nawet umrę za chwil parę --dzieło moje przeżyje mnie! Puściłem w ruch olbrzymią maszynę, która dokona swego. I

wy koła rozpedowego tej maszyny zatrzymać nie zdołacie. Jest za dziesięć dwunasta! Czy wiecie, co się stanie za wybiciem godziny dwunastej?

--- Nic się nie stanie! --- odparł detektyw. --- Gwarantuję panu, że ani jeden dworzec kolejowy nie wyleci w powietrze. Ludność Stanów Zjednoczonych nie popadnie w panikę, jak nie zostało zniszczone Lewistown. Natomiast w tej chwili na terenie całych Stanów dokonywane są aresztowania "braci", członków sprzysiężenia *Ślepego Johna*. Co zaś tyczy się superzeppelinów niemieckich, generał Lindbergh wyleciał na ich spotkanie z sześcioma eskadrami.

W miarę jak Mac Grady mówił, olbrzymia postać generała poczęła się kurczyć i zginać. Tryumfalny wyraz znikł mu z twarzy. Usiadł ciężko i zakrył twarz rękami.

W tejże chwili rozległ się w gabinecie przenikliwy głos telefonicznego dzwonka. Pułkownik Rangoon ujął słuchawkę:

--- Nowy Jork woła mister Reutta! --- rzekł pytająco.

Wilbury skinął przyzwalająco głową. Reutt ujął słuchawkę, uśmiech wykrzywił mu wargi.

--- Kellerman? Są u mnie... Moi sędziowie z mister Gradym! Wszystko stracone!

Jednooki generał położył słuchawkę. Nadchodził ostatni akt tragedii.

Zabrał głos generał Hudson:

--- Generale Reutt! --- ozwał się surowo. --- Dopuszcł się pan strasznej zbrodni. Zhańbił pan mundur generała amerykańskiej armii. Ale właśnie dlatego, by honor tej armii, honor dotąd nieskalany, zhańbionym nie został -- wiadomość o pańskiej zbrodni nie śmie przekroczyć murów tego pokoju. Trzeba mieć odwagę zapłacić krwią za zhańbiony honor munduru! Generale Reutt! To jest ostatni rozkaz jaki panu daję! Umrze pan i zostanie pochowany z wszelkimi honorami wojskowymi. Świat nie dowie się nigdy, kto był *Ślepym Johnem*.

Naczelnny wódz amerykańskiej armii wyjął rewolwer drżącą ręką i położył na biurku przed Reuttem, po czym zwrócił się do obecnych:

--- Od panów odbieram słowo honoru, że milczeć będziecie zawsze o tym, o czym dowiedzieliście się tutaj!

Była godzina punktualnie dwunasta w południe, gdy Wilbury zwrócił się do obu majorów:

--- Panowie... zostaniecie tu... do końca!

I wyszedł szybko, tak jak był przyszedł, za nim zaś podążyli inni.

Lecz nim doszli do końca korytarza, w gabinecie Reutta huknął strzał rewolwerowy.

Ślepy John o godzinie, która miała być godziną jego tryumfu, zakończył swe rachunki z życiem.

*

--- Wszystko stracone!

To były ostatnie słowa generała Johna Herberta Reutta, rzucone Kellermanowi. Bankier opadł ciężko na fotel. Nerwowe drżenie przebiegło przez jego ciało. Hartrott nie żył. U Reutta byli jego sędziowie.

Teraz była kolej na niego!

Rękoma, które się trzęsły jak w febrze, otworzył teczkę na akta. Podeszedł do dużej kasy,

dobył z niej paszport przygotowany na fałszywe nazwisko Olafa Larsena, obywatela norweskiego, oraz kilka paczek banknotów dolarowych o wysokich nominałach. Paszport i pieniądze schował do teczki.

Następnie wyjął z kieszeni małe pudełeczko i dobył z niego białą pastylkę. Była to pastylka mortuiny. Połknął ją i popił wodą. Z wolna począł się opanowywać.

Była jeszcze nadzieja ucieczki. Nie należy tracić odwagi, póki jest się wolnym.

Mortuina poczęła działać podniecająco i uspokajać nerwy.

Wziął teczkę, przeszedł przez biuro, oznajmił, iż wychodzi na pół godziny, po czym spokojnie włożył płaszcz i kapelusz i wszedł do windy.

Gdy jednak stanął w bramie gmachu, trwoga ogarnęła go znowu.

Przed bankiem stały dwa policyjne auta pancerne, z których zeskakiwali policjanci. Cały odcinek Wall Street roił się od policyjnych czapek z gwiazdami. Jakiś pan w cywilnym ubraniu, z czarną przyszyroną brodą, wydawał rozkazy.

Kellerman poznał go, był to inspektor Bremor.

W tej samej chwili ciężkie ręce spoczęły mu na ramionach i dyrektor Max Kellerman po raz pierwszy i ostatni w życiu wysłuchał sakramentalnej formuły aresztowania.

*

Równocześnie z aresztowaniem Kellermana i rozpoczęciem rewizji w Banku Amerykańsko-Kanadyjskim miejsce zebrań braci spisku *Ślepego Johna* -- dom w zaułku portowym --- zostało otoczone przez policję. Na wodach portowego kanału ukazały się policyjne motorówki. Po krótkim oporze aresztowano Ishimurę i doktora Hayakawę, który zdążył wrzucić w ogień próbkę z *Cerebritis* oraz spalić swe cenne zapiski naukowe.

*

Natychmiast po śmierci generała Reutta, Mac Grady wysłał Otockiego do willi generała, by powiadomić miss Reutt o zaszytych wypadkach. Wyjawił przy tym Otockiemu, iż Zuzanna Reutt jest ową *Miss o szkarłatnym spojrzeniu* i nadmienił, iż ze względu na jej młodość pragnąłby uratować jej życie. Otockie podzielał w zupełności zapatrywania Mac Grady'ego. Zachodziła jednak ta trudność, iż któryś z aresztowanych "braci" mógł wiedzieć, kto był *Szkarłatną miss* i zgubić miss Zuzannę swymi zeznaniami. Przy tym rewizja w willi generała Reutta i w drugim mieszkaniu w Nowym Jorku mogła dać rezultaty dla niej niekorzystne.

Grady'emu udało się opóźnić na parę godzin rewizję w domu generała Reutta. To było wszystko, co mógł zrobić w tej chwili.

Po godzinie Otockie wrócił i oznajmił Grady'emu, iż polecenie jego wykonał.

--- Co powiedziała miss Reutt? --- zapytał detektyw.

--- Prosiła, by podziękować panu i pytała...

Otockie zawahał się.

--- O co pytała?

--- Pytała, czy to pan jest winien samobójstwu jej ojca.

--- I co pan odpowiedział?

--- Nic! Powiedziałem, że zasługa wykrycia szajki *Ślepego Johna* spada całkowicie na pana!

Mac Grady zamyślił się.

Jakieś złe przecucia ogarnęły go. Nie mógł doczekać się godziny, kiedy wraz z pułkownikiem Rangoonem, Otockim i policyjnymi władzami miał się udać do mieszkania *Ślepego Johna*. Co uczyni miss Reutt? Czy ucieknie? Czy odda się w ręce policji? Czy wybaczy mu, że spowodował bezpośrednio śmierć jej ojca, likwidując tę straszną sprawę?

Ponure myśli nie opuściły Mac Grady'ego, gdy stanął wraz z towarzyszami swymi u drzwi willi generała Reutta.

Na kilkakrotne pukanie nikt nie odpowiedział. Pułkownik Rangoon nacisnął klamkę, ustąpiła.

Mac Grady wszedł pierwszy, przebiegł hall i jął szybko wchodzić na górę. Za nim szedł Otockim, który zaczął się domyślać wszystkiego. W domu panowała cisza śmiertelna, jak gdyby willa była niezamieszkała.

Grady przebiegł pokój jeden i drugi...

Uciekła! --- pomyślał z ulgą.

Nagle cofnął się i bledź okryła mu policzki.

W trzecim pokoju, na sofie -- leżała ona, miss Zuzanna Reutt, *Miss o szkarlatnym spojrzeniu*.

Na pierwszy rzut oka sądzić było można, iż miss Zuzanna śpi. Złotoblond włosy okalały jej śliczną twarz, oczy były zamknięte.

Mac Grady nie potrzebował jednak dotykać stygnącego już jej ciała, by przekonać się, iż *Miss o szkarlatnym spojrzeniu* nie żyje.

Przecucie nie omyliło go. Nie mogła przeżyć faktu, iż człowiek, którego kochała, spowodował śmierć jej ojca.

Pułkownik Rangoon i Otockim weszli do pokoju w ślad za Gradym.

--- Nie żyje? --- zapytali.

Mac Grady bez słowa skinął głową.

Otockim podszedł do stoliczka i ujął w rękę szklankę, która tam stała. Na dnie jej zostało trochę płynu o mocnym, balsamicznym zapachu.

--- Mortuina! --- Szepnął agent. --- Straszna trucizna Hayakawy! Zmogła ją w pół godziny!

Agenci policji pod kierunkiem komisarza przystąpili do rewizji rzeczy pozostałych po generale Reuttie. Trwało to długo. Przez cały ten czas Mac Grady nie opuszczał pokoju, w którym leżało ciało miss Zuzanny.

Naraz ruch jakiś powstał na ulicach. Po dłuższej chwili O'Connell, który przybył zobaczyć wyniki rewizji, wszedł do pokoju.

--- Lindbergh zniszczył superzeppelin niemieckie! --- ozwał się nabrzmiałym radością głosem. --- Wygraliśmy, mister Grady!

--- Ja przegrałem! --- odparł spokojnie detektyw i ręką wskazał na martwe ciało *Miss o szkarlatnym spojrzeniu*.

Przez otwarte okna dochodził z daleka ognisty rytm wojennego marsza.

Koniec



⁽¹⁾ Charles Lindbergh (1902-1974) w 1927 r. wsławił się pierwszym samolotowym samotnym przelotem między lądem Ameryki Północnej a Europą bez międzylądowań.

